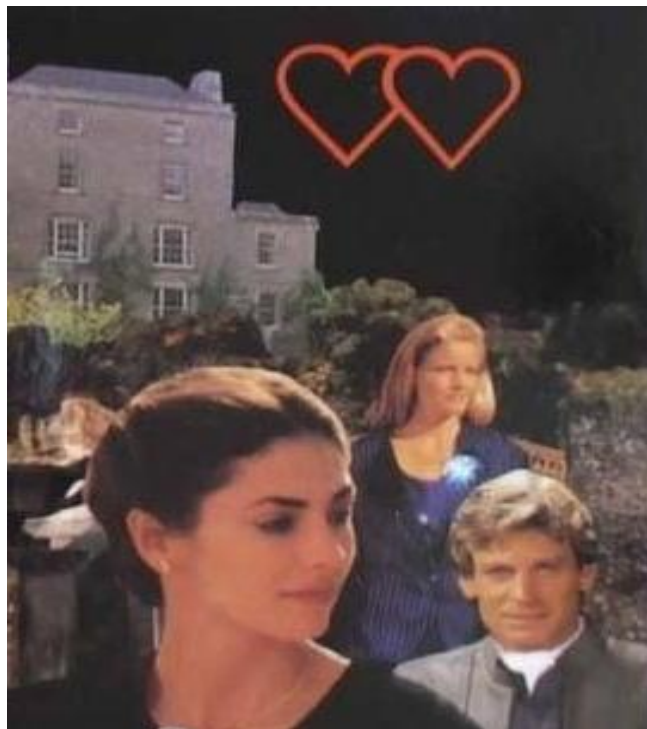




**JADWIGA
COURTHS-MAHLER**



Trucicielka

TOM PIERWSZY

Wysmukła postać niewieścia w czarnej sukni, o bladej twarzy, z której brązowe oczy patrzyły ze smutkiem i znużeniem na świat, zatrzymała się na środku drogi, przysłuchując się głosom, dochodzącym z lasu. Jasne, wesołe głosiki dziecięce dotarły do jej ucha. Stała bezwiednie i tylko oczy jej wodziły trwożnie wkoło, jak gdyby szukała drogi do ucieczki.

Nie przeczuwała, że ktoś ją obserwuje. Nieco dalej, w głębi lasu, tuż obok małego źródła, siedział na pniaku młody człowiek w ubraniu do konnej jazdy. Przybywał ze wsi i odpoczywał tutaj, radując się pięknem lasu. Ujrzał nagle nadchodzącą młodą kobietę i przypatrywał się jej z daleka, tak jakby się przyglądał pięknemu obrazowi.

Jej czarne szaty i blade oblicze mało harmonizowały z jasnym dniem wiosennym, lecz młody człowiek nie mógł od niej oderwać oczu, może właśnie dlatego, że ta postać kobieca stanowiła tak żywy kontrast z świeżą zielenią młodego zagajnika.

Stał nieruchomo, nie chciał bowiem, aby go zauważyła; nie miał zamiaru przeszkadzać samotnej wędrowniczce. Toteż stał się mimowolnym świadkiem sceny, która miała się na zawsze utrwalić w jego pamięci.

Gdy zabrzmiały znowu w głębi lasu wesołe głosy i śmiech dzieci, młoda kobieta przystanąła, rozglądając się trwożnie wkoło, jakby pragnęła uciec, lecz nie wiedziała dokąd. Potem z gęstwiny wyszła gromadka dzieci, przechodząc tuż koło młodej kobiety.

- Już wiosenka idzie miła! - śpiewali malcy, najwidoczniej wiejskie dzieci, w barwnych strojach.

Ujrzawszy jednak bladą kobietę w czarnych szatach umilkły natychmiast. Przystanąły na chwilę, niby urzeczone, wpatrując się w nią szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

Wreszcie jakaś mała, jasnowłosa dziewczynka zerwała się z miejsca.

- Czarownica! Trucicielka z pałacu! - krzyknęła przeraźliwie i popędziła przed siebie, ogarnięta okropnym strachem.

Wówczas i w pozostałą gromadkę wstąpiło życie.

- Czarownica! Trucicielka! - wołało jedno przez drugie, po czym wszyscy, chłopcy i dziewczęta rzucili się do ucieczki. Okropne, obelżywe słowo zabrzmiało jeszcze kilka razy wśród leśnej ciszy.

Młodzieniec, siedzący na ściętym pniu, zauważył, że młoda kobieta zachwiała się, że ciałem jej wstrząsnął dreszcz. Zgasłymi, osłupiałymi oczyma wpatrywała się w uciekające dzieci. Potem, słaniając się na nogach, postąpiła

z wyciągniętymi przed siebie rękami kilka kroków naprzód. Szukając jakby oparcia, opasała ramionami jakieś drzewo i przytuliła twarz do jego chropowatej kory. Zdawało się, że siły ją opuszczają, gdyż osunęła się na kolana u stóp drzewa, na poły nieprzytomna. Ciałem jej wstrząsało spazmatyczne łkanie. Wtedy młody człowiek, niezdolny dłużej do bezczynnego przypatrywania się temu wybuchowi rozpaczy, zerwał się z miejsca. Szybkim krokiem zbliżył się do niej.

- Czy mogę pani pomóc? - spytał z gorącym współczuciem, ożywiony pragnieniem przyjścia z pomocą nieznanemu.

Ocknęła się i rzuciła mu spojrzenie, które wstrząsnęło nim do głębi i którego nie potrafił już nigdy zapomnieć. W spojrzeniu tym malowała się bezgraniczna udręka i tak beznadziejna rozpacz, że zaskoczony młodzieniec nie odrywał wzroku od delikatnej, zbolalej twarzy kobiecej.

Wyciągnął bezwiednym ruchem ramiona, pragnąc ją podnieść. Zadrżała, jakby ją przeszedł nagły dreszcz; pod wpływem jego spojrzenia usta jej drgnęły boleśnie. Zebrała jednak ostatek sił, podniosła się i zasłoniła oblicze, widać było, że stacza ciężką walkę wewnętrzną i stara się opanować.

Nie wiedział, czy ma przed sobą dziewczynę, czy młodą kobietę. Liczyła zapewne niewiele ponad lat dwadzieścia, lecz cała jej postać tchnęła niewinnością, toteż wydawała się raczej młodą, czystą dziewczyną. Mimo to w rysach jej było coś tragicznego, co wywoływało wrażenie przedwczesnej dojrzałości.

Stała tak przez chwilę, zasłaniając twarz, drżąc na całym ciele. Potem opuściła bezradnym ruchem ręce, spojrzała na niego raz jeszcze z wyrazem niewymownego cierpienia i jakby szczone zwierzę pobiegła przed siebie, nie oglądając się za nim.

Całe to zajście zrobiło na nim wielkie wrażenie. Wiedział, że nigdy nie zapomni tej bladej twarzy, przesyconej głębokim cierpieniem. Widok jej na wieki wyrył się w jego sercu. Podniósł się i wolnym krokiem podążył tą samą drogą, którą poprzednio pierzchła nieznajoma. Miał wrażenie, że powinien pozostać w jej bliskości, aby ją obronić w wypadku, gdyby miało ją jeszcze spotkać coś złego.

Przez pewien czas widział jeszcze przed sobą wysmukłą postać, która później skręciła w jakąś boczną drogę; gdy zdołał dojść do tego miejsca, nieznajoma już zniknęła mu z oczu.

Uniesiony jakimś niewytłumaczonym porywem, wszedł również na ową boczną drogę, rozglądając się badawczo wkoło; po krótkiej chwili odkrył wysoki, strzyżony żywopłot, który zapewne otaczał wielki park. Postąpił kilka

kroków dalej i spostrzegł małą, drewnianą furtkę, pomalowaną na zielono. Teraz wyjaśniła się zagadka nagłego zniknięcia młodej osoby: zapewne przeszła przez tę furtkę.

Stał przez chwilę, spoglądając na zielone sztachety, jak gdyby one mogły mu wyjawiać tragiczny los młodej kobiety. Pojął bowiem natychmiast, że nieznajoma jest osobą, która dźwiga jakiś ciężki krzyż.

Trucicielka z pałacu! Tak wołała owa jasnowłosa dziewczuszka. A wszystkie dzieci przeraził widok tej pięknej, bladej kobiety. Trucicielka? Nie, ta nazwa nie mogła być odpowiednia dla nieznajomej. Widział tylko nieszczęśliwą, upośledzoną istotę, która zadrzała, słuchając obelżywych wyrazów. Co było przyczyną, że dzieci obdarzyły ją tym okropnym mianem?

Zbudziła się w nim pałaca ciekawość. Musiał się koniecznie dowiedzieć, czemu dzieci, pełne trwogi uciekały przed nieznajomą, dlaczego ją lżyły?

Zatopiony w myślach, szedł z wolna wzdłuż żywopłotu, który najprawdopodobniej opasywał dość dużą przestrzeń.

Gdy obszedł go już z dwóch stron, zauważył nagle wysokie, żelazne wrota zakończone dwiema kamiennymi kolumnami. Przez bramę widać było wielki, wspaniały park. W głębi, na tle drzew, wznosiła się dumna budowla podobna do pałacu, która robiła imponujące wrażenie.

- Ach, to zapewne jest Untergriesbach - pomyślał, przypatrując się z zaciekawieniem budowli. Wielkie, szerokie schody ciągnęły się po obu stronach dworu. Ogromne dębowe drzwi, ozdobione żelaznymi ornamentami były zamknięte. Zamknięte i zasłonięte storami były również wszystkie okna w pałacu. Wzdłuż całego domu ciągnął się szeroki, wygodny taras.

Frank Riidiger przyglądał się z zainteresowaniem pałacowi. Oczy jego ślizgały się po rzędach zasłoniętych okien. Wydało mu się, że przy jednym z nich porusza się stora, jakby pociągnięta czyjąś drżącą ręką.

Może za tą zasłoną stała piękna nieznajoma? Może jej smutne oczy patrzyły na niego?

Wydał się sobie samemu niepożądanym natrętem i oddalił się szybko w kierunku wioski Griesbach, która leżała w dolinie, między wysokimi zaśnieżonymi szczytami gór, ukazując z oddali swoje czyściutkie małe domki i strzelistą wieżę kościółka. Zbliżając się do wsi, ujrzał przed gospodą gromadkę dzieci, które poprzednio widział w lesie. Zauważył, że dzieci opowiadają coś z wielkim ożywieniem kilku wiejskim babom. Podeszedł bliżej, a wtedy posłyszał, że dzieci mówią do trucicielce, którą spotkały w lesie.

Najchętniej byłby przystanął, aby lepiej usłyszeć opowieść, powściągnął jednak te chęci i wszedł do gospody.

Oberżysta wyszedł mu na spotkanie.

- Przyszedł pan w samą porę, właśnie obiad jest gotów - oznajmił uprzejmie.

Frank Riidiger skinął głową.

- Doskonale, panie szefie, proszę zaraz podać do stołu, bo muszę jechać dalej.

- Natychmiast, proszę pana - odparł oberżysta, po czym wyszedł na próg i rzekł zagniewany:

- Co mi tu hałasujecie przed samym domem! Idźcie stąd, dzieciaki, bo przeszkadzacie moim gościom, a tego nie zniosę!

Frank Riidiger zbliżył się i, nie mogąc dłużej opanować ciekawości, zagadnął:

- Czego te dzieci się przelękły? Paplają bezustannie o jakiejś trucicielce, którą spotkały w lesie.

Oberżysta spojrzał na niego.

- Aha, teraz już rozumiem! Trucicielka, to młoda wdowa po naszym zmarłym panu baronie. Zamordowała go podczas nocy poślubnej. Nasypała mu trucizny do wina, lecz nie można jej było tego dowieść i uniewinniono ją z braku dowodów. Mimo to wszyscy są przekonani, że otruła swego męża, bo któż inny by to zrobił? Dzieci strasznie jej się boją, a gdy ją widzą bladą, w czarnej sukni, uciekają przed nią z całych sił. Co prawda, to nie poznać po niej, że jest zbrodniarką, ale... No, nie chcę już mówić o tym... Wiadomo tylko, że nikt w jej niewinność nie wierzy, a najmniej krewni. Ci powiadają otwarcie, że zabiła swego męża...

Frank Rüdiger słuchał z niepojętym dla niego samego zainteresowaniem. Widział znowu przed oczami wiotką, złamaną bólem postać, piękne, blade oblicze i oczy, w których malował się lęk i bezgraniczne cierpienie. Czy doprawdy była to twarz zbrodniarki?

Zwrócił się ponownie do oberżysty.

- Musi mi pan to wszystko szczegółowo opowiedzieć. Może pan usiądzie ze mną przy obiedzie? Mówiłem już panu, że moja gospodyni zachorowała, więc zjem tutaj obiad; poczekam aż lekarstwo, które przyrządzają, będzie gotowe.

- Będzie pan zadowolony, bo ja ogromnie dbam o dobrą kuchnię. „Czerwony Lew” cieszy się w całej okolicy dobrą sławą.

- Wiem o tym, panie gospodarzu.

Weszli obydwaj do przestronnej prostej izby, a potem do małej sali, przeznaczonej dla stałych dostojnych gości z miasteczka. Stała tu wielka staromodna kanapa i duży, okrągły stół, nad którym wisiała lampa. Przy mniejszych stolikach, stojących przy oknie i piecu, znajdowało się kilka krzeseł.

Stolik przy oknie był już czysto nakryty. Przy nim zajął miejsce Frank Rüdiger. Oberżysta przyniósł za chwilę zupę, którą mu żona podała z kuchni przez małe okienko.

- Pusto jakoś u pana - zauważył Frank. - Czy interes źle idzie?

- Ej, nie mogę narzekać, proszę pana. O tej porze zawsze u nas pusto. Nasi stali goście zjedli już obiad i poszli sobie. A miejscowi przychodzą tylko wieczorami do oberży, albo też niekiedy podczas dnia, gdy mają do załatwienia jakiś interes z kupcem zbożowym lub handlarzem bydła. Letników jeszcze nie ma, przecież to dopiero kwiecień. Jak jest ładna pogoda, to zaczynają się zjeżdżać w maju. Wtedy robi się ruch. Nie ma jednego wolnego pokoju, niektórzy turyści z braku miejsca śpią w gumnie, na sianie. Wszyscy naturalnie stołują się „Pod Czerwonym Lwem”, bo kuchnię mam dobrą a ceny przystępne. Wtedy jest ruch w interesie...

- No, to dobry sezon dla pana.

- Nie tylko dla mnie! Panu także się będzie lepiej podobało u nas. Bo tam, u siebie w górach, musi się panu chyba nudzić. To zbyt samotna miejscowość dla młodego człowieka. Ale w lecie niech pan przyjdzie do oberży „Pod Czerwonym Lwem”, to się pan zabawi. Pełno wtedy wesołych, młodych mężczyzn i ślicznych pań.

- A czy w okolicy naprawdę nie ma dla mnie odpowiedniego towarzystwa?

- Z wyjątkiem księdza proboszcza i pana. doktora, nie widzę nikogo, bo reszta to hołota. A ci dwaj, to starzy ludzie, nie bardzo weseli. W Untergriesbach w pałacu nikt teraz nie bywa. Jak jeszcze żył nieboszczyk pan wtedy było inaczej. Pan Bergman, od którego pan kupił dobra Obergriesbach, był serdecznym przyjacielem pana barona. Po śmierci pana von Tübingen, pan Bergman czuł się ogromnie osamotniony, sprzedał swoją posiadłość i przeniósł się do swej zameżnej córki, do miasta. No, to pan chyba sam wie...

- Przypuszczam, że Obergriesbach i Untergriesbach należały dawniej do jednego właściciela?

- Tak, proszę pana. Hrabioie Griesbach byli przez kilka stuleci jedynymi właścicielami tych włości. Potem jeden z młodszych synów otrzymał w spadku Obergriesbach wraz z dworem, w którym pan obecnie mieszka. W ciągu lat jednak zubożał i sprzedał majątek panu Bergmanowi. Ostatni hrabia

z tego rodu sprzedał w trzydzieści lat później Untergriesbach panu von Tübingen. Teraz pan siedzi w Obergriesbach, pan von Tübingen nie żyje, a cała jego posiadłość przeszła w ręce wdowy. Piękny majątek jej zostawił, warto go było otruć...

Frank Rüdiger zmarszczył czoło. Wydało mu się, że nie powinien słuchać, jak oberżysta obwinia tę piękną, młodą kobietę.

- Miał mi pan przecież opowiedzieć, jak się to stało - rzekł szybko.

- Zaraz, tylko przyniosę pieczone - odpowiedział oberżysta. To mówiąc, podszedł do okienka i przyniósł pieczeń, jarzyny i kompot dla swego gościa. Ustawił półmiski na stole, przysunął talerze, po czym usiadł znowu na krześle i zaczął opowiadać:

- Jakieś dwa lata temu, gdy nasz dziedzic bawił w Nauheim, gdzie się leczył na serce, rozeszła się pogłoska, że powraca i przywozi ze sobą narzeczoną. Ślub miał się odbyć nazajutrz po jego powrocie, w Griesbach. Pan baron von Tübingen miał już około sześćdziesiątki i sądzono, że do końca życia pozostanie starym kawalerem. Na to przynajmniej liczyła jego kuzynka, pani von Tölz oraz jej syn z pierwszego małżeństwa, pan Norbert von Hall. Byli przekonani, że zostaną jego spadkobiercami. Teraz to wszystko miało się zmienić. Pan von Tübingen napisał do kuzynki, żeby wraz z obojgiem dzieci - bo jest jeszcze i córka z drugiego małżeństwa - powróciła do swego mieszkania w Monachium. Zawiadomił ją, że się żeni i przyjeżdża z narzeczoną. Ponieważ narzeczona nosi jeszcze świeżą żałobę po niedawno zmarłej matce, więc odbędzie się tylko cichy ślub. Krewni także nie mieli być obecni na tej uroczystości. Pan baron pisał, że kilka pierwszych miesięcy chciałby zostać sam ze swą młodą małżonką i że zawiadomi rodzinę, gdy zacznie znowu przyjmować gości. Krewni mieli opuścić pałac jeszcze przed przybyciem pana dziedzica. Słyszałem to wszystko od służących z pałacu. Pani von Tölz nie posiadała się podobno z oburzenia. Z wielkim trudem udało się córce uspokoić ją. A syn, pan von Hall, rozbił ze złości kosztowny wazon, gdy się dowiedział o zamierzonym małżeństwie. Musiał to być zresztą naprawdę okropny cios dla tych państwa, którym przepadło ogromne dziedzictwo. Co prawda, to nasz pan nigdy nie lubił swej kuzynki, a pana Norberta nie cierpiał, bo to nicpoń, karciarz i hulaka. Zawsze jednak byli to jego jedyni krewni i święcie wierzyli, że wezmą po nim spadek.

Nie mogli, oczywiście, nic na to poradzić i następnego ranka wyjechali. Tegoż dnia po południu przybył pan von Tübingen z narzeczoną. Ale nasz dziedzic czuł się bardzo osłabiony po kuracji w Nauheim i oświadczył nagłe, że pragnie, aby jego ślub odbył się jeszcze tego samego dnia. Narzeczona

perswadowała mu, żeby się położył i wypoczął, on jednak uparł się przy swoim. Powiedział, że wcale nie jest zmęczony i nalegał na przyśpieszenie terminu. Tak się też stało. Ślub odbył się natychmiast, a wszystkie nadzieje pani von Tölz rozwiały się jak bańka mydlana.

- Czy ci państwo są zamożni? - zapytał Frank Rüdiger, który słuchał z ogromnym zajęciem tej opowieści.

- O, nie! Pani von Tölz utrzymuje się z niewielkiej emerytury. Syn jej, który był niegdyś oficerem, stale wyciągał z niej, ile się dało, a przy tym musiała także utrzymywać córkę. Zajmowali w Monachium skromne, trzypokojowe mieszkanie, lecz przez całe lato siedzieli zawsze u nas, w pałacu. Podobno byli bardzo zadłużeni. Do mnie przyjeżdżają rozmaici ludzie, więc się niejedno słyszy... Jak gościli u naszego pana, to naturalnie żyli na jego koszt. Wtedy prowadzili też życie na szeroką stopę, co nie bardzo przypadło do smaku naszemu panu. Teraz musieli wracać do domu i znowu klepać biedę, nic dziwnego, że się gniewali. Wyjechali jednak natychmiast, a tego samego wieczoru wprowadziła się do pałacu nowa pani. Powiadam panu, że nigdy bym jej nie posądził o podobny czyn. Taka młodziutka, wyglądała tak niewinnie, takie miała dobre, wesołe oczy. Biegłem za powozem aż do pałacu, bo nie mogłem się jej dość napatrzeć. Powóz, którym powracali z kościoła, toczył się wolno po drodze. Panna młoda nie miała wianka ani welonu, wzięła ślub w podróżnym kostiumie. A nasz pan dziedzic siedział obok niej i wyglądał jak ojciec, który jest dumny ze swojej pięknej córeczki, ale nie jak pan młody. Myśmy tu wszyscy okrutnie lubili naszego pana i życzyliśmy z całej duszy, żeby był szczęśliwy... Ale ja od razu sobie pomyślałem, że to nie może się dobrze skończyć. Bo taka młodziutka kobieta i starszy pan, to nie para! Był o czterdzieści lat starszy od niej... Nie wyszła za niego z miłości, to chyba jasne, nieprawdaż?

Więc też pomyślałem sobie: to się źle skończy! I rzeczywiście, już nazajutrz rano gruchnęła wieść, że pan von Tübingen został w nocy otruty. Nie było przy nim nikogo, prócz młodej pani. Zniosła mu do łóżka napój nasenny - bo nasz pan co wieczór wypijał kieliszek portwajnu. Tym razem młoda żonka dała mu wino, a w resztkach wykryto właśnie truciznę. Oczywiście, ona powiedziała, że nie wie, skąd się trucizna mogła dostać do wina. Zeznała na śledztwie, że jak mąż się położył, to mu jeszcze przez godzinę czytała. Zasnął bardzo prędko, ona zaś była tak zmęczona, że także zdrzemnęła się w fotelu, stojącym obok jego łóżka. Potem jednak zbudziła się nagle, posłyszawszy jakiś dziwny szmer. Miała wrażenie, jakby się ziarnko grochu toczyło po podłodze. Zrobiło jej się zimno, bo okno było otwarte.

Zamknęła je, żeby się mąż nie przeziębził. Ale choć zamykała je bardzo cicho, mąż się mimo wszystko obudził. Z kościelnej dzwonnicy wybiła właśnie północ. Mąż wylał ją podobno za to, że nie położyła się spać, a potem poprosił ją o wino. Podała mu kieliszek i wypił wszystko, potem pocałował ją w rękę. Pożegnała go i przeszła do swojej sypialni. Spała mocno, póki jej nie obudzono, aby jej powiedzieć, że mąż nie żyje. Niechże pan sam powie, czy to wszystko nie wygląda podejrzanie? Czyż mąż w noc poślubną wzywa żonę po to, żeby mu na głos czytała? Czy zasypia przy tym? Nie, nie, nawet i w takim wypadku, kiedy ma lat sześćdziesiąt! Ona jednak kilkakrotnie powtarzała te same zeznania, nie zmieniając w nich ani słowa. Nie można jej było udowodnić, że otruła naszego pana. Wtedy ją naturalnie zaarrestowano, a panowie z urzędu śledczego poszli do pałacu, zrobili rewizję i wszystkich przesłuchali. Posłano także telegram do pani von Tölz, która zaraz przyjechała ze swymi dziećmi. Dotąd jeszcze mieszkają w pałacu. Pani von Tölz zaczęła się zaraz tak zachowywać, jakby była spadkobierczynią pana barona. Nie wiedziała o tym, że ślub odbył się już poprzedniego dnia. Wydawało się jej, że jednak uda im się zagarnąć majątek. Nic jednak nie pomogło. Młoda pani okazała się sprytniejsza od nich, bo nasz pan sporządził nawet testament, który podpisał zaraz po ślubie. A w testamencie zapisał wszyściuteńko swojej żonie. Pani von Tölz

i jej syn o mało zmysłów nie stracili, jak się dowiedzieli, że już po ślubie. Pan Norbert, podobno, padł jak martwy na podłogę, jeden z lokai to widział. Tylko jego siostra, panna Blandyna, zachowywała się spokojnie i z godnością. Pani von Tölz zawołała zaraz, że młoda pani zamordowała jej kuzyna. A jej syn opowiadał każdemu, że młoda pani jest złą, przewrotną kobietą, a przy tym świętoszką, która udaje niewinną i oszukuje wszystkich swoją anielską twarzą. Ale my tutaj nie jesteśmy tacy głupi, nam nikt nie zamydli oczu, a tym bardziej ta trucicielka. Wiemy, że zgładziła swego męża ze świata, wiemy o tym równie dobrze, jak pani von Tölz i jej syn. Bo któż by to mógł być inny? Ci panowie z sądu zobaczyli gładkie liczko i dali się wziąć na lep, dlatego też uwolnili ją z braku dowodów. Powróciła potem do pałacu i jest panią, a pani von Tölz i jej dzieci powinni Bogu dziękować, że pozwoliła im tutaj pozostać.

- Więc krewni pana von Tübingen mieszkają z nią razem w pałacu? - spytał w zamyśleniu Frank Rüdiger.

- Tak, nie odjechali wtedy, a pani von Tübingen pozwoliła im pozostać. Kiedy przebywała w więzieniu śledczym, pani Tölz ujęła w swoje ręce ster gospodarstwa. Jest to bardzo energiczna osoba. A pan Norbert zaczął odgrywać rolę pana i niby to administruje majątkiem. Młoda pani wszystko

znosi w milczeniu, pewno obawia się, że krewniacy gotowi jej wytoczyć proces. Pan Hall nie jest dobrym ani miłym człowiekiem, o nie! Ludzie skarżą się na niego, choć teraz trochę się uspokoił i nie prowadzi dawnego hulaszczego życia. Nikt nam jednak nie zastąpi naszego nieboszczyka dziedzica, który lubił ludzi i zawsze im dopomagał... Ach, cóż to był za człowiek! Gdyby nie popełnił tego głupstwa i nie ożenił się z młodą dziewczyną, to na pewno żyłby do dziś dnia. Pan Norbert jest nicponiem, ale jesteśmy niestety w zależności od niego, bo pani Tübingen pozwala mu bawić się w pana. Ona sama prowadzi życie ciche i samotne, wychodzi rzadko z domu, z nikim nie rozmawia. Ludzie jej unikają, jest jakby napiętnowana. Dzieci lękają się jej i uciekają, gdy ją tylko zobaczą. To pan Hall obdarzył ją mianem czarownicy i trucicielki. Powiedział raz dzieciakom: Zmykajcie przed tą czarownicą, bo was jeszcze otruje! Teraz nikt jej inaczej nie nazywa, tylko trucicielka... Co prawda, to nie wygląda ona na to, przeciwnie, podobna jest do świętej z obrazka. Powiedziałem ja kiedyś panu Norbertowi, że młoda pani przypomina prędzej anioła niż diablicę, a on mi na to: Takie są najgorsze, bo potrafią udawać, żeby nikt nie poznał jaki diabeł w nich siedzi...

- Więc pan Hall jest głęboko przekonany, że pani Tübingen otruła swego męża?

- Ma się rozumieć, proszę pana! Nikt w to nie wątpi, choć w sądzie nie potrafili jej tego dowieść...

Frank Rüdiger zamyślił się głęboko. Po chwili wreszcie rzekł powoli:

- Dziwi mnie, że w takim razie mieszka z nią pod jednym dachem, przyjmuje od niej dobrodziejstwa i pozwala matce i siostrze przebywać w jej towarzystwie.

- Boże kochany, to bieda zmusiła go do tego, tylko bieda! Bo oni zupełnie zubożeli. Pan Norbert miał długów po uszy, wszystko przegrał w karty i przehulał. Od czasu jak zarządza majątkiem usatkwował się trochę. Pewno tam przy okazji niejednen grosik wpada mu do kieszeni... Nie chcę nikogo obgadywać, broń Boże! Dostyc tym państwu jest nieprzyjemnie, że muszą być zależni od takiej osoby...

Frank Rüdiger napił się wina, po czym zauważył:

- Wolałbym rąbać kamienie na szosie, niż przyjmować dobrodziejstwa od kobiety, w dodatku posądzonej o popełnienie zbrodni!

- Oj, święte to słowa, proszę pana, jestem także tego zdania. Ale pan Norbert opowiadał raz panu doktorowi i naszemu wójtowi, że w rzeczywistości on jest prawym spadkobiercą naszego pana, bo pani Tübingen wyłudziła ten spadek. Nie uważa on wcale, że jest u niej na łasce, bo mu się to

wszystko należy. Może być, że ma trochę racji, ale ja mu tam nie bardzo wierzę. To taki człowiek, który wszystko uważa za słuszne, z czego może wyciągnąć jakąś korzyść.

- A czy nikomu nie przyszło na myśl, że pani Tübingen może się jednak okazać niewinną?

- Ależ, panie, przecież nikogo oprócz niej nie było tej nocy w pokoju nieboszczyka! Służba poszła spać. Ona sama nalewała wino z butelki, w której nie wykryto śladu trucizny. Nie można było jedynie dojść prawdy, skąd wzięła tę truciznę. A jej obrońca był wspaniałym adwokatem, eleganckim, wymownym, więc ją wyplątał z matni. Została uniewinniona. Czy pan nigdy nie słyszał o tym procesie?

- Nie, bawiłem przez dłuższy czas za granicą. Zaraz po ukończeniu wojny wyjechałem z kraju, na Borneo. Powróciłem zaledwie kilka miesięcy temu.

- Ale na wojnie pan był?

Frank Rüdiger skinął głową. Jego energiczne, ostre rysy skurczyły się na chwilę, w szarych pięknych oczach ukazał się wyraz, charakterystyczny dla wszystkich uczestników wojny, którzy poznali jej całą grozę.

- Byłem od początku, aż do końca.

- Oj, okropne to były czasy, a najgorsze nastąpiło potem - rzekł oberżysta.

Frank Rüdiger przesunął ręką po czole i odstawił talerz.

- Bogu wiadomo, że to prawda! Nie mogłem dłużej patrzeć na to wszystko i wyjechałem. Wytrzymałem jednak tylko zaledwie kilka lat na obczyźnie. Tęskniłem bardzo za krajem, więc wróciłem. A co zdołałem zarobić i uciułać, to przywiozłem i kupiłem za to kawałek rodzinnej ziemi.

- To kupno było korzystne, proszę pana. Ziemia jest dobra, a majątek porządnie zagospodarowany. Ludzie powiadają, że pan jest energicznym, pracowitym człowiekiem, poznali to, choć pan tu dopiero mieszka od dwóch tygodni. Przy tym jest pan młody, silny i zdrowy, powinno wszystko iść jak najlepiej.

Frank Rüdiger podniósł się z miejsca.

- Poproszę o rachunek! Pora wracać do domu. Przypuszczam, że lekarstwo dla mojej gospodyni powinno być gotowe. Muszę jeszcze wstąpić do doktora.

Zapłacił i wyszedł z oberży, a za nim postępował gospodarz. Parobek trzymał za cugle konia. Frank wskoczył na siodło i z pożegnalnym ukłonem odjechał.

Przez całą drogę nie mógł myśleć o niczym innym, tylko o młodej kobiecie, która w noc poślubną zgładziła swego, o 40 lat starszego męża. Czy rzeczywiście to uczyniła?

Nie ma większej zagadki nad kobietę! Wiedział o tym Frank

Rüdiger. Niejedną kobietę spotkał na drodze swego życia. Należał do mężczyzn, którym kobiety chętnie składają serce w darze, choć oni wcale nie starają się o to. Jego rycerskość, wrodzona dobroć, miłe obejście i sympatyczna powierzchowność zdobyły mu wiele serc niewieścich. Poznał wiele kobiet, lecz żadna nie wywarła na nim szczególnego wrażenia. Nie spotkał takiej, która by go zainteresowała lub przykuła do siebie na czas dłuższy. Nie było między nimi żadnej, która by się odznaczała wielką wartością moralną, za to jednak znalazł Frank wśród nich niejedną zagadkę.

Zdawało mu się jednak, że teraz na drodze jego życia stała najbardziej zagadkowa kobieta spośród wszystkich, dotąd poznanych. Mimo woli pogrążył się w zadumie.

Czy to możliwe, że za tą piękną niewinną twarzą ukrywa się nikczemna dusza? Czy doprawdy te piękne, wysmukłe, białe ręce podały starzejącemu się mężowi zatruty napój? Jeżeli to popełniła, to przecież jedynie chciwość, pragnienie złota mogły ją skłonić do tego kroku? Chciwość jednak na każdej twarzy wyciska swoje piętno, a tego piętna nie dostrzegł na szlachetnym obliczu nieznajomej! Nie, nie, ta kobieta nie była zdolna do morderstwa, nie mogła tego uczynić z tak niskich pobudek!

Czemu jednak ta młoda istota wstąpiła w związek małżeński ze starcem? Czy to samo nie było już dowodem niskiego charakteru? Kobieta powinna się ofiarować z miłości, a nie sprzedawać. Czyżby się doprawdy sprzedała, aby prowadzić życie wystawne, wśród przepychu i bogactwa? Tak młodziutkie stworzenie mogło przecież tylko przez wyrachowanie zostać żoną starego człowieka, zaprzedać mu ciało i duszę za cenę złota.

A może jednak miała inne powody?

Co chwila widział przed sobą twarz młodej kobiety, jej pełne rozpaczycy oczy, którymi zdawała się go błagać o zmiłowanie i pomoc. I znowu powtarzał:

- Nie, ona nie popełniła zbrodni, ona nie wyszła za mąż, powodowana chęcią zysku. Ta kobieta nie jest do tego zdolna.

Im więcej o tym myślał, tym większe ogarniało go wzruszenie. A jeżeli była bez winy? Czy nie powinien jej służyć radą i pomocą?

Wreszcie, zły na samego siebie, usiłował nadać inny bieg swoim myślom. Zmuszał się, żeby myśleć o rozmaitych sprawach gospodarczych, o rzeczach obojętnych, nie mających nic wspólnego z nieznajomą.

Droga jego prowadziła coraz wyżej. Wyjechał z doliny i znalazł się w górach. Przejazdówka trwała przeszło godzinę, wreszcie ujrzał dwór w

Obergriesbach. Był to piękny drewniany dworek, wznoszący się na mocnych fundamentach z kamienia. Oto był jego dom! Serce zabiło mu radośnie. Oczom jego przedstawiał się wspaniały krajobraz.

Otrząsnął wszystkie dręczące myśli. Postanowił, że będzie unikał tej pani Tübingen, że przestanie się zajmować jej losem. Cóż go obchodziła ta kobieta, którą wiejskie dzieci nazywały czarownicą i trucicielką?

Zeskoczył z konia i podał cugle nadbiegającemu parobkowi. Dom jego nie był tak wspaniały i imponujący jak pałac w Untergriesbach, lecz również wygodny i okazały. W przestronnym przedsionku wyszła mu na spotkanie kobieta, mogąca liczyć około lat pięćdziesięciu. Twarz jej była wykrzywiona kurczem bólu.

- Pani Remblin? Dlaczego się pani nie położyła? Prosiłem, żeby pani poszła do łóżka!

- Kiedy nie mam spokoju, proszę pana. Coś mnie nosi po całym domu.

Wyjął z kieszeni flaszkę z lekarstwem.

- Jak się pani teraz czuje? Czy ból ustąpił?

- Oj, nie! Ciągle mi się zdaje, że mnie ktoś wewnątrz nożem kraje. Pewno już niedługo umrę, proszę pana.

Zaśmiał się ironicznie.

- Pani jeszcze nigdy nie chorowała, dlatego się pani tak zdaje. Proszę brać to lekarstwo według przepisu doktora, a jutro będzie pani z pewnością lepiej. Na pewno pani jeszcze tak prędko nie umrze, bo i cóż bym ja począł bez mojej gosposi. A teraz proszę się natychmiast położyć i zrobić sobie gorący okład. To pani pomoże.

- Najpierw podam panu obiad.

- Nie trzeba, jadłem już we wsi, „Pod Czerwonym Lwem”. Niech się pani natychmiast położy, przez jeden dzień musimy się obejść bez pani.

- Och, nigdy jeszcze nie byłam taka słaba. Nigdy w życiu nie chorowałam.

- Dlatego to wszystko wydaje się pani takie straszne. Niech się pani nie obawia, jutro zapomni pani o tym.

- Czy pan naprawdę tak myśli? - spytała z powątpiewaniem staruszka.

- Z całą pewnością! To zwykły katar żołądka. Proszę się położyć! Życzę pani polepszenia.

- Dziękuję panu ślicznie. Pan jest dobry dla swoich ludzi, zaraz to zmiarkowałam. Pojechał pan sam do doktora, po lekarstwo dla mnie...

- Pragnę przecież, żeby moja gosposia była zdrowa - rzekł z uśmiechem, po czym skinąwszy głową, przeszedł do bawialni.

Poznał od razu, że pani Remblin miała katar żołądka. Nieraz podczas wojny, widywał takie wypadki. Nie miał jednak w domu potrzebnego lekarstwa, dlatego pojechał do doktora, którego jednocześnie poprosił o spis środków, niezbędnych w domowej apteczce. Gdyby posiadał lekarstwo w domu, nie był by zmuszony jechać do lekarza i zatrzymywać się w Griesbach. Nie był by poszedł do lasu, nie odpoczywał by na pniu, obok leśnego źródła. A wtedy... wtedy nie został by też świadkiem owej sceny w lesie, nie zobaczyłby pani von Tübingen, nie usłyszałby o jej losach. Być może, iż nigdy by jej w ogóle nie ujrzał, gdyż prowadziła życie samotne.

Stwierdził, że znowu myśli o tej kobiecie. Czyż doprawdy nie potrafił już myśleć o czym innym?

Podszedł do okna, spoglądając na zaśnieżone górskie szczyty. Oczy jego napawały się tym wspaniałym widokiem, myśli jednak krążyły nadal koło bladej, smutnej kobiety.

Jutta v. Tübingen przemknęła się rzeczywiście, jak to przypuszczał Frank Rüdiger, przez małą, zieloną furteczkę w żywopłocie. Chętnie korzystała z tego ukrytego miejsca, ilekroć wybierała się na przechadzkę do lasu. Nie miała wówczas potrzeby przechodzić główną bramą, skąd każdy mógł ją zobaczyć.

* * *

Od owego dnia, kiedy padło na nią podejrzenie, iż zabiła swego męża, od chwili, gdy zamknięto ją w więzieniu śledczym, stała się cicha, lękliwa i unikała ludzi. Ilekroć wspominała tamten okres czasu, ciałem jej wstrząsały dreszcze przerażenia.

Kiedy wychodziła z domu, szukała zawsze odległych, samotnych dróg, na których nie spotykała ludzi; bała się ich, gdyż wierzyli, że jest winną, gdyż na ich twarzach malował się wyraz pogardy.

Najbardziej bała się spotkań z dziećmi, które uciekały przed nią, ciskając jej w twarz okropną obelgę. Za każdym razem odczuwała to słowo, jak policzek. Nie wiedziała, że to ohydne przezwisko ma do zawdzięczenia Norbertowi v. Hall, sądziła, iż dzieci same wymyśliły dla niej tę nazwę.

Trucicielka!

Zadrzała, kiedy nareszcie zamknęła się za nią mała zielona furka. Słaniając się bezsilnie, oparła się o nią. Chwała Bogu, teraz znajdowała się znowu w bezpiecznym ukryciu, gdzie nie mogły jej dosięgnąć okrutne niemiłosierne wyrazy dzieci, ani pełne współczucia spojrzenia obcego mężczyzny, który spoglądał na nią z niewymowną litością. Nie znała go, był to zapewne jakiś turysta. Nigdy go jeszcze nie widziała, a on zapewne nie wiedział nic o jej

hańbie, o okropnym podejrzeniu, które ciążyło na niej, a którego nie mogła zrzucić, choć została w sądzie uniewinniona. Zapewne gdyby znał całą sprawę, byłby się od niej ze wstrętem odwrócił, tak jak wszyscy inni ludzie.

Rzecz dziwna - wydawało się jej, że to by ją bardziej bolało, niż wszystko, co dotąd przeszła.

Nasłuchiwała z zapartym tchem. Usłyszała jego kroki, domyśliła się, że stał przez chwilę przed furką, a potem się oddalił.

Pobiegła przez park do pałacu, jakby ją ktoś gonił. Nie spotkawszy nikogo, wpadła do swego pokoju, podeszła do zasłoniętego okna i patrzyła przez szparę w firance. Przed wrotami parku zobaczyła nieznanego. Oczy jej zawisły na jego interesującej, energicznej twarzy, na wytwornej, wysmukłej postaci. Patrzyła na niego długo, dopóki wreszcie nie oddalił się i nie znikł na zakręcie. Jeżeli teraz pójdzie na wieś, dowie się z pewnością, że ona jest morderczynią - przecież wszyscy byli o tym przekonani.

Tłumiąc w sobie ból, padła na fotel, oparła łokcie na kolanach i złożyła ręce.

Jak długo przyjdzie jej jeszcze żyć pod brzemieniem okropnego podejrzenia? Czyż nigdy nie będzie mogła spojrzeć ludziom otwarcie w oczy? Czy zawsze będzie musiała czytać na ich twarzach wyraz pogardy? Nikt, nikt jej nie wierzył!

- Ojcze Niebieski, uwolnij mnie nareszcie od tych katuszy! Cóżem ja zawiniła, że muszę znosić tak straszliwe cierpienia!

Szeptala żarliwe słowa modlitwy, a jej białe oblicze przypominało twarz umarłej.

Siedziała tak przez kilka minut ogarnięta beznadziejną rozpaczą. Wtem ktoś zapukał do drzwi. Opanowała się ostatnim wysiłkiem woli, zmuszając się do spokoju. Twarz jej przybrała wyraz kamiennej obojętności. Zawołała:

- Proszę wejść!

Szczupła, średniego wzrostu młoda panienska weszła do pokoju. Mogła liczyć około dwudziestu wiosen i miała delikatne wdzięczne rysy twarzy. Jej jasne włosy, koloru dojrzałych kłosów, były ładne i wytwornie uczesane. Jasne, błękitne oczy wyzierały z miłej twarzyczki, której największym urokiem była świeża, różowa cera. Ładnie wykrojone usta uśmiechały się z pewnym zakłopotaniem. Miała na sobie granatową, wełnianą sukienkę, ozdobioną dużym białym kołnierzem i białymi guzikami.

- Chciałam zobaczyć, pani Jutto, czy pani już powróciła z przechadzki - rzekła, zamykając za sobą drzwi.

Jutta odgarnęła z czoła pasma kasztanowatych, gęstych włosów, które były upięte nad karkiem w gruby węzeł.

- Wróciłam przed chwilą - odparła swoim miękkim altem. Blandyna von Tölz zbliżyła się do niej i spojrzała badawczo w jej twarz.

- Wygląda pani tak blado... Musi pani być zdenerwowana... Czy spotkała panią jakaś przykrość? - spytała troskliwie.

Na ustach Jutty ukazał się gorzki uśmiech.

- Wiejskie dzieci znowu mnie zaczepiały i obrzucały tym samym przewiskiem, które stale mają dla mnie w pogotowiu.

Blandyna otoczyła Juttę ramieniem, jakby ją chciała obronić.

- Biedactwo! Czyż nigdy nie dadzą pani spokoju? - spytała ze współczuciem.

- Nie, nigdy nie zaznam spokoju, dopóki nie nastąpi cud, dopóki morderca mego męża nie zostanie wykryty - odparła z westchnieniem.

- Nie rozumiem, jak można panią wciąż prześladować tym podejrzeniem - rzekła dziewczyna bezdźwięcznie, spuszczać wzrok ku ziemi.

Jutta chwyciła ją szorstkim, gwałtownym ruchem za rękę.

- Przecież i pani mnie podejrzewa, panno Blandyno! Nie wierzy pani w moją niewinność, podobnie jak nie wierzą w nią brat i matka pani. Tylko brat pani usiłuje mi wmówić, że w nią wierzy.

Blandyna spojrzała jej spokojnie w oczy.

- Ja wierzę w pani niewinność, pani Jutto, muszę w nią wierzyć.

Jutta zaśmiała się gorzko.

- Tak, zmusza się pani do tego, podobnie jak brat pani. Inaczej nie moglibyście przecież przebywać w moim domu. Dlatego okłamujecie samych siebie, a także i mnie. Jedyna osoba, która przynajmniej otwarcie przyznaje się do tego, że posądza mnie o ten czyn, to wasza matka. Daje mi ona wyraźnie do zrozumienia, że mieszka tutaj, gdyż skłaniają ją do tego złe warunki materialne. O, panno Blandyno, proszę mi wierzyć, że wolę znosić jawną pogardę, wynikającą z głębokiego wewnętrznego przekonania, niż waszą obłudę!

Blandyna milczała przez chwilę, a po twarzy jej przebiegło drżenie. Potem zarzuciła nagle ręce na szyję Jutty i spojrzała na nią błagalnie.

- Jutto, droga Jutto, niechże mi pani wierzy! Jestem głęboko przekonana o pani niewinności, tak jak o mojej własnej... Norbert... tak, on udaje, ale nie wierzy, bo... bo gdyby był o niej tak przeświadczony jak ja... wówczas, ach, wówczas...

Urwała. Potem szybko rozluźniła uścisk i, jakby wstydząc się tego uniesienia, podeszła do okna, aby ukryć wzburzenie, malujące się na jej twarzy.

- Wówczas? Co wówczas, Blandyno? - spytała Jutta, wzdychając ciężko.

Blandyna opanowała się, a po twarzy jej przemknął blady uśmiech. Nie chciała wypowiedzieć tych słów, które przemocą cisnęły się jej na usta.

- Ach, miałam tylko na myśli, że w takim razie powinien był uczynić coś w obronie pani, zwłaszcza wobec ludzi. Nie mógłby spokojnie patrzeć jak obrzucają panią obelgami.

- Czyż pani staje w mojej obronie, panno Blandyno?

- Ja? Ach, Boże, ja się przecież z nikim nie widuję, nigdzie nie bywam... Rada jestem, gdy nikogo nie widzę.

Usta Jutty wykrzywiły się bolesnym grymasem.

- Wstydzi się pani zapewne, że mieszka pani pod jednym dachem z kobietą, która uchodzi za trucicielkę? - rzekła z goryczą.

- Nie, nie tego się wstydzę. Ale wstydzę się okropnie, że przyjmuję od pani dobrodziejstwa, że wszyscy korzystamy z łaski pani, a mimo to mój brat i matka są dla pani tak nieprzychylnie usposobieni.

- A pani? Czy pani również żywi dla mnie tak nieprzyjazne uczucia?

Blandyna ujęła rękę Jutty.

- Och, proszę tak nie myśleć! Czyż pani zna mnie tak mało, droga Jutto?

- Znam panią doprawdy bardzo mało, Blandyno. Podczas tych dwóch lat, które spędziła pani w moim domu, nigdy chyba jeszcze nie rozmawiałyśmy tak długo jak dziś. Widujemy się przeważnie tylko przy stole, a wtedy siedzi pani zwykle ze spuszczonej oczyma i milczy. Jakże można w ten sposób poznać człowieka? Odwiedziny pani w moim pokoju uważam za niezwykle wydarzenie.

- Dziś także nie zdobyłabym się na odwagę... Pani zawsze jest taka chłodna i niedostępna... Widziałam jednak, że biegła pani przerażona przez park... wtedy jakaś niepojęta siła pchnęła mnie do pani. Czyż pani doprawdy nie czuje, że jestem pani życzliwa, że wierzę święcie w niewinność pani? Kto przypuszcza, że jest pani zbrodniarką i skrytobójczynią, ten doprawdy nie zna się na ludziach!

Słowa dziewczyny brzmiały taką mocą przekonania, tyle w nich było serdeczności, że Jutta spojrzała na nią zaskoczona.

- To brzmi tak, jakby pani mówiła prawdę - szepnęła.

Stały przez chwilę, patrząc sobie w oczy i nie mówiąc ani słowa. Potem Jutta przyciągnęła Blandynę ku sobie.

- Dobrze, poczciwe dziecko! Proszę się nie dziwić mojemu zwątpieniu. Nie mogę po prostu pojąć, że w moim otoczeniu istnieje człowiek, który mi wierzy. Ta myśl jest dla mnie tak wielkim dobrodziejstwem, wydaje mi się prawie cudem. Czy to prawda?

- Niech pani spojrzy mi w oczy, Jutto! Czyż mogłabym panią okłamywać, za tyle dobroci, jaką pani nam okazuje? Wydawałabym się samej sobie istotą godną pogardy.

Pierś Jutty uniosła się głębokim westchnieniem.

- Człowiek, który wierzy we mnie - tak, wydaje mi się to istnym cudem - powtórzyła, drżąc na całym ciele.

Blandyna, wzruszona, pogłaskała jej rękę.

- Ani przez chwilę nie wątpiłam o niewinności pani; wierzę w nią od czasu, gdy panią zobaczyłam. Zanim poznałam panią, wtedy przez jakiś czas sądziłam, że pani popełniła tę zbrodnię, gdyż wszystkie poszlaki świadczyły przeciwko pani. Gdyśmy jednak przyjechali z miasta, gdy panią ujrzałam, wtedy doznałam pewności, że pani nie jest morderczynią. Chciałam to już pani wtedy powiedzieć, musiałam się jednak zająć matką i bratem, którzy mieli zamiar procesować się z panią o spuściznę. A potem - potem pani była wciąż zamknięta, tak niedostępna i zimna... Nie dziwię się zresztą temu, byłam przecież dla pani osobą obcą.

- Zdawało mi się, że i pani jest do mnie wrogo usposobiona, podobnie jak reszta rodziny.

- O, nie, nigdy! Byłam zapewne niezręczna. Dręczyły mnie wtedy jakieś dziwne, niejasne przeczucia i przypuszczenia. Zastanawiałam się wciąż nad tym, kto jest mordercą wuja, i to mnie tak męczyło. Do dziś dnia gnębią mnie jeszcze niekiedy takie myśli. Bo ja bardzo lubiłam wuja Maltego, choć nigdy nie okazywałam mu tego. Zmartwiła mnie jego nagła śmierć. Miałam wrażenie, że krążę po omacku wśród mroku, lecz mimo to lękałam się jasności. Zapewne musiałam się wobec pani bardzo niemądrze zachowywać. Jednego tylko byłam zawsze pewna - że pani nie jest morderczynią!

Jutta złożyła ręce i wzniosła oczy ku niebu.

- Bóg jeden wie tylko, Blandyno, dlaczego zesłał na mnie tę okropną próbę! Zadawałam sobie nieraz to pytanie, lecz nie znalazłam odpowiedzi. Być może, iż grzeszę pychą, twierdząc, że nie uczyniłam nigdy nic złego, bo przecież wszyscy ludzie mają ułomności i wady... Ale nie, nie poczuwam się do tak wielkiego grzechu, który zasługiwałby na tak srogą karę.

- Jestem o tym przekonana, kochana Jutto! Niech mi pani wierzy, że tak jest w istocie. Na dowód prawdy moich słów proszę panią bardzo, aby

pozwoliła mi pani mówić sobie „ty”, jak to jest w zwyczaju między krewnymi.

Jutta długo spoglądała z powagą w oczy Blandyny, która śmiało wytrzymała to badawcze spojrzenie.

- Wierzę ci Blandyno i dziękuję za ten dowód dobroci. Znalazłam przynajmniej jedną duszę, która wierzy we mnie.

Uścisnęły się serdecznie, po czym Blandyna rzekła wzruszona:

- Och, Jutto, gdybym ci mogła pomóc, gdybym to potrafiła! Jutta przesunęła ręką po jej włosach.

- Tylko Bóg może mi pomóc, Blandyno! Tyś jednak wlała pociechę w moje serce, a to już wiele znaczy. To takie okropne uczucie, gdy się ma świadomość, że wszyscy ludzie nami pogardzają. Cierpię ogromnie wskutek nieprzychylności twej matki, lecz jest coś... co mnie jeszcze bardziej gnębi...

- Czy powiesz mi, co to takiego?

- Tak, Blandyno, tobie wyznam wszystko. Sądzę, że i tobie wyda się to równie zagadkowe, jak i mnie. Wiesz przecież o tym, że twój brat jest wobec mnie wyjątkowo wrogo usposobiony, aczkolwiek udaje zawsze, iż wierzy w moją niewinność...

Twarz Blandyny pokryła się rumieńcem.

- Niestety, wiem o tym Jutto... Uważam również, iż to bardzo brzydko ze strony Norberta, że wobec ciebie udaje, a nie stara się stanąć w twej obronie wobec innych, przeciwnie...

Jutta przymknęła oczy i skinęła głową.

- A widzisz! Toteż wyobraź sobie moje przerażenie, gdy Norbert, przyszedłszy do mnie wczoraj wieczorem, aby mi złożyć całodzienny raport, wyznał mi w namiętnych wyrazach swoją miłość i zapytał, czy zechcę zostać jego żoną.

Blandyna drgnęła i z osłupieniem patrzyła na Juttę.

- Nie, nie! To chyba niemożliwe! - wyjąkała. Gorzki uśmiech przemknął po twarzy pani Jutty.

- Ach, teraz i ciebie zdjął lęk! Boisz się zapewne, że gotowam jeszcze ściślej połączyć z wami mój nędzny żywot? Uspokój się, odrzuciłam oświadczyzny Norberta! Nie wiem jednak, co mam sądzić o nim. Nigdy nie wyszłabym za męża, dopóki na mym nazwisku ciąży ohydna plama. Co się zaś tyczy Norberta, to w żadnym wypadku nie zostałabym jego żoną, bo - mówię z tobą zupełnie szczerze - czuję głęboką odrazę do twego brata, choć stara się on zawsze okazywać mi wiele życzliwości. Nie wierzę w jego miłość, jego namiętność jest udana. Zależy mu wyłącznie na tym, żeby odzyskać majątek,

który stracił z mego powodu. To jedyna pobudka jego oświadczyn. Uważam to postępowanie za wstrętne, tym bardziej, że Norbert wierzy, iż otrułam mego męża.

Blandyna osunęła się bezsilnie na fotel. Zacisnęła ręce i z dziwnym wyrazem spoglądała na Juttę.

- Och, czemuś nas zatrzymała u siebie? Dlaczego przyjmujesz przykrości od mojej matki, dlaczego odpowiadasz milczeniem na obłudne postępowanie Norberta? Czemu odpłacasz nam dobrem za zło? Dlaczego, powiedz, dlaczego?

- Dlaczego? Bo wiem, że zburzyłam wasze nadzieje na spadek. Matka twoja powiedziała mi pierwszego dnia, że liczyła na ten majątek; nie przypuszczaliście nigdy, że wuj Maltę się ożeni, był przecież w podeszłym wieku, więc nikt nie mógł sądzić inaczej. Ożenił się jednak ze mną - skłoniły go do tego najszlachetniejsze pobudki - i ten fakt nałożył na mnie pewne obowiązki; pragnęłam dać wam pewnego rodzaju odszkodowanie za ten zawód, jaki wam zrobiłam. Wiem, że mój mąż stale wam pomagał, że całymi tygodniami przebywaliście w Untergriesbach. Ponieważ zostałam jedyną spadkobierczynią mego męża, bez żadnych ograniczeń, przeto sądziłam, że postępuję w jego duchu, zatrzymując was u siebie. Kiedy wróciłam z więzienia śledczego, zastałam was w pałacu; twój brat zajął się administracją majątku, pozostawiłam go więc na tym stanowisku, wiedząc, że w przeciwnym razie zostanie bez środków do życia. Spodziewaliście się, że wuj Maltę zapisze wam majątek... Muszę ci jednak powiedzieć, że była to ze strony twojej matki pomyłka.

Nawet gdyby twój wujaszek nie ożenił się ze mną, nawet i wówczas twoja matka nie zostałaby jego spadkobierczynią. Na krótki czas przed ślubem mąż pokazał mi swój dawniejszy testament, który potem zniszczył. Pominął was w tym testamencie. Twoja matka miała otrzymywać skromną pensję miesięczną, a reszta miała przypaść dla skarbu państwa. Mąż mój powiedział mi, że nie chce, aby jego majątek miał kiedykolwiek dostać się w ręce Norberta, który jest hulaką i jeszcze czymś gorszym. Nie chciał mi opowiedzieć szczegółów. Po śmierci matki, renta miała być tobie wypłacana. Tak brzmiał dawny testament twego wuja. W swoim nowym testamencie, który sporządził na moją korzyść, pominął osobę twojej matki, będąc przekonanym, że ja nie pozwolę, abyście cierpieli niedostatek. Przepraszam cię, że ci o tym mówię, lecz pragnę cię tylko przekonać, że ja niczego wam nie odebrałam. Mój mąż czuł głęboką odrazę do Norberta, nie lubił także twojej matki, jedynie tobie nie miał nic do zarzucenia.

Blandyna skinęła potakująco głową.

- Wiem, Jutto, wiem, że mówisz prawdę. Wuj Małtę dobrze znał ludzi. Mniejsza o to, co go skłoniło do małżeństwa z tobą, był przecież panem swojej woli. W każdym razie, to bardzo szlachetnie z twojej strony, że w obecnych warunkach nie usunęłaś nas z twojego domu, że dzięki tobie pędzimy spokojne, beztrudne życie. Jedno tylko pragnę jeszcze wyjaśnić. Zauważyłaś moje przerażenie, kiedy mi wspomniałaś o oświadczeniach Norberta. Otóż, ja nie dlatego się przeraziłam, że się obawiam silniejszych więzów pokrewieństwa z tobą, lecz dlatego, że nie spodziewałam się po Norbercie takiej podłości. Nie przypuszczałam, że będzie do tego zdolny, choć niestety nie mam o nim zbyt dobrego wyobrażenia.

Ostatnie wyrazy Blandyna wymówiła z niezwykłą u niej gwałtownością.

Jutta spojrzała pytająco w jej twarz.

- Dlaczego nazywasz jego oświadczenia podłością? - zagadnęła.

Blandyna z trudem opanowała się. Jej wzrok prześlizgnął się po twarzy Jutty, po czym wlepiła znowu oczy w posadzkę. Myślała w tej chwili o tym, że Norbert opowiada wszystkim o przestępstwie

Jutty, jako o rzeczy dowiedzionej, że ją łączy i podczas jej nieobecności wyraża się o niej z najwyższą pogardą. W rozmowie z matką nie ukrywał swego wrogiego stosunku do młodej kobiety, słuchał z zadowoleniem gdy matka dawała upust swojej nienawiści. A teraz udawał namiętnie zakochanego i oświadczył się jej. Takie postępowanie było w oczach Blandyny podłością.

- Dlaczego? - spytała ochryłym głosem. - Dlatego, że to podłość oświadczać się kobiecie jedynie przez wyrachowanie. Norbert pragnie się z tobą ożenić, żeby zagarnąć twój majątek, tak, tylko dlatego!

- Wiem o tym, Blandyno.

- Wstyd mi za niego, wstyd! - zawołała Blandyna w najwyższym uniesieniu.

Jutta przyciągnęła ją ku sobie.

- Nie przejmuj się tym, kochanie, sprawa jest przecież przesądzona. Nie chciałam ukrywać przed tobą tego faktu. Norbert czuł się zresztą bardzo obrażony moją stanowczą odmową, był ogromnie zdenerwowany i spoglądał na mnie osłupiałym wzrokiem. W każdym razie odegrał tak dobrze swoją rolę człowieka zakochanego, że z przykrością słuchałam jego namiętnego wyznania. Gdyby nie to, że ty i twoja matka mieszkacie ze mną pod jednym dachem, nie zniosłabym dłużej jego obecności w moim domu.

Blandyna rzuciła się w objęcia Jutty.

- Nie każ mi pokutować za to, droga Jutto! Nie wyobrażasz sobie nawet, jaka jestem rada, że mogłam nareszcie z tobą szczerze pomówić, że... że zostaniemy przyjaciółkami. Czy chcesz być moją przyjaciółką, Jutto?

- Chętnie, jeżeli się zgadzasz, aby tak nieszczęśliwa kobieta jak ja była twoją przyjaciółką.

- Ach, Jutto, nie potrafisz sobie tego nawet wyobrazić, czym jest dla mnie twoja przyjaźń. Nie mam przecież nikogo bliskiego. Matka kocha wyłącznie Norberta, na mnie wcale nie zwraca uwagi. Jesteśmy sobie właściwie zupełnie obce.

- Będziemy tedy wiernymi przyjaciółkami, kochana Blandyno! A teraz muszę cię przeprosić, bo chcę się przebrać do obiadu.

Uścisnęły się raz jeszcze, po czym się rozstały...

* * *

Po chwili, Blandyna weszła do jadalni, która znajdowała się w innym skrzydle pałacu. Przeszła przez długi szereg apartamentów, a znalazłszy się w jadalni usłyszała, że w przyległym pokoju brat jej rozmawia z matką. Była jeszcze bardzo wzburzona, więc stanęła przy oknie. Nie zdawała sobie w tej chwili sprawy, że musiała z tego miejsca słyszeć każde słowo. Nagle jednak ocknęła się z głębokiej zadumy, słysząc głos matki, która mówiła:

- Odmówiła ci? Powinna była Bogu dziękować na kolanach, że znalazł się mężczyzna, który chce się z nią ożenić. Dość często wspominałam jej, że nie może się ludzi nadzieją zamążpójścia, bo nikt nie zechce kobiety okrytej niesławą.

- Powiedziałaś jej to, mamó? - spytał Norbert, najwyraźniej niemile zaskoczony.

- Naturalnie, że jej to powiedziałam. Czy mam robić wielkie ceregiele z tą trucicielką? Nie możesz sobie wyobrazić, Norbercie, jak się przestraszyłam, gdyś mi opowiedział o twoich oświadczeniach. Na szczęście, nie zgodziła się na to, co dowodzi, że orientuje się w swojej sytuacji. Jak mogłeś prosić o jej rękę?

- Ależ, mamó, zrozum, że tylko w ten sposób mógłbym odzyskać utracony spadek. Pozbylibyśmy się także raz na zawsze obaw, że ona wyjdzie za mąż za kogo innego.

- To prawda, lecz za taką cenę... Nie, nie! Dość już tego, że jesteśmy od niej zależni. Znoszę to jedynie, bo jestem przeświadczona, że właściwie my tu jesteśmy prawymi właścicielami, a nie ona. Jeżeli jest jeszcze jakaś sprawiedliwość w niebie, to nastąpi kiedyś dzień, w którym jej wina zostanie udowodniona!

W tej chwili na progu pokoju stanęła Blandyna.

- Rozmawiacie tak głośno, nie krępujecie się zupełnie, a przecież zamiast mnie mogła tu wejść Jutta i słyszeć waszą rozmowę. Nadejdzie tu lada chwila. Pragnę jednak skorzystać ze sposobności i powiedzieć wam, że jeżeli naprawdę istnieje boska sprawiedliwość, wówczas musi nastąpić dzień, w którym wyjdzie na jaw niewinność Jutty!

Pani von Tölz, kobieta wysoka, koścista, siwa, licząca lat ponad pięćdziesiąt, spojrzała chłodno na córkę.

- Cóż to za ton, Blandyno? O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, żeby wam raz wreszcie powiedzieć otwarcie, iż jestem przeświadczona o niewinności Jutty.

Norbert obrzucił przyrodnią siostrę dziwnie badawczym spojrzeniem.

- Co, wierzysz w jej niewinność? Jakaś ty niemądra, Blandynko. Kto inny poza nią mógł zamordować wuja?

W oczach jego malował się wyraz napięcia. Unikał oczu Blandyny, która spokojnie i z wielką powagą patrzyła na brata.

- Tego, niestety, nie wiem... Bo gdybym wiedziała i zataiła to przed Juttą, byłabym istotą, zasługującą na najwyższe potępienie. Może dla mnie samej lepiej, abym się nigdy nie dowiedziała prawdy...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic, uważam tylko, że powinniśmy dążyć z całych sił, aby uwolnić Juttę od tego okropnego podejrzenia, które ciąży na niej.

- Cóż możemy uczynić?

- Nie wiem. Wiem tylko, że gdybym była mężczyzną jak ty, uczyniłabym wszystko, aby dowieść niewinności Jutty. A ty zamiast tego utwierdzasz ludzi w mniemaniu, że to ona popełniła zbrodnię, podżegasz ich przeciwko niej. Nie wiem, czy takie postępowanie wobec bezbronnej kobiety, która wyświadcza nam tyle dobrego, można nazwać rycerskim!

- Mam być rycerski wobec kobiety, która jest zbrodniarką? - spytał ze złością.

- Powinieneś okazać się rycerskim wobec kobiety, której zawdzięczasz byt i dach nad głową, z której łaski korzysta twoja matka i siostra. Przed chwilą przyszła właśnie wzburzona i nieszczęśliwa z lasu, gdzie spotkała gromadkę dzieci. Znowu obrzuciły ją przezwiskiem, którym tyś ją napiętnował. I po tym wszystkim ważyłeś się prosić o jej rękę? Och, jakież to brudne - brudne i podłe!

Ostatnie wyrazy młoda panna wypowiedziała w najwyższym uniesieniu.

Norbert szybkim krokiem zbliżył się do niej.

- Powściągnij swój języczek, ty źmijo! O co ci chodzi? Jak śmiesz! - syknął, lecz po chwili spuścił wzrok nie mogąc wytrzymać jej śmiałego spojrzenia.

- Mówię prawdę, tylko prawdę - zawołała.

- Blandyno! - krzyknęła matka. - Cóż to za dziwne zachowanie! Co się stało, że występujesz nagle w obronie Jutty i obrażasz twego brata?

Blandyna z trudem opanowała wzburzenie.

- Gdybym miała od razu odwagę przekonań, już dawno stanęłabym w obronie Jutty; nie powinnam była milczeć i znosić spokojnie gdyście ją odsadzili od czci. Teraz jednak nie pozwolę jej lżyć i znieważać, jestem przyjaciółką Jutty i pragnę zasłużyć na jej przyjaźń.

- Oszalałaś, Blandyno! Ofiarowałaś przyjaźń osobie, która nie jest jej godną!

- Nie bój się, ona prędzej zasługuje na moją przyjaźń niż ja na jej życzliwość. Teraz jednak wszystko się zmieni. Nie pozwolę, żebyście o niej źle mówili. Jeżeli ją znieważacie, to nie powinniście mieszkać u niej i korzystać z jej dobrodziejstw. Takie postępowanie jest nieszlachetne.

- Zwariowałaś, masz po prostu bzika! - syknął Norbert ze złością.

Blandyna zmierzyła go długim, badawczym spojrzeniem.

- Chciałabym wiedzieć, co się dzieje w twojej duszy, jak wygląda naprawdę twoje oblicze - rzekła.

Zmienił się na twarzy, drgnął, potem jednak przybrał obojętny wyraz i odpowiedział:

- Jesteś po prostu histeryczką, moja droga! Nie zwracaj mi głowy.

- Nie zapominaj o tym, Blandyno, że mamy prawo przebywać w tym domu - wtrąciła matka - Jutta zagarnęła dziedzictwo, które się nam należało. Ja nie odczuwam wcale, że wyświadcza nam ona dobrodziejstwa. Zresztą, ona sama zdaje sobie sprawę, że nas skrzywdziła, a jeżeli w jej duszy tli się choćby iskierka przyzwoitości, to powinna się starać, aby nam nie zbywało na niczym.

- O Boże, przecież doprawdy nie możemy się uskarżać! - zawołała Blandyna.

- No, tak, wyjawiałam jej jasno mój pogląd na tę sprawę. W każdym jednak razie, nie masz prawa obrażać twego brata, który chciał ponieść dla nas tę wielką ofiarę i poślubić Juttę, choć czuje do niej wstręt. Chciał przeszkodzić temu, aby w przyszłości nie zjawił się jakiś awanturnik i nie ożenił się z Juttą mimo jej złej opinii. Gdyby to nastąpiło, dni naszego pobytu byłyby policzone. Toteż nie wolno nam dopuścić do tego; musimy dokładać

wszelkich starań, aby Jutta po raz wtóry nie wstąpiła w związki małżeńskie. Blandyna spokojnie popatrzyła na matkę.

- Co do mnie, to nigdy nie starałabym się stanąć jej na przeszkodzie, gdyby chciała raz jeszcze wyjść za mąż. Możecie jednak być spokojni, Jutta nie ma tego zamiaru. Powiedziała, że nie wyjdzie drugi raz za mąż, dopóki nie zostanie dowiedziona jej niewinność.

Norbert wyprostował się nagłym ruchem, jak gdyby niespodziewanie spadł mu wielki ciężar z serca. Oczy jego wpatrywały się badawczo i niespokojnie w oblicze Blandyny.

- Czy to prawda? Czy rzeczywiście tak powiedziała?

- Naturalnie, inaczej nie powtarzałabym tego.

- Tym lepiej, iż doszła do przekonania, że nie wolno jej wychodzić za mąż - rzekła pani von Tölz.

- Cicho, ona nadchodzi! - zawołał szeptem Norbert.

Rozmowa przycichła. Norbert podszedł do okna i zaczął wyglądać na dwór. Blandyna patrzyła na niego badawczo, po czym boleśnie zmarszczyła czoło. Matka jej zajęła miejsce na fotelu i bawiła się, niby znudzona, łańcuszkiem od okularów.

Jutta weszła do pokoju.

- Przepraszam, jeżeli zbyt długo kazałam czekać na siebie. Możemy już siadać do stołu - rzekła.

Pani von Tölz przeszła koło niej i udała się do przyległej jadalni, gdzie zadzwoniła, aby podawano obiad. Blandyna otoczyła Juttę ramieniem i pośpieszyła z nią do stołowego. Norbert śledził Juttę płonącym spojrzeniem. Miała na sobie znowu czarną suknię z miękkiego połyskującego jedwabiu. Biała szyja i ręce aż do łokci były odsłonięte. Kasztanowate włosy o złotym połysku, zwinięte w gruby węzeł upięte były nisko nad karkiem. Wyglądała pięknie, a w oczach Norberta zatlił się płomień tłumionej namiętności. Nie był to jednak czysty ogień, który palił się w jego źrenicach.

Norbert był wysokim, szczupłym mężczyzną, który zaledwie przekroczył trzydziestkę. Można go było nazwać przystojnym, gdyby nie to, że miał wyjątkowo niesympatyczny wyraz twarzy, która mimo młodości była zniszczona, napiętnowana jakby nieczystą żądzą.

Podążył z wolna za kobietami i wszedł do jadalni. Pokój ten, jak wszystkie w domu, był urządzone z wielkim przepychem i wytwornością. Okrągły stół nakryto kosztownym obrusem z adamaszku. Srebrna zastawa, lśniące kryształki i cenna porcelana świadczyły o bogactwie tego domu. Nawet na ciężkim, staroświeckim, rzeźbionym kredensie stało mnóstwo srebra.

Lokaj roznosił potrawy, które spożywano w milczeniu. Dopiero gdy lokaj, który przyniósł deser, oddalił się, Norbert opowiedział, że Obergriesbach przeszło w ręce nowego właściciela.

- Podobno mieszka tam już od dwóch tygodni. Mówił mi o tym wójt - rzekł Norbert.

- Co to za człowiek? - spytała matka. Norbert wzruszył ramionami.

- Był podobno oficerem, który odbył całą wojnę. Potem wyjechał z jakimś Holendrem, swoim przyjacielem, na Borneo. Założył z nim razem jakieś przedsiębiorstwo, które zapewne dobrze prosperowało, gdyż kupił Obergriesbach i zapłacił gotówką.

- Czy to młody człowiek? - spytała pani von Tölz, a w głosie jej zabrzmiał niepokój.

- Liczy lat trzydzieści kilka.

- Czy żonaty?

- Zdaje się, że nie.

Jutta nie podnosiła wzroku z nad talerza, lecz serce jej przy tym biło z dziwnym niepokojem. Czy nieznajomy, którego spotkała w lesie był ich nowym sąsiadem?

Bardzo możliwe! Chciała się dowiedzieć o jego nazwisko, lecz powstrzymała się od tego zapytania.

Po skończonym posiłku, Blandyna zerwała się z miejsca i podążyła na słoneczny taras. Kwietniowe słońce mocno przygrzewało, zachęcając do przebywania na świeżym powietrzu.

Pani von Tölz oddaliła się, aby odbyć zwykłą poobiednią drzemkę, do której się zresztą nigdy nie przyznawała.

Jutta chciała pójść za Blandyna, gdy nagle Norbert zastąpił jej drogę.

- Czy pani gniewa się na mnie, pani Jutto? - spytał podniecony, ścigając ją płonącymi oczyma.

- Czemu miałabym się gniewać? - zagadnęła spokojnie.

- Dlatego, że prosiłem o rękę pani.

Po twarzy Jutty przebiegł lekki rumieniec. Wyglądała niezwykle młodo i prześlicznie.

- Wypowiadanie podobnych życzeń jest przywilejem mężczyzn. Nie będziemy jednak mówili więcej na ten temat, gdyż sprawia mi to przykrość. Musimy zapomnieć o tej sprawie, jeżeli mamy mieszkać pod jednym dachem.

- Czy mogę mieć choćby odrobinę nadziei, pani Jutto? - spytał stłumionym głosem.

- Nie!

Ostro i stanowczo zabrzmiało to słowo. Norbert zbladł.

- Jaka pani okrutna - rzekł ochryple.

- Proszę - ani słowa więcej! - przerwała mu chłodnym, wyniosłym tonem.

Skłonił się przed nią, mówiąc:

- Prośba pani jest mi rozkazem.

Pochyliła główkę w ukłonie, po czym udała się za Blandyna na taras. Szerokie schody wiodły stąd do parku.

Norbert ścigał ją wzrokiem; w oczach jego tliła się ukrywana namiętność.

- Staje się z dnia na dzień piękniejsza - myślał - można stracić głowę dla tej kobiety.

Odwrócił się szybko i wyszedł z domu, aby się udać do stajen, które znajdowały się po przeciwległej stronie parku, obok zabudowań gospodarskich. Tutaj dał upust swej złości, krzycząc na parobków i łajac służbę.

Blandyna i Jutta przechadzały się przez chwilę po parku. Gawędziły ze sobą o wiele swobodniej i serdeczniej niż zazwyczaj. Jutta czuła, że Blandyna jest rzeczywiście do niej przychylnie usposobiona, że jej życzliwość jest szczerą. Jednocześnie jednak wyczuwała, że młodą dziewczynę coś gnębi.

Czyżby ją dręczyło, że brat jest człowiekiem o tak małej wartości? A może nużyło ją samotne, monotonne życie, które dotąd wiodła?

- To niedobrze, Blandyno, że spędzasz twoje młode życie w tych murach, na których ciąży przekleństwo niepomszczonej zbrodni - rzekła z powagą Jutta.

- Ty przecież również marnujesz twoje życie w tych murach. Jesteś zaledwie o trzy lata starsza ode mnie, a przygniata cię tak wielkie nieszczęście.

- Właśnie dlatego mury te są dla mnie odpowiednim miejscem. Ale ty? O, gdybym wiedziała czym ci sprawić przyjemność, jak wnieść w twoje życie odrobinę słońca!

Oczy Blandyny zwilgotniały.

- Jakaś ty dobra, jaka szlachetna, Jutto! Nie martw się jednak o mnie. Będziemy w przyszłości spędzały razem samotne godziny, tym sprawisz mi największą radość. Bo ja także czuję się bardzo samotna. Z matką się nie zgadzam, kocha ona tylko Norberta. Nasz stosunek nigdy nie był serdeczny. Dlatego też marzyłam o tym, żebyśmy się mogły lepiej poznać i zbliżyć do siebie.

Jutta uścisnęła mocno, serdecznie jej dłoń.

- Szkoda, że mi tego wcześniej nie powiedziałaś. Lubię cię bardzo, Blandynko, a ponieważ wierzysz w moją niewinność, więc możemy sobie nawzajem dać bardzo wiele.

- Tak, kochana Jutto.

Ponieważ kwietniowe słońce świeciło jasno, obie przyjaciółki usiadły na ławce w parku. Miały z tego miejsca wspaniały widok na zaśnieżone szczyty gór. Przez chwilę milczały, napawając się pięknnością krajobrazu, potem Blandyna, ująwszy rękę Jutty zapytała:

- Nie chciałabym się okazać ciekawa ani natrętna, lecz muszę ci zadać jedno pytanie. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego wysłaś za mąż za mego wuja? Nie rozmawialiśmy nigdy na ten temat, a przyznam, że pragnęłabym poznać rozwiązanie tej zagadki.

Jutta uśmiechnęła się lekko.

- Więc sądzisz, że to zagadka, jeżeli tak młoda dziewczyna poślubia człowieka o wiele starszego od siebie?

- Tak, Jutto, to nie licuje z twoim charakterem. Nie mogę sobie wyobrazić, że kochałaś wujaszka Maltego.

- Nie, Blandyno, kochałam go i szanowałam jak ojca. On także nie kochał mnie tak, jak powinien kochać mąż żonę. Obdarzał mnie tylko ojcowskim uczuciem. Zrozumiesz to, gdy wysłuchasz mnie do końca. Otóż, wiedz o tym, że Malte kochał w swym życiu jedną tylko kobietę, której pozostał wierny aż do śmierci. Była to moja matka. Z jej powodu właśnie nie zenił się przez tyle lat. Malte i moja matka byli niegdyś potajemnie zaręczeni, gdyż rodzina obojga nie chciała się zgodzić na ten związek. Dzięki różnym niegodziwym intrygom, zaręczyny te zostały zerwane. Malte wyjechał za granicę, gdyż ktoś mu powiedział, że matka moja go zdradziła. Napisał do niej wtedy krótki list, że zwraca jej słowo. Matka przypuszczała wówczas, że narzeczony ją porzucił, toteż pod wpływem zranionej miłości własnej, zaręczyła się z pierwszym lepszym człowiekiem, który się jej oświadczył. Mimo to napisała w dniu swych zaręczyn do twego wuja, czyniąc mu wyrzuty, że przez niego zostaje żoną człowieka, który jest jej obojętny. Dodawała, że tylko jego niewierność skłoniła ją do tego kroku; że zawiodła się na ukochanym, który przecież tyle razy zapewniał ją o swej wielkiej miłości.

Malte von Tübingen, który wyruszył w podróż dookoła świata, otrzymał ten list, gdy było już za późno. Powrócił wprawdzie natychmiast do kraju, lecz przyjechał tego dnia, kiedy odbywało się wesele mojej matki. W godzinę po ślubie dostała od niego bilet, w którym błagał ją, aby zerwała zaręczyny; zapewniał, że padli oboje ofiarą niecnej intrygi:

Matka moja wpadła w rozpacz. Nastąpiło ostatnie spotkanie między nią i ukochanym. Wtedy wszystko się wyjaśniło. Jakaś kuzynka mej matki, która chciała koniecznie zostać żoną Maltego, uknuła tę intrygę i rozbiła szczęście dwojga ludzi.

Rozstali się na zawsze. Matka była w małżeństwie bardzo nieszczęśliwa, gdyż ojciec mój, człowiek płytki i lekkomyślny, zatruwał jej życie. Sądził, że otrzyma duży posąg, a gdy te nadzieje zawiodły, dręczył żonę wyrzutami. Zresztą, w krótkim czasie strwonił całe mienie. Biedaczka poznała ciemne strony życia, a gdy owdowiała - ja liczyłam wówczas lat dwanaście - została bez środków do życia.

Była jednak dzielną kobietą i nie uległa się walki o byt. Miała wybitne zdolności do rysunków i utrzymywała się z ilustracji, które robiła dla różnych tygodników. Wiodło się jej nieźle, tak, że mogła nawet dać mi bardzo staranne wykształcenie. Potem ja dorosłam i zaczęłam także zarabiać. Pracowałam jako sekretarka u pewnego słynnego powieściopisarza. Posada moja była dobrze płatna. W tym okresie stan zdrowia matki, która od dawna cierpiała na serce, pogorszył się bardzo. Nie mogła pracować i była z tego powodu ogromnie nieszczęśliwa. Teraz ja pracowałam na nas obie, a moja pensja wystarczała na wszystkie potrzeby, nie mogłam natomiast pozwolić sobie na jedno; oto lekarz zalecił, aby matka koniecznie wyjechała na kurację do Nauheim, a ja, niestety, nie rozporządzałam niezbędnymi środkami. Martwiłam się tym ogromnie.

Pewnego dnia siedziałam w gabinecie mojego szefa, który właśnie dyktował mi rozdział swej nowej powieści, gdy służący zameldował gościa.

- Proszę przyjąć tego pana, panno Jutto - rzekł mój szef - ja muszę jeszcze opracować te notatki. Pragnę się koniecznie zobaczyć z moim miłym gościem, ale przedtem chcę skończyć robotę. Niech pani mnie na razie zastąpi i zabawi go rozmową, ja wkrótce przyjdę.

Weszłam do poczekalni i zastałam tam nieznanego. Był to właśnie Malte von Tübingen. A trzeba ci wiedzieć, Blandyno, że byłam uderzająco podobna do mojej mamy. Malte poznał mnie właśnie dzięki temu podobieństwu, a raczej sądził w pierwszej chwili, iż ma przed sobą moją matkę, taką, jaką pamiętał z czasów jej młodości.

- Róża! Róża Letzow! - wykrzyknął zdumiony. Wyjaśniłam mu, że tak brzmi panińskie nazwisko mej matki.

Przeprosił mnie i zaczęliśmy rozmawiać. Musiałam mu szczegółowo opowiedzieć dzieje matki, gdyż chciał wiedzieć co porabiała w ciągu tych długich lat.

Wiesz sama, że Malte był człowiekiem niezwykle miłym, rycerskim, uprzejmym, który od razu wzbudzał zaufanie. Toteż bez ogródek wyznałam mu wszystko i zwierzyłam mu się nawet z troski o zdrowie mamy. Wspomniałam, że powinna się leczyć i że nie mam środków, aby ją wysłać do Nauheim na kurację.

- Matka pani musi wyjechać do Nauheim - rzekł stanowczo. Potem poprosił o nasz adres, który mu podałam. Mieszkałyśmy wtedy na przedmieściu Berlina. Po chwili zjawił się mój chlebodawca, więc pożegnałam się i wyszłam z pokoju. Gdy po upływie godziny mój szef powrócił, zaczął mi robić wyrzuty, że nie mówiłam mu nic o moich kłopotach. Dowiedział się dopiero od pana von Tübingen, że mam chorą matkę, która powinna wyjechać na kurację. Zaproponował mi pożyczkę, którą miałam spłacać z pensji w małych ratach miesięcznych. Powiedział, że mam zaraz pojechać z matką do uzdrowiska, gdyż w ogóle należy mi się już urlop.

Przyjęłam z wdzięcznością te pieniądze. Zaznaczam jednak, Blandyno, że to Malte dał memu zwierzchnikowi tę sumę na podróż. Nie chciał tylko, abyśmy się czuły upokorzone tą pożyczką. Wówczas nie wiedziałam o tym, dowiedziałam się o wiele później całej prawdy.

Uszczęśliwiona, podążyłam do domu. Opowiedziałam mamie wszystko, a ona była wzruszona do głębi. Oczy jej błyszczały radośnie, policzki się zarumieniły. Wyznała mi wtedy, co ją niegdyś łączyło z tym człowiekiem.

Malte odwiedził nas nazajutrz przed południem. O, Blandyno, nigdy nie zapomnę tych dwojga ludzi, którzy wciąż jeszcze się kochali, a nie widzieli się przez tyle lat. Popełniłabym świętokradztwo, gdybym ci opisała szczegóły tego spotkania.

Widok ukochanego wpłynął jednak źle na zdrowie mamy. Postanowiłyśmy natychmiast wyjechać. Okazało się, że i Malte wybiera się do Nauheim, a nawet zamówił sobie tam mieszkanie. W Berlinie zatrzymał się tylko w przejeździe, gdyż miał załatwić kilka spraw i pragnął odwiedzić paru starych przyjaciół.

Pojechałyśmy w jego towarzystwie do Nauheim. Nie wiem jednak, czy choroba mamy była zbyt daleko posunięta, czy też wstrząsnęło nią spotkanie z ukochanym, niezapomnianym człowiekiem, dość na tym, że w cztery dni po naszym przybyciu umarła na zawał serca. Byłam nieprzytomna z rozpaczy, a Malte pocieszał mnie serdecznie, załatwiał wszelkie formalności i zajął się mną jak dobry ojciec. W tym okresie zaprzyjaźniliśmy się bardzo, a Malte oświadczył, że nie puści mnie od siebie.

Któregoś dnia powiedział, że uważa mnie za najdroższą spuściznę, że pragnął ożenić się teraz jeszcze z moją matką, aby móc rościć do mnie ojcowskie prawa. Obiecał zmarłej, że będzie nade mną czuwał i że zapewni mi byt. Aby móc to wszystko załatwić bez zbędnych formalności, prosił, bym przed prawem i z imienia została jego żoną. Zapewnił mnie, że miłość jego do mamusi sięga jeszcze poza grób, że nasze małżeństwo będzie tylko małżeństwem z pozoru. Mówił, że pożyje najwyżej dwa, trzy lata i pragnie, bym przez ten krótki okres została przy nim, jako jego ukochana córeczka; będziemy żyli ze sobą jak ojciec z córką. Gdy zostanę jego żoną, będę mogła z nim razem mieszkać i być przy nim. Matka powiedziała mu, że serce moje jest wolne, on zaś przypuszczał, że kiedy się zakocham, jego już nie będzie na świecie. Prosił, żebym się namyśliła i złożyła mój los ufnie w jego ręce, w troskliwe, czułe ręce ojca.

Widzisz, droga moja, byłam ubogą dziewczyną, nie miałam wielkich widoków, że kiedykolwiek wyjdę za męża. Propozycja twego wuja była tak ponętna, że nie namyślałam się długo i schroniłam się z moimi wszystkimi smutkami i troskami w jego ojcowskie ramiona. Pełna ufności, przybyłam z nim tutaj i zostałam z imienia jego żoną. Maltę okazał się dla mnie najczulszym, najlepszym ojcem. Pokochałam go szczerze, i możesz mi wierzyć, że zgon jego był dla mnie strasznym ciosem. Po śmierci mej. matki, straciłam jedyne bliskiego człowieka. Nie zapomnę też nigdy jego dobroci i szlachetności. Teraz już wiesz, dlaczego zostałam jego żoną.

Blandyna uścisnęła mocno, serdecznie dłoń Jutty.

- Dziękuję ci za twoje zaufanie, Jutto. Teraz rozwiął się ostatni cień, który mi przesłaniał twój obraz. Nigdy nie mogłam pojąć, czemu wyszłaś za męża za wujaszka... Był on wprawdzie szlachetnym i dobrym człowiekiem, lecz mimo to był starcem, a ty młodziutką dziewczyną. Opowiedz mi także szczegółowo wszystko, co się zdarzyło po przyjeździe do Untergriesbach. Słyszałam zawsze tylko urywki tej smutnej sprawy, a pragnę wyrobić sobie jasne pojęcie o tym.

Jutta skinęła głową.

- Dobrze, opowiem ci wszystkie szczegóły. Przyjechaliśmy na dworzec, gdzie już oczekiwał nas samochód. Ślub nasz miał się odbyć dopiero nazajutrz, toteż, aby zachować pozory, miałam spędzić pierwszą noc w gospodzie. Nagle jednak Maltę zmienił postanowienie. Po rozmowie z wójtem i proboszczem, oświadczył, że ślub może się odbyć zaraz. Woli przyśpieszyć termin, abym nie potrzebowała spać Jej nocy w oberży.

Prosiłam, żeby najpierw odpoczął, gdyż śmierć mojej matki ogromnie go wzruszyła, a przy tym był bardzo zmęczony podróżą. Zdawało się jednak, że nie zazna spokoju, zanim nie zostanie jego żoną, toteż zgodziłam się na to. Natychmiast po ślubie polecił wójtowi poświadczyć nowy testament, a przy tej sposobności pokazał mi dawniejszy, o którym ci wspominałam.

Przez wzgląd na ludzi, nie poprzestaliśmy na ślubie cywilnym, lecz proboszcz pobłogosławił potem nasz związek w kościele. Lekarz i nauczyciel byli świadkami. Nie miałam wcale wrażenia, że to uroczystość. Ślub brałam w sukience podróżnej, lecz nie zwracałam na to uwagi, chodziło mi głównie o to, żeby Malte mógł się nareszcie położyć i odpocząć. Spożyliśmy kolację w towarzystwie tych czterech panów, którzy byli na ślubie, po czym poprosiłam męża, aby się udał na spoczynek. Nie chciał jednak spać, wołał ze mną jeszcze chwilę pogawędzić. Wtedy powiedziałam, żeby się koniecznie położył, a ja nadejdę wkrótce i poczytam mu trochę jakąś lekką, spokojną książkę.

- Dobrze, córeczko, bardzo chętnie - rzekł do mnie. Służący pomógł mu się rozebrać. Gdy Malte się położył, weszłam do jego sypialni i usiadłam na fotelu, przy łóżku. Wtedy odezwał się z uśmiechem:

- Czeka mnie słodka starość, córuczno. Będę sobie wyobrażał, że spędziłem całe życie z twoją drogą matką, która pozostawiła mi ukochane dziecko. Jesteś uosobieniem mojej minionej młodości, a jednocześnie osłodą na stare lata. Ach, jak to dobrze, że zostaniesz przy moim boku, dopóki Bóg nie powoła mnie do siebie.

Potem poprosił, żebym postawiła mu na nocnym stoliku kieliszek wina. Powiedział, że nieraz budzi się w nocy, a wówczas wypija wino, gdyż nie lubi wody. Wskazał, gdzie znajdę butelkę i kieliszek. Wszystko to znajdowało się w małej szafce wmurowanej w ścianę sypialni.

Napełniłam portwejnem kieliszek i postawiłam go na nocnym stoliku. Potem usiadłam na fotelu i zaczęłam czytać. Gdy podnosiłam wzrok z nad książki, Malte uśmiechał się do mnie, mówiąc:

- Dawno już nie było mi tak dobrze, córeczko.

Po pewnym czasie znowu spojrzałam na niego i zauważyłam, że zasnął. Odłożyłam książkę na kolana i chciałam zaczekać, aby się przekonać, czy na dobre śpi. Potem jednak mnie samą sen zmorzył, gdyż ja również byłam wyczerpana wypadkami i przeżyciami ostatnich dni.

Nie wiem, jak długo spałam. Potem nagle obudziłam się - nie wiem z jakiej przyczyny. Przypominam sobie jednak dokładnie, że usłyszałam jakiś cichy dziwny szmer, miałam wrażenie, że po podłodze toczy się ziarno grochu. Nie

zastanawiałam się jednak nad tym, lecz spojrzałam na mego męża. Spał spokojnie. Mnie za to zrobiło się zimno, gdyż okno było otwarte. Wiesz przecież, że pokoje wuja wychodziły na taras. Przypuszczałam, że musi mu być chłodno, nie wiedziałam bowiem, że miał zwyczaj zwykle sypiać przy otwartych oknach. Dopiero później dowiedziałam się o tym od służby. Cichutko na palcach podeszłam do okna, chcąc je zamknąć. Ogarnęło mnie przy tym jakieś niewytłumaczone uczucie lęku... Gdy potem powróciłam na miejsce, Malte obudził się. Wybiła właśnie północ, więc zaczął mnie strofować, że jeszcze nie poszłam spać.

- Podaj mi jeszcze wina, Jutto, a potem marsz do łóżka! - rzekł do mnie.

Wzięłam kieliszek, nie mając pojęcia, co zawiera, i podałam go mężowi. Wychylił go do dna, a mnie żadne przeczucie nie ostrzegło, pozwoliłam mu wypić wszystko. Potem odstawiłam pusty kieliszek, Malte zaś powiedział:

- Dobranoc, dziecinko, niech cię Bóg błogosławi. Idź spać i niech ci się przyśni coś pięknego...

To były jego ostatnie słowa.

Zgasiłam światło i wyszłam z pokoju. Udałam się do sypialni i poszłam spać. Spałam mocno, dopóki nie obudziła mnie służba. Posłyszałam wówczas tę straszną nowinę, że jaśnie pan leży martwy w łóżku. Wiesz sama, co nastąpiło potem - zakończyła Jutta swoją opowieść.

Blandyna wysłuchiwała z uwagą jej opowiadania. Znała tę historię w zarysach z toku śledztwa. Nie wiedziała tylko, że stosunek wuja do żony był ojcowski. Jutta na śledztwie nie wspomniała o tym. Sądziła, że to nie może mieć znaczenia, a przy tym nie chciała mówić wobec obcych, że Malte von Tübingen kochał jej zmarłą matkę. Blandyna łamała sobie znowu głowę, kto wsypał truciznę do kieliszka. Zapytała też, czy Jutta nikogo nie podejrzewa o ten czyn.

Jutta przecząco potrząsnęła głową.

- Nie, Blandyno, jest to i dla mnie zagadka. Podczas tych okropnych dni w areszcie śledczym, nieraz zastanawiałam się nad tym, starałam się dociec prawdy, lecz na próżno! Niestety, przychodziło mi na myśl, że może Malte sam zmieszał wino z trucizną, wtedy gdy ja spałam. Inaczej nie byłoby to możliwe. Sama przecież nalałam wino z butelki do kieliszka, a w butelce nie wykryto śladu trucizny. Słowem, stoję wobec zagadki i dawno już przestałam się łudzić nadzieją, że znajdę jej rozwiązanie. Wszystkie usiłowania spełzły na niczym! Do końca życia będzie na mnie ciążyło haniebne podejrzenie, choć zostałam zwolniona z braku dowodów.

Blandyna starała się ją pocieszyć.

- Nie martw się, ja także usiłowałam bezowocnie rozwikłać tę zagadkę. Najlepiej, żebyśmy przestały myśleć o tym, to tak mężczy...

Mówiąc te słowa, Blandyna zmarszczyła boleśnie czoło i przygasłym wzrokiem spojrzała przed siebie. Jutta wstrząsnęła się i wstała z miejsca.

- Chodźmy do domu, jest jeszcze za chłodno na dworze. Czuć wilgoć w powietrzu.

Blandyna podniosła się z ławki.

- Na górach leży świeży śnieg, to znak, że czeka nas kilka chłodnych dni. Spójrz, Jutto, jak pięknie odbijają się białe szczyty na tle błękitu niebios. Cudna jest przyroda, która nas otacza...

- Tak, Blandyno, można by tu było w innych warunkach żyć spokojnie i szczęśliwie. Och, jakże ja dawniej lubiłam się śmiać, jaka byłam wesoła... Teraz już nie potrafię...

Blandyna w porywie gorącego współczucia objęła przyjaciółkę.

* * *

Frank Rüdiger stoczył ze sobą długą, lecz daremną walkę. Nie chciał się nadal zajmować osobą pani von Tübingen, a nie mógł odpędzić natrętnych myśli. Miał wprawdzie dużo pracy, która zajmowała mu wiele czasu, inaczej byłby z pewnością pojechał konno do pałacu i krążył koło parku. Za to wszystkie wolne chwile spędzał na rozmyślaniach.

Podczas samotnych posiłków, które przyrządzała mu znakomicie pani Remblin, zupełnie już rześka i zdrowa - myślał bezustannie o bladej kobiecie; miał wciąż przed oczyma jej smutną twarz, otoczoną kasztanowatymi włosami o złotym połysku. Im dłużej zastanawiał się nad jej losem, tym bardziej dochodził do przekonania, że owa kobieta nie mogła popełnić zbrodni.

Wreszcie w niedzielę po południu nie mógł wytrzymać już dłużej. Kazał sobie osiodłać konia i pojechał do Untergriesbach. Po raz pierwszy poczuł się niezwykle samotny w swej nowej posiadłości. W okolicy nie było naprawdę nikogo, z kim by mógł nawiązać kontakt towarzyski. Doszedł do wniosku, że powinien stanowczo odwiedzić swoich sąsiadów z pałacu i przy okazji poznać tych państwa. Nie można przecież polegać na zdaniu właściciela oberży „Pod Czerwonym Lwem”. Może ten Norbert von Hall okaże się miłym sąsiadem, a jego matka i siostra sympatycznymi osobami?

Zależało mu głównie na tym, żeby zobaczyć znowu panią Juttę, lecz nie przyznawał się do tego, nawet przed samym sobą. W każdym razie, postanowił udać się do lasu. Kto wie, może uda mu się znowu zobaczyć panią

von Tübingen? A w najbliższych dniach musi koniecznie złożyć wizytę w pałacu. Tak nakazywała po prostu zwykła uprzejmość.

Powziąwszy ten zamiar, poczuł pewne zadowolenie. Przejeżdżał właśnie koło parku i mógł z konia widzieć część ogrodu. Nigdzie jednak nie dojrzał żywej duszy.

Zły na siebie samego, wjechał wreszcie w głąb lasu i dotarł do szerokiej polany, otoczonej starymi, wysokimi drzewami. Nagle drgnął. W pobliżu stała pani Jutta, oparta o jedno z drzew, i wpatrywała się wielkimi, rozmarzonymi oczyma w zaśnieżone szczyty gór, które wznosiły się wysoko nad borem.

Zręcznym ruchem zeskoczył z wierzchowca i trzymając go za cugle, podążył do młodej kobiety. Nie chciał po raz wtóry przepuścić okazji i postanowił tym razem poznać panią Juttę.

Gdy znalazł się od niej w odległości kilku kroków, obejrzała się nagle przestraszona okazując wyraźną chęć do ucieczki. On jednak zastąpił jej drogę, a uchylając grzecznie kapelusza rzekł z ukłonem:

- Przepraszam najmocniej, że znowu znalazłem się na drodze pani. Jestem najbliższym sąsiadem państwa i jako taki pragnę się przedstawić. Nazywam się Frank Rüdiger. Od dwóch tygodni przeszło jestem właścicielem Obergriesbach. Korzystając ze sposobności, pozwalam sobie zapytać, czy wolno mi będzie złożyć państwu sąsiedzka wizytę.

Jutta opanowała się z trudem. Przed chwilą właśnie myślała o nieznanym, a oto teraz ujrzała go tak nieoczekiwanie przed sobą. Mieniła się na twarzy, czując na sobie jego spojrzenie i bezradnie zaciskała dłonie.

- Widzimy się nie po raz pierwszy. Czy pan wie, kim jestem?

- Tak. Właściciel oberży „Pod Czerwonym Lwem” wymienił mi nazwisko pani.

Po wargach Jutty prześlizgnął się smutny, bolesny uśmiech.

- Pewno się go pan pytał, kim jest trucicielka, przed którą uciekają dzieci - powiedziała z goryczą.

Spojrzał na nią z ogromną powagą.

- Poznałem od razu, że nie zasługuje pani na to przezwisko. Jutta odgarnęła z czoła włosy, w których słońce rozpałało złociste iskierki.

- Przypuszczam, iż oberżysta nie omieszkał panu powiedzieć, że zasługuję w zupełności na ten przydomek. Toteż nie pojmuję, że pan mimo to ma odwagę i chęć nawiązania ze mną towarzyskich stosunków. A może nie zdążył pan wyjaśnić czemu zawdzięczam to haniebne miano?

- Nie, proszę pani, opowiedziano mi wszelkie szczegóły. Wiem nawet, że to Norbert von Hall napiętnował panią tą nazwą.

Drgnęła i wyprostowała się dumnie.

- Norbert von Hall?

- Tak jest, proszę pani.

Oczy jej zapłonęły szlachetną dumą.

- Więc to on? Powinnam się była domyśleć tego. Frank nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Przepraszam, jeśli popełniłem niedyskrecję. Sądziłem, że pani wie o tym.

Zmarszczyła czoło.

- Nie, nie wiedziałam, lecz jestem panu wdzięczna, że zdradził mi pan autora tego przezwiska. To bardzo ciekawe! Muszę panu raz jeszcze zadać pytanie, czy naprawdę zamierza pan utrzymywać stosunki sąsiedzkie z kobietą, którą każdy może bezkarnie obrzucać obelgami?

Zatopił przeciągłe badawcze spojrzenie w jej dumnych, czystych oczach.

- Będę uważał za wielki zaszczyt, jeżeli pani pozwoli mi bywać u siebie. Sądzę, że nikt nie zasługuje mniej na to miano, niż pani. Kto może choćby przez chwilę podejrzewać panią o popełnienie zbrodni, ten posiada bardzo małą znajomość ludzi.

Zadrżała i zmierzyła go spojrzeniem, które wzruszyło go do głębi. Zauważył, że zbladła jak opłatek.

- Więc pan nie wierzy, że ja... że jestem morderczynią? - spytała zdławionym głosem.

Wytrzymał spokojnie jej spojrzenie.

- Tak, jak nie wierzę, że ja sam jestem mordercą - rzekł stanowczo, gdyż cały jej sposób zachowania przekonał go o jej niewinności.

Po ciele jej przebiegł dreszcz. Przymknęła na chwilę oczy i oparła się o pień drzewa, bliska omdlenia. Spojrzał na nią, przestraszony.

- Czy pani się źle czuje? - zagadnął. Szybko przyszyła do siebie.

- Nie, nie! Tylko pańskie słowa wstrząsnęły mną do głębi. Po raz pierwszy spotkałam człowieka, który wierzy w moją niewinność. Całe moje otoczenie sądzi, że jestem winna, z wyjątkiem pewnej młodej osoby, mojej krewnej. Dowiedziałam się zaledwie kilka dni temu, że i ona mi wierzy. Rozumie pan teraz, jakie to na mnie wywarło wrażenie, że pan, człowiek obcy, okazuje mi tyle zaufania. Na czym opiera pan swój sąd o mnie?

- Oczy pani są smutne, lecz dumne i jasne. Pani wdzięczne rysy tchną szlachetnością, jak całe zachowanie pani. Tak nie wyglądają zbrodniarki. Gdyby mi pani sama powiedziała, że popełniła pani czyn występny, nawet wtedy bym nie uwierzył.

Drżała na całym ciele, a po twarzy jej przebiegały drgawki. Była wstrząśnięta tym wyznaniem. Słowa nieznajomego, którego szlachetna dusza odzwierciedlała się w jego dumnej twarzy poruszyły całą istotę Jutty.

- Nie może pan pojąć, czym są dla mnie te słowa. Od lat spotykam nieufne, podejrzliwe lub pogardliwe oczy. Proszę mnie zostawić samą... Czuję potrzebę samotności... Nie chciałabym po raz wtóry w pańskiej obecności stracić panowanie nad sobą...

Pochylił głowę w ukłonie.

- Niech pani tylko powie, czy mi wolno będzie odwiedzić panią.

Walczyła ze sobą. Wreszcie odparła cicho:

- Jeżeli pan chce przyjść... będę się bardzo cieszyła. Proszę jednak nie wspominać nikomu o naszym dzisiejszym spotkaniu. I niech pan nie okazuje moim krewnym, że pan wierzy w moją niewinność... mogliby w takim wypadku niezbyt uprzejmie przyjąć pana. Będziemy oboje udawali, że widzimy się po raz pierwszy w życiu.

- Jak pani sobie życzy!

Pochyliła lekko głowę i skinęła ręką, dając mu znak, aby odszedł. Wtedy oddalił się bez słowa, gdyż czuł, że jest niezwykle wzburzona. Szybko wskoczył na konia i raz jeden tylko obejrzał się za nią. Stała z pobladłym obliczem, oparta o pień drzewa, a z jej przymkniętych oczu spływały wielkie łzy.

Ten widok poruszył wszystkie struny w jego duszy. Byłby najchętniej pośpieszył do niej, porwał ją w objęcia, utulił, pocieszył. Pojmował jednak jej pragnienie samotności w takiej chwili.

Powracając do domu, miał wciąż przed oczyma jej obraz. Serce jego wezbrało tkliwym współczuciem. Nie potrafił sobie wytłumaczyć, czemu bez zastrzeżeń wierzył w jej niewinność. Teraz jednak, gdy z nią rozmawiał, gdy słyszał jej miękkie, dźwięczny głos, gdy spoglądał w jej oczy - był przeświadczony, że nie popełniła zbrodni.

Zbudziło się w nim palące pragnienie, żeby uwolnić ją od okropnych poszlak, jakie ciążyły na niej, kładąc się plamą na jej życiu.

I nagle w głowie jego zaświtała myśl... Jeden z jego przyjaciół, doktor Henryk Diehl był prawnikiem, który jako specjalność obrał sobie kryminalistykę. Znali się obydwaj od dziecka, siedzieli razem w ławce szkolnej i stale ze sobą korespondowali. Niedawno jeszcze, przed wyjazdem do swej posiadłości, Frank widział się z przyjacielem. Przypomniał sobie, że rozmawiali wówczas o rozmaitych wypadkach z dziedziny kryminalnej. Doktor Diehl opowiadał, że jego ulubionym sportem jest dociekanie prawdy

w sprawach zagadkowych, odnajdywanie niewykrytych sprawców zbrodni. Nadmienił, że już kilka razy doskonale mu się to udało. Był on człowiekiem bardzo bogatym i mógł sobie pozwolić na spełnianie swych zachcianek.

To właśnie wpadło na myśl Frankowi. Postanowił zainteresować Henryka sprawą pani Jutty.

Plan ten pochłonał go do tego stopnia, że zaledwie powrócił do domu, usiadł natychmiast przy biurku i zaczął pisać:

Drogi Heńku! Pragnę Cię zawiadomić, że zadomowiłem się już zupełnie w mojej posiadłości. Mam bardzo wiele roboty, z czego jestem rad, gdyż praca ta sprawia mi dużo przyjemności. Położenie mego majątku jest wyjątkowo piękne, toteż radzę Ci, żebyś przyjechał i zobaczył jak tutaj wiosna budzi się do życia. Zapraszam Cię do siebie i spodziewam się, że przyjedziesz na czas dłuższy. Przede wszystkim nasze ostatnie widzenie trwało bardzo krótko, a po wtóre nudzę się ogromnie w godzinach wolnych od zajęć. Pragnę Ci także opowiedzieć szczegółowo moje wrażenia z pobytu na Borneo. Zaprzyjaźniłem się tam z pewnym wodzem plemienia Dyaków, który w swej młodości zbierał namiętnie czaszki ludzkie. Posiadał on u siebie wcale pokaźny zbiorek czaszek, które zdobiły jego mieszkanie jak u nas drobiazgi z porcelany. Jak widzisz, będę Ci mógł opowiedzieć wiele ciekawych rzeczy. Jeżeli to wszystko także Cię nie nęci, to mam dla Ciebie jeszcze inną pokusę. Chodzi tu o niewykrytą zbrodnię. Mógłbyś więc pofolgować swojej namiętności rozwiązywania zagadek, a przy tym spełniłbyś dobry uczynek. Wyświadczysz mi tym ogromną przysługę.

Z góry nie zgadzam się na odmowę z Twojej strony. Wiem, że Cię nic nie zatrzymuje w mieście i że możesz w każdej chwili zmienić miejsce pobytu. Poza tym obiecuję Ci doskonałą kuchnię. Moja gospodyni, pani Remblin, gotuje pierwszorzędnie; posiadam również świetnie zaopatrzoną piwniczkę, w której znajdziesz Twoją ulubioną markę wina.

Nie wspominam wcale o pięknej naturze. Obergriesbach leży wśród gór, na granicy Tyrolu. Dostaniesz wspaniały pokój z widokiem na góry, który wprawi Cię na pewno w szczerzy zachwyt. Ach, tak, nie masz to jak własny dom, mój drogi! To się odczuwa dopiero wtedy, gdy się tak jak ja, powraca z długiej tułaczki po świecie. Nie ruszę się stąd na pewno, czuję się zamiłowanym rolnikiem. Ponieważ mam udział w zyskach z przedsiębiorstwa, założonego na Borneo, więc mogę spokojnie wytrzymać złe żniwa lub pomór bydła.

Czekam tedy na Ciebie, mój drogi. Musisz mnie jednak zawiadomić telegraficznie o dniu Twego przyjazdu, gdyż najbliższa stacja jest oddalona o dobrą godzinę drogi więc chcę posłać powóz po Ciebie.

Do widzenia, mój przyjacielu! Pozdrawiam Cię serdecznie

Twój Frank Rudiger

Skończywszy pisanie, Frank poszedł sam na pocztę, by osobiście nadać list. Teraz doznał wrażenia, że zajął się losem pani Jutty i skierował jej sprawę na właściwe tory. Odetchnął z prawdziwą ulgą. Patrzeć na udrękę tej kobiety i nie móc jej poradzić - było czymś strasznym.

* * *

W dwa dni potem, Frank Rudiger w wizytowym ubraniu zajechał powozem przed bramę pałacu w Untergriesbach. Podał natychmiast lokajowi swoją kartę wizytową.

- Proszę się zapytać, czy państwo przyjmują.

Lokaj podążył do salonu, gdzie znajdowała się właśnie pani von Tölz w towarzystwie swych dzieci oraz Jutty. Lokaj podał jej kartę i powtórzył zapytanie Franka Rudigera. Pani von Tölz od pierwszej chwili ujęła zarząd domu w swoje ręce, więc też cała służba uważała ją za panią.

Spojrzała z wahaniem na kartę wizytową i podała ją synowi.

- Nasz nowy sąsiad, pan Rüdiger. Lepiej będzie, jeżeli go nie przyjmujemy. Jak sądzisz, Norbercie? - rzekła.

Uważała widocznie za zbyteczne spytać o zdanie Jutty. Norbert opuścił wzrok, przyglądając się z zajęciem swoim paznokciom.

- Ten pan Rüdiger nie wie zapewne, jakie nieszczęście ciąży na tym domu. W przeciwnym bowiem razie, nie byłby nam składał wizyty. Najlepiej go wcale nie przyjmować.

Matka i syn zamienili przy tym porozumiewawcze spojrzenie. Oboje byli zdania, że nie należy dopuszczać do Jutty nieżonatych mężczyzn. Pani von Tölz przyszło wprawdzie na myśl, że Rüdiger mógłby być stosowną partią dla Blandyny, potem jednak doszła do wniosku, że Blandyna może go poznać gdzie indziej, poza obrębem domu. Ważniejsze było, aby Jutta nie zawierała znajomości z człowiekiem nieżonatym.

- Jestem tego samego zdania - rzekła - proszę powiedzieć temu panu, że przykro nam, lecz nikogo nie przyjmujemy.

W tej chwili Jutta powstała z miejsca.

- Proszę zaczekać - powiedziała do lokaja, po czym, zwracając się do pani Tölz, ciągnęła dalej.

- Niech mi pani wybaczy, że tym razem sprzeciwię się rozkazowi pani. Pan Rüdiger jest naszym najbliższym sąsiadem, więc tak czy inaczej, spotkanie z nim jest nieuniknione. Gdybyśmy go nie przyjęli, czułby się dotknięty. Czy wie, czy nie wie, jakie nieszczęście ciąży na tym domu, to moim zdaniem nie ma znaczenia. Jeżeli wie, to wizyta jego świadczy o tym, że pragnie mimo wszystko nawiązać z nami stosunki. Jeżeli nie wie, to na pewno wkrótce poinformują go o tym, a wtedy będzie mógł postąpić, jak zechce, bywać u nas lub poprzestać na pierwszej wizycie.

Na twarzy pani von Tölz odmalował się wyraz niezadowolenia. Czuła się najwyraźniej dotknięta.

- Jeżeli nie chciałam przyjąć go, to uczyniłam to przez wzgląd na panią. Przecież z pewnością będzie pani niemiło dać się podziwiać jako smutną osobliwość.

Jutta zbladła, pohamowała się jednak szybko i rzekła spokojnie.

- Nie musi pani mieć dla mnie żadnych względów. Nie życzę sobie, żebyście państwo z mego powodu zrezygnowali z wszelkich stosunków towarzyskich. Nie możemy prowadzić tak cichego życia, choćby przez wzgląd na Blandynę. Jest zbyt młoda, aby żyć jak pustelnica.

I zwracając się ponownie do lokaja, oświadczyła stanowczo:

- Proszę wprowadzić tego pana do małego saloniku - ja przyjdę tam niebawem.

Lokaj oddalił się.

Pani von Tölz bardzo niezadowolona zrobiła jeszcze ostatnią próbę, aby odwieść Juttę od jej postanowienia.

- W ostateczności mogę najpierw przyjąć sama tego pana Rüdigera, to nie zobowiązuje do niczego - rzekła.

Jutta wiedziała jednak dobrze, że pani von Tölz przyjmie gościa w taki sposób, iż odechce mu się przyjść po raz drugi. Toteż, choć dotąd nie przeciwstawiała się nigdy postanowieniom pani von Tölz, tym razem pokazała, że ma silną wolę.

- Dziękuję, pani Herto, lecz to ja przecież jestem panią domu. Moim obowiązkiem jest przyjąć gościa. Nie mogę nakładać na panią coraz to nowych obowiązków. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, to przyjmiemy razem tego pana.

Po tych słowach wsunęła rękę pod ramię Blandyny i udała się z nią razem do małego saloniku.

Matka i syn wahali się przez chwilę, po czym znacząco spojrzeli na siebie.

- Jutta pragnie nagle podkreślić swoje stanowisko w tym domu - syknęła ze złością pani von Tölz.

Norbert wzruszył ramionami.

- Zdaje się, mamo, że posunęłaś się za daleko. Nie ma na to rady. Miejmy nadzieję, że ten pan Rüdiger jest człowiekiem, który nie wejdzie nam w paradę.

- Ach, gdyby można było liczyć na Blandynę! Może mu się spodoba! Należałoby jak najprędzej wydać za mąż Blandynę! - odparła matka w zadumie.

Machnął nerwowo ręką.

- Blandyna jest nieobliczalna. Na razie nie pozostaje nam nic innego jak przyjąć tego pana.

Oboje powstali i udali się do saloniku.

Jutta i Blandyna powitały tymczasem Franka. Nie zdradził się on żadnym słowem ani gestem, że zna już młodą kobietę. Jutta również zachowała tajemnicę i przedstawiła go Blandynie. Potoczyła się konwencjonalna rozmowa towarzyska. Wreszcie zjawił się Norbert wraz z matką.

Bywają sympatie i antypatie od pierwszego wejrzenia. Frank Rüdiger poczuł od razu, że zarówno matka jak i syn wzbudzają w nim uczucie niechęci, którego nic już nie zmieni. Zwłaszcza wobec Norberta poczuł się wrogo usposobiony. Wszystko, co o nim słyszał, napępiało go głęboką odrazą, która teraz przy osobistym poznaniu wzmogła się jeszcze. W całej postaci Norberta było coś zniewieściałego, bezsilnego, co wzbudzało wstręt w męskim, energicznym Franku.

Norbert von Hall także nie był zachwycony Rüdigerem, choć na razie nie żywił dla niego nieprzyjaznych uczuć. Blandyna nie wywarła na gościu najmniejszego wrażenia. Całe jego zainteresowanie skupiło się na osobie Jutty.

Rozmawiano przez chwilę w tonie uprzejmym, jak to zwykle bywa podczas wizyt tego rodzaju. Potem Frank Rüdiger podniósł się z miejsca. Jutta podała mu rękę; Frank zwrócił się do niej:

- Spodziewam się, że będziemy w przyszłości dobrymi sąsiadami.

- Będzie to zależało wyłącznie od pana - odparła. Pani von Tölz wmieszała się do rozmowy.

- Obawiam się, że pan się u nas znudzi. Prowadzimy życie ciche i samotne, gdyż nad domem tym zawisło nieszczęście. Zapewne nie wie pan o tym, że kuzyn mój, poprzedni właściciel majątku, został zamordowany, a sprawcy zbrodni nie wykryto.

Oczy Jutty zawisły błagalnie na twarzy Franka Rudigera, który odparł spokojnie:

- To, co mi o tym opowiadano uważam po prostu za plotki. Nikt nie zwraca uwagi na takie rzeczy. Jeżeli nie będę przeszkadzał, to chętnie znowu odwiedzę państwa. Sąsiedzi powinni żyć w przyjaźni, zwłaszcza, jeżeli kogoś spotkało nieszczęście. Mam nadzieję, że pani pozwoli się odwiedzić - zwrócił się wprost do Jutty, której oczy zaślniły przy tych słowach.

- Będziemy panu zawsze bardzo radzi - odpowiedziała. Pochylił się i pocałował ją w rękę. Potem pożegnał się także z pozostałymi osobami i wyszedł z pokoju.

Po jego odejściu przez chwilę panowała cisza. Pierwszy odezwał się Norbert, mówiąc dziwnie ochryplym, stłumionym głosem:

- Czy nie powinno się było mu powiedzieć, o co panią podejrzewają, pani Jutto?

Podniosła dumnie główkę i spojrzała mu spokojnie w oczy.

- Jeżeli pan przypuszczał, że zatajono to przed nim, to należało wyjawić mu prawdę. Może pragnął pan, aby i Riidiger poznał przezwisko, które prześladowuje mnie na każdym kroku, a które mam wyłącznie panu do zawdzięczenia.

Norbert zmienił się na twarzy, po czym cofnął się o krok.

- Mnie?

- Tak, panu - potwierdziła, mierząc go pogardliwym spojrzeniem.

- Kto ważył się twierdzić coś podobnego?

- Tego nie wyjawię. Dość na tym, że wiem, kto napiętnował mnie mianem „trucicielki z pałacu” ...

- Jutto! - krzyknęła boleśnie Blandyna, patrząc z żywym współczuciem w twarz młodej kobiety.

- Tak, Blandyno, to dzieło twego brata - rzekła Jutta z goryczą.

Norbert opanował się z trudem.

- To jakieś nieporozumienie, pani Jutto! Stałem raz przed gospodą i tłumaczyłem wieśniakom, że pani przecież nie jest trucicielką. Zapewne ktoś umyślnie przekręcił moje słowa, aby mnie oczernić przed panią... - usiłował wybrnąć z niemiłej sytuacji.

- Szkoda tylu słów - rzekła zmęczonym głosem Jutta - nie widzę w tym nic złego, jeżeli pan wyraża otwarcie swoje przekonania. Jeżeli mam panu coś do zarzucenia, to jedynie pańską dwulicowość. Udaje pan stale wobec mnie, iż wierzy pan w moją niewinność, prosił pan o moją rękę, a za moimi plecami obrzuca mnie pan oszczerstwami... To właśnie biorę panu za złe... Wolałabym

gdyby pan poszedł za przykładem swojej matki i pokazywał mi jawnie, iż posądza mnie pan o ten zbrodniczy czyn, popełniony na osobie najdroższego człowieka... Lepsze to, niż ta wieczna obłuda....

Twarz Norberta pokryła się bladością: w jednej chwili postarzał się jakby o kilka lat. Wlepił płonące spojrzenie w twarz Jutty.

- Zapewniam panią - wykrztusił ochryple - wierzę święcie w niewinność pani!

- Tym gorzej, że pan mimo to stale mnie obmawia. Przestańmy jednak mówić o tym. Chciałam jedynie raz na zawsze .wyświetlić tę sprawę, pragnę bowiem, aby pan wreszcie zaprzestał odgrywać wobec mnie komedię...

Powiedziawszy te wyrazy, w dumnej postawie opuściła pokój.

- Nie wygląda, jak grzesznica... Tak stąpają królowe! - pomyślała Blandyna, patrząc w ślad za nią.

Matka i syn spojrzeli na siebie płonącymi oczyma.

- Widzisz, mój synu, oto jest wdzięczność... Za to, że chciałeś pokryć jej hańbę twoim dobrym imieniem, za twoje najlepsze chęci - odpłaciła ci szyderstwem i wzdargą - syknęła pani von Tözl, oburzona do głębi.

Norbert wzruszył ramionami:

- Sama najgorzej wyjdzie na tym. Ciekaw jednak jestem, kto jej doniósł, że to ja nazywałem ją trucicielką. Przecież nie spotyka się z nikim, nie widuje nikogo...

- Podśluchała zapewne jakąś rozmowę służby. W każdym razie, nie masz obecnie potrzeby nadal udawać, że wierzysz w jej niewinność.

Twarz Norberta wykrzywiła się ohydny grymasem.

- Masz słuszość, mamó, to się nie opłaca. Tym bardziej, że mi odmówiła.

Blandyna podeszła do brata.

- Czy ci nie wstyd? - spytała z tłumionym oburzeniem. Spojrzał na nią osłupiałym wzrokiem. Oczy jego wyglądały, jakby wcale nie miały źrenic, ziała z nich pustka i martwota.

- Czemu miałbym się wstydzić? - zapytał, a po chwili dodał: - Aha, to pewno tyś mnie oczerniła przed Juttą, ty mała żmijo! Chciałaś się w ten sposób wkraść w jej łaskę i dlatego...

- Sądziś innych ludzi po sobie - przerwała Blandyna z goryczą, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju.

Matka i syn przez kilka minut spoglądali w milczeniu po sobie.

- Blandyna jest niebezpieczną istotą, należy się jej wystrzegać. Ta mała gadzina ciągle pokazuje żądełko - rzekł wreszcie Norbert.

- Wiecznie się sprzeczcacie - odparła z westchnieniem pani von Tólz - tym razem jednak ty sprowokowałaś Blandynę.

- Ona zaczęła, mamó! Trzeba przyznać, że życie tutaj jest w ogóle rozkoszne! Najlepiej byłoby uciec stąd, choćby na koniec świata - zawołał, wzburzony.

- Nie gadaj głupstw, Norbercie! Dokąd chcesz uciec? Nie mamy żadnych widoków na przyszłość i powinniśmy się starać, aby się mocno zagnieździć w pałacu. Powinniśmy walczyć, aby z każdym dniem nabierać większego znaczenia i wreszcie zagarnąć całą władzę w nasze ręce. Oto nasz cel!

Zaśmiał się chrapliwie.

- Zdaje się, iż Jutta dowiodła nam dzisiaj, że jesteśmy dalecy od osiągnięcia celu. Pokazała, że ona jest panią domu.

Matka wzruszyła ramionami.

- To był przypadek, bez najmniejszego znaczenia. Nie należy przywiązywać wagi do jej dzisiejszego wystąpienia. Nie odważy się z pewnością na dalszą walkę z nami, gdyż boi się, żebyśmy raz jeszcze nie wdrożyli śledztwa przeciw niej.

Oczy Norberta przybrały dziwny wyraz.

- Tak sądzisz, mamó? - spytał z wahaniem.

- Z całą pewnością! Musimy zresztą utrzymywać ją w tej obawie. Może nam się kiedyś uda dowieść, że to ona otruła wujaszka. Ja czuwam bacznie nad każdym jej krokiem, śledzę ją bezustannie. Liczę na to, że się Jutta któregoś dnia zdradzi. Prawda musi przecież wyjść na jaw. Wtedy będziemy pewni zwycięstwa.

Norbert nerwowym ruchem przesunął ręką po czole.

- Pojadę teraz w pole, do widzenia, mamó!

Szybkim krokiem wybiegł z pokoju. Matka posłała w ślad za nim gniewne spojrzenie. O ile na ogół przykładła mało wagi do cech charakteru swoich dzieci, o tyle nie znosiła najłżejszego uchybienia w formach towarzyskich.

Norbert jednak nie wyszedł zaraz z domu. Udał się do swego pokoju, położonego na pierwszym piętrze, gdzie natychmiast padł na kanapę, jakby zupełnie pozbawiony sił. Twarz jego była blada, oczy bez blasku.

Gdy w dziesięć minut później wychodził z pokoju - wyglądał jakby odmieniony. Trzymał się prosto, chód jego był elastyczny, twarz lekko zaróżowiona, zdawałoby się odmłodzona. W pozornie dobrym nastroju wsiadł na wierzchowca i wyruszył na pola.

* * *

Blandyna po rozstaniu się z matką i bratem, podążyła do Jutty. Zastała ją siedzącą przy oknie w buduarze.

- Czy nie przeszkadzam ci, Jutto?

- Nie, nie, wejdź, Blandyno.

Młoda dziewczyna usiadła na zydelku u stóp Jutty i spojrzała jej niespokojnie w oczy.

- Pewno się i na mnie gniewasz, Jutto?

- Dlaczego miałabym się gniewać na ciebie? - zagadnęła Jutta, zdumiona.

- Zauważyłaś pewno, że wiedziałam o brzydkiej nazwie, którą napiętnował cię Norbert... Prawdopodobnie gniewasz się, że zataiłam to przed tobą...

- Więc wiedziałaś, że to jego sprawka?

- Tak. Czy bierzesz mi za złe moje postępowanie?

- Nie, Blandyno. Rozumiem, że nie chciałaś przede mną oskarżyć twego brata.

Blandyna szybkim ruchem ujęła jej dłonie.

- Więc rozumiesz moje pobudki? To dobrze. Pojmujesz, że nigdy nie powiedziałabym ci nic takiego o Norbercie, co mogłoby mu w twoich oczach zaszkodzić.

- Ależ naturalnie, głuptasku! Czemu dręczysz się niepotrzebnie takimi myślami?

Dziewczyna ukryła rozpaloną twarz na kolanach Jutty. - Ach, kochana Jutto, jakie smutne, jakie ciężkie jest życie! Jutta pogładziła z dobrotliwym uśmiechem piękne, złociste włosy Blandyny.

- Biedna, maleńka Blandynko. Och, gdybym mogła wnieść w twoje życie trochę urozmaicenia! Tak pragnę, byś zakosztowała nieco zabaw i rozrywek...

- Tobie również przydałaby się jakaś zmiana.

- Myślałam już nad tym, żebyś w lecie wyjechała razem z matką do jakiejś miejscowości kąpielowej i spędziła choćby kilka tygodni wśród wesołych ludzi...

Blandyna potrząsnęła energicznie głową.

- Nie, zostanę z tobą. Nie martw się o mnie. Może zresztą ten pan Rüdiger okaże się miłym sąsiadem i wprowadzi jakąś zmianę w nasze życie. Jakże on ci się podoba?

Twarz młodej kobiety pokryła się lekkim rumieńcem.

- Zdaje się, że jest sympatyczny. A tobie jak się podobał?

- Bardzo, moja droga.

Jutta popatrzyła badawczo na przyjaciółkę.

- Ależ to brzmi po prostu entuzjastycznie! Czy mogłabyś się w nim zakochać? - spytała z lekkim niepokojem.

- Nie, moja droga, nie miałam tego na myśli. Zdaje mi się jednak, że człowiekowi temu można zaufać bez zastrzeżeń. Z postaci jego promieniuje taka siła i energia. Pragnęłabym pozyskać jego przyjaźń, nic więcej. Staram się w ogóle unikać mężczyzn, boję się miłości i wystrzegam się jej.

- Ale dlaczego?

Blandyna mocno zacisnęła wargi i tępym wzrokiem spojrzała przed siebie. Potem odparła szybko:

- Mam taki dziwny charakter, jestem niekiedy taka niemądra, nie zrównoważona. Cóż by ze mną począł mój mąż?

- Kochałby cię tak, jak na to zasługujesz. A gdybyś go także kochała, to z pewnością pozbyłabyś się twoich wad... Nabralabyś równowagi, której ci na razie brak.

- Być może. Jestem jednak ubogą dziewczyną, więc nikt się ze mną nie ożeni.

- Ja także byłam ubogą dziewczyną.

- Tak, ale twój wypadek był czymś wyjątkowym. Przecież niedawno, gdy mi opowiadałaś dzieje twego małżeństwa, rzekłaś do mnie: „Byłam ubogą dziewczyną, nie miałam widoków na przyszłość”.

- To prawda, Blandyno, powiedziałam te słowa.

- A widzisz! Otóż ja także nie mam widoków, dlatego też strzegę mego serca. W panu Riidigerze jednak nie zakochałabym się w żadnym razie, choć może on się bardzo podobać kobiecie. Wiem doskonale, że byłaby to miłość bez wzajemności.

- Skąd wiesz o tym, Blandyno?

- Jestem tego pewna.

- Ale dlaczego?

Na ustach Blandyny zaigrał filuterny uśmiech. - Podchwyciłam jego spojrzenie, kiedy patrzył na ciebie, Jutto. Zdaje się, że podbiłaś jego serce. Jutta oblała się purpurą.

- Ach, ty głuptasku! - rzekła.

- A jednak to prawda.

Jutta wyjrzała przez okno, a na twarzy jej odbił się wyraz bólu.

- Trucicielka! Czyż można pokochać zbrodniarkę? - powiedziała z goryczą.

- Możesz być spokojna, Jutto! Ten człowiek wygląda tak, jakby o każdej sprawie miał swój własny sąd. Wywnioskowałam z jego zachowania, że wie doskonale, co ludzie mówią o tobie, lecz nie przywiązuje do tego wagi. Nie

wierzy, że jesteś winna, inaczej nie przyszedłby. Jest dobry i silny! Och, Jutto, gdyby ten człowiek wniósł w twoje życie odrobinę słońca!

Jutta zmęczonym ruchem oparła głowę na dłoni.

- Ach, dziecko, z mego życia słońce uciekło na zawsze!

- Nie, nie, kochanie! Słońce ukryło się tylko chwilowo za groźnymi chmurami, lecz pewnego dnia zaświeci znowu.

- Od niedawna zaczyna rzeczywiście przeświecać przez obłoki. To ty wyczarowałaś dla mnie mały promyczek słońca - powiedziała pani Jutta, gładząc pieśczośliwie policzki Blandyny. - Ach, jakże ci wdzięczna jestem za to.

- Cieszę się, że choć raz zasłużyłam na twoją wdzięczność. Bo przecież ja mam ci nieskończenie wiele do zawdzięczenia.

- Cóż ja uczyniłam dla ciebie?

- Dałaś mi dach nad głową, zapewniłaś beztroskie życie, a co najważniejsze, ofiarowałaś mi przyjaźń.

- Nie mów o tym.

- Muszę o tym mówić. Pragnę cię zapewnić, że nie trwonisz twej dobroci dla osoby złej i niewdzięcznej.

- Ależ, dziecko drogie, cóż bym ja poczęła z tym wielkim majątkiem, gdybym nie dzieliła się z wami. Przecież jesteście najbliższymi krewnymi mego męża. Jestem pewna, że gdyby Maltę znalazł ciebie tak, jak ja ciebie poznałam, to byłby cię na pewno uczynił swoją spadkobierczynią.

- Poznał jednak ciebie i uznał cię za godniejszą ode mnie.

- Przypuszczam, że nawet, będąc moim mężem, nie pominąłby ciebie, gdyby cię znał lepiej. A ponieważ on nie może już naprawić tego błędu, więc ja go zastąpię. Będę cię odtąd uważała za drogą siostrzyczkę!

Blandyna w porywie uczucia przycisnęła wargi do ręki Jutty.

- Och, ty wspaniałomyślna, szlachetna istoto! - zawołała.

- Nie zawstydzaj mnie, Blandyno. A teraz muszę odejść, pragnę się trochę przejść.

- Czy mogę pójść z tobą?

Jutta ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Lepiej nie... Niekiedy spotykam ludzi, którzy nie szcędzą mi obelżywych słów... Nie chciałabym cię narażać na to... Czytam we wszystkich oczach wstręt i pogardę. Dzieci z krzykiem uciekają przede mną, nazywają mnie czarownicą i trucicielką... Po co masz mieć przykrości z mojego powodu?

- Czy dlatego nie chcesz, abym ci towarzyszyła?

- Tak, Blandyno!

- Więc zabierz mnie ze sobą. Pragnę pokazać całemu światu, że jestem twoją przyjaciółką. Gdyby zaś ktoś w mojej obecności ośmielił się powiedzieć jakieś obelżywe słowo, wówczas wystąpię w twojej obronie.

Jutta podniosła się i przyciągnęła ku sobie Blandynę.

- Jesteś dzielną, odważną istotą, chodź ze mną. Nie chcę wprawdzie, abyś się za mną ujmowała, lecz wyświadczysz mi prawdziwe dobrodziejstwo swoją obecnością. Nie lubię tych samotnych wędrówek po lesie...

Wsunęła rękę pod ramię Blandyny; wyszły razem, zmierzając do lasu, który z daleka jaśniał świeżą wiosenną zielenią. Od tego dnia Blandyna często wychodziła z Juttą na dalekie spacer. Niekiedy zapominały o wszystkich smutkach i cierpieniach, potrafiły wesoło rozmawiać, żartować, śmiać się... Nic dziwnego, były przecież obie takie młode.

* * *

Upłynęło dwa tygodnie, a Frank Rüdiger przez cały ten czas nie odwiedził po raz wtóry mieszkańców pałacu. Matka i syn triumfowali. Blandyna zaś powiedziała do Jutty:

- Nie sądziłam, że pan Rüdiger będzie przywiązywał wagę do plotek... Byłam o nim lepszego mniemania i doznałam wielkiego zawodu...

Jutta odczuła to najboleśniej. Nie wiedziała, jak często Frank Rüdiger przyjeżdżał konno w stronę pałacu, nie wiedziała, że okraża niespokojnie cały park, łudząc się nadzieją, że ją zobaczy.

Jutta zajmowała się w myśli bardzo wiele osobą Franka Rüdigera. Gdy ujrzała go po raz pierwszy, doznała wrażenia, że nareszcie znalazł się człowiek, gotów kruszyć kopię w jej obronie. Teraz, kiedy nie przychodził, ogarnęła ją znowu cicha, beznadziejna rozpacz. Własny los wydawał się jej nie do zniesienia, cierpiała bardziej niż kiedykolwiek. Teraz jednak słysząc słowa Blandyny, odparła:

- Po co miałby przychodzić do nas, do tego domu, owianego smutkiem i żałobą?

- Powinien przyjść, powinien rozjaśnić twoje życie, dodać ci otuchy swoją wiarą. Ale nie robi tego. Jak już powiedziałam, jestem rozczarowana. Spodziewałam się po nim tak wiele, a tymczasem okazał się takim jak wszyscy.

- Czemu miałby się okazać inny? - spytała Jutta, pełna smutku.

Tego dnia Jutta udała się sama do lasu. Blandyna musiała pozostać przy matce, która cierpiała na silną migrenę i niedobrze się czuła.

Smutna i zgnębiona stapała po wąskiej, odludnej ścieżynie leśnej... Nagle zatrzymała się, usłyszawszy dudnienie kopyt końskich. Po chwili ujrzała w pobliżu jeźdźca... Był to Frank Riidiger.

Ujrzawszy ją, zatrzymał konia i natychmiast zeskoczył z siodła. Z błyszczącymi radośnie oczyma podbiegł do Jutty.

- Ach, jakże się cieszę, że spotkaliśmy się! Byłem właśnie na drodze do pałacu, a zmartwiłbym się ogromnie, gdybym nie zastał pani...

Jutta bladła i czerwieniła się na przemian. Spojrzała na niego oczyma, w których malował się głęboki smutek.

- Przypuszczałam, że pan nigdy więcej nie przestąpi progę mego domu. Nie pokazywał się pan tak długo...

- Tak długo? - powtórzył - To prawda, mnie ten czas również wydawał się bardzo długim... Zdawało mi się jednak, że jeżeli przyjdę wcześniej, będą mnie państwo uważali za natręta... I dziś byłbym się nie zdecydował na wizytę, gdybym nie miał specjalnego powodu...

Jutta odetchnęła z ulgą. Zrobiło jej się nagle dziwnie lekko, dziwnie błogo na duszy...

- Jakiż to powód? - zagadnęła.

- Spodziewałem się, że będę mógł choćby przez chwilę porozmawiać z panią na osobności. Cieszę się więc, żeśmy się spotkali, gdyż tutaj nikt nam nie przeszkodzi...

- Cóż pan pragnie mi powiedzieć?

- Los pani wzbudził we mnie wielkie, gorące współczucie, toteż pragnę szczerze przyjść pani z pomocą. Wśród najbliższego otoczenia nie ma nikogo, kto by chciał zerwać zasłonę, jaka ciąży na tej strasznej zbrodni, o którą posądzają panią. Kuzyn pani zapewne musi być przeświadczony, że pani jest winna... Gdyby było inaczej, poczyniłby już dawno wszelkie kroki, aby wyświecić tę sprawę, stanąłby w pani obronie... Ja, niestety, nie mam do tego prawa, muszę więc korzystać z prawa rycerskości, które dozwala każdemu mężczyźnie ująć się za krzywdą bezbronnej kobiety. Powołując się na to prawo, pragnę się zapytać, czy pozwoli mi pani w największej tajemnicy rozpocząć badania, które może rozpalą światło wśród mroku, jaki panią otacza...

Zadrżała i mocno zacisnęła dłonie.

- Czy pozwolę? O, Boże! Mógłby się pan tak samo zapytać skazańca, czy pozwoli się wyrwać z rąk kata... Nie wiem, jak panu dziękować, brak mi po prostu słów... O, jakże jestem panu wdzięczna, że wierzy pan we mnie, że

pragnie pan poświęcić dla mnie swój drogi czas... Muszę bowiem zaznaczyć, że wyjaśnienie tej okropnej tajemnicy będzie rzeczą bardzo trudną...

- Nie mówmy o wdzięczności, droga pani! Ja sam zresztą, gdybym nawet poświęcił każdą wolną chwilę na usługi pani, nie potrafiłbym tutaj nic wskórać. Mam jednak przyjaciela, który zajmuje się wyświatleniem podobnych zagadek... Natychmiast po naszej pierwszej rozmowie napisałem do niego i zaprosiłem go na czas dłuższy do siebie. Nadmieniłem mu, że w okolicy została popełniona zbrodnia, której sprawca dotąd nie został wykryty i że on mógłby dopomóc w wyświatleniu tej sprawy. Dziś właśnie otrzymałem odpowiedź, dam ją pani do przeczytania...

I po tych słowach Frank wyjął portfel, z którego wyciągnął list. Podał kopertę młodej kobiecie, która drżącymi rękami wzięła pismo i zaczęła czytać:

Mój drogi Franku!

Gdybym nawet oparł się pokusie dobrej kuchni i piwnicy, gdybym nawet nie chciał słuchać twoich przygód z Borneo - to mimo wszystko nęciłaby mnie zagadka niewykrytej zbrodni. Ta ciemna sprawa kryminalna wpłynęła ostatecznie na moje postanowienie, gdyż tego rodzaju zagadki są, jak ci wiadomo, moją słabą stroną. Wszystkie rzeczy niewyjaśnione nęcą mnie i zawsze tak długo pracuję, dopóki ich nie wyjaśnię. Jednym słowem, przyjadę w początku przyszłego tygodnia. Spodziewam się, że i tym razem szczęście mnie nie opuści, tym bardziej, że wiem, jak bardzo ci zależy na rozwikłaniu tej zagadki. Dołożę wszelkich starań, aby osiągnąć pożądaną wynik. Przyślij wobec tego we wtorek powóz na stację, o ile sam nie będziesz mógł być na dworcu. Wszystko inne omówimy osobiście. Bardzo się cieszę, że dostanę pokój z widokiem na góry. Dwa lata temu wspinałem się na ich szczyty, a teraz będę mógł spokojnie przypatrywać się im z doliny. A teraz żegnaj, mój stary! Do widzenia!

Twój Henryk Diehl

Jutta przeczytała list, a oddając go Frankowi, spojrzała nań tak serdecznie swymi pięknymi oczyma, że młody człowiek poczuł ogromne wzruszenie.

- Jakże mam panu podziękować? - spytała.

- Podziękuje mi pani najlepiej w ten sposób, że pozwoli nam pani bez przeszkód działać. Mego przyjaciela przyjmie pani u siebie, lecz nie wolno, aby ktokolwiek wiedział, w jakim celu przyjechał. Przed krewnymi musimy również zachować tajemnicę, to jest pierwszy i najważniejszy warunek. Przedstawię Henryka jako mego przyjaciela, który przyjechał do mnie i pragnie poznać moich sąsiadów. Powiemy, że jest doktorem filozofii,

przemilczając fakt, że jest prawnikiem. Będzie pani musiała zapraszać go jak najczęściej, chodzi bowiem o to, żeby dokładnie zapoznał się z terenem, na którym popełniono przestępstwo. Zawsze się znajdzie przecież jakiś powód, aby go zaprosić na obiad, czy na herbatę... Ja udam się teraz do pałacu, złożę wizytę i poczynię kroki wstępne. A kiedy doktor Diehl przyjedzie, znajdziemy już okazję, aby pani mogła z nim bez świadków porozmawiać. Umówimy się może tutaj, w lesie... Zresztą pogadamy jeszcze o tym. Czy pani się zgadza?

Podawała mu impulsywnie rękę.

- Zgadzam się na wszystko, co pan będzie uważał za stosowne! I dziękuję panu, dziękuję z całego serca! Nie wiem, czy pańskiemu przyjacielowi uda się zrzucić ze mnie to okropne podejrzenie, lecz bez względu na to, jaki będzie wynik jego starań, zachowam dla pana dozgonną wdzięczność. Przycisnął usta do jej dłoni.

- Moim najważniejszym zadaniem będzie odtąd wykrycie mordercy. Musimy go znaleźć, musimy dowieść, że pani jest niewinna.

Przez długą chwilę stali oboje w milczeniu, patrząc sobie w oczy. Pierwszy ocknął się Frank Rüdiger.

- Właściwie możemy już umówić się na pierwsze spotkanie z moim przyjacielem. Doktor Diehl przyjeżdża we wtorek po południu. W środę przed obiadem przedstawię go w pałacu, a w środę po obiedzie możemy się wszyscy troje spotkać w lesie, dajmy na to, w tym samym miejscu... Pani będzie musiała zdać dokładnie sprawę z przebiegu wypadków, on zaś zacznie śledztwo na własną rękę. Czy pani się zgadza?

- Oczywiście.

- O jakiej porze chciałaby pani spotkać się z nami?

- Myślę, że najlepiej będzie o czwartej.

- Dobrze! Umawiamy się tedy na godzinę czwartą w środę. A dziś może będzie najlepiej, gdy złożę wizytę w pałacu podczas nieobecności pani. Co pani sądzi o tym?

- Ma pan słuszność. Niech się pan jednak nie zraża, jeżeli pani von Tölz i jej syn niezbyt uprzejmie przyjmą pana.

Zaśmiał się. Był to dźwięczny, jasny śmiech, który rozgrzewał jej serce. Ach, jakże chętnie by mu zawtórowała! Zaśmiać się tak raz jeszcze, głośno z całej duszy - jakież to musiało być rozkoszne uczucie!

- Prawdę mówiąc, niewiele mi zależy na tym, aby ci państwo uprzejmie mnie przyjęli. Czuję, że są wobec pani wrogo usposobieni. Toteż sprawia mi to wielką przyjemność, że mogę być pani sojusznikiem przeciwko nim.

Teraz Jutta uśmiechnęła się lekko. Stwierdził, że wygląda zachwycająco z tym uśmiechem na ustach i rzekł, uradowany:

- Chwała Bogu, że się pani potrafi uśmiechać! Dotąd widywałem panią zawsze smutną i przygnębioną...

- Zapomniałam się śmiać - odparła z westchnieniem - a jednak byłam niegdyś wesołą, odważną istotą. Nie przejmowałam się nigdy drobnymi troskami życiowymi. Ach, jakże lubiłam wtedy śmiech i wesołość! Ale to dawne, odległe czasy!

- Polubi je pani znowu! Uważam, że powinna się pani zacząć powoli przyzwyczajać do śmiechu. Wesołość pomaga nam znosić wiele przeciwności losu. A wszystkie swoje troski niech pani złoży teraz na moje barki.

Oczy jej napełniły się łzami, lecz usiłowała się uśmiechnąć.

- Od dawna już nie czułam się tak dobrze, jak dzisiaj, jest mi dziwnie lekko na duszy. Pan tego nie może pojąć, co czuję, rozmawiając z panem tak swobodnie. Nareszcie widzę przed sobą człowieka, w którego oczach nie ma tej okropnej, upokarzającej nieufności...

- Czyż nie miała pani nikogo, kto by wierzył w niewinność pani?

- Nie! Przez długi czas obawiałam się każdego spotkania z ludźmi. Dopiero niedawno Blandyna powiedziała mi, że uważa mnie za niewinną. Przypuszczałam, że i ona, podobnie jak jej rodzina, nie ma do mnie zaufania, okazało się jednak, że się myliłam. Stała się moją serdeczną przyjaciółką i składa mi dowody szczerego przywiązania i życzliwości. Dzięki niej życie wydaje mi się o wiele łatwiejsze. Ucieszyłaby się bardzo, gdybym jej powiedziała, że zamierza pan zająć się moją sprawą. Czy mogę jej powierzyć tę tajemnicę?

Potrząsnął energicznie głową.

- Nie, w żadnym razie, proszę pani! Jestem wprawdzie przekonany, że jest ona pani serdecznie oddana, lecz taka młoda dziewczyna może się niebacznie zdradzić. Ponieważ zależy nam na pomyślnym wyniku, więc musimy całą sprawę utrzymać w najgłębszej tajemnicy. Wiem, że mój przyjaciel tego zażąda, nie możemy się przecież sprzeciwiać jego woli.

- Trudno, wobec tego zachowam tajemnicę, nawet przed Blandyna. Teraz jednak nie chcę pana dłużej zatrzymywać, bo musi pan jeszcze pojechać do pałacu.

Ucałował na pożegnanie dłoń Jutty i rzekł z uśmiechem:

- Oddam serdeczne pozdrowienia dla szanownej pani i poproszę, aby pani von Tölz zechciała ją zawiadomić, że w środę pozwolę sobie przyjść z moim przyjacielem.

Przelotny uśmiech okraślił znowu bladą twarz Jutty.

- Przyjmę to spokojnie do wiadomości.

- Brawo! A teraz niech pani nabierze odwagi i otuchy. Niech pani ufa Bogu i nie traci nadziei. Mój przyjaciel z pewnością pomoże pani...

- Tak - odparła z westchnieniem - nie upadnę na duchu, będę znowu dzielna i odważna. Mam dowody, że Pan Bóg nie zapomniał o mnie, gdyż zesłał mi pana. Do widzenia, niech Bóg zapłaci panu za wszystko, co pan chce dla mnie uczynić...

Obrzucił ją spojrzeniem, które wywołało rumieniec na jej twarzy. Potem szybko wskoczył na siodło i odjechał. Patrzyła w ślad za nim wilgotnymi od łez oczyma, a w sercu jej zaświtał słaby promyk nadziei. Miała wrażenie, że się ktoś nią opiekuje, doznawała po raz pierwszy uczucia bezpieczeństwa. Jeżeli człowiek taki jak Frank Rüdiger zajął się jej losem, to sprawa powinna być zakończona pomyślnie.

A gdyby nawet starania te okazały się daremne, to i wówczas pozostawała jej pewna pociecha, gdyż znalazła znowu człowieka, który wierzył w jej niewinność. Nie czuła się już tak samotna i opuszczona, jak w przeciągu tego czasu, który upłynął od chwili śmierci jej męża.

* * *

Pani von Tölz przyjęła Franka Rüdigera z kwaśno-słodkim uśmiechem. Blandyna również była obecna, jedynie Norberta nie było w domu.

Frank wyraził ubolewanie, że nie zastał Jutty i pana von Halla.

- Chciałem poprosić, aby wolno mi było wprowadzić do państwa mego przyjaciela, który wkrótce mnie odwiedzi. Ponieważ pani von Tübingen nie ma, proszę więc szanowną panią o pozwolenie.

Pani von Tölz nie wiedziała w pierwszej chwili, jaką ma dać odpowiedź. Ponieważ wahała się, przeto Blandyna wmieszała się do rozmowy.

- Jutta na pewno się ucieszy, mamó. Możesz w jej imieniu zgodzić się na to.

- Dziękuję za łaskawe poparcie, panno Blandyno - rzekł Frank z uśmiechem.

Pani von Tölz spojrzała niechętnie na córkę i powiedziała z wymuszoną uprzejmością:

- Oczywiście, będzie nam bardzo miło. Zaznaczam jednak, że nasz dom jest smutny i okryty żałobą, nie wiem więc, czy pański przyjaciel rad będzie z tej znajomości.

- Och, mój przyjaciel, doktor Diehl jest z natury tak wesołym człowiekiem, że na pewno wniesie i do tego domu trochę radości i wesela.

- Trochę wesela? Do tego domu? Czyż pan nie wie o tym, że na właścicielce pałacu ciąży okropne podejrzenie? Czyż pan nie wie, że posądzają ją o zabójstwo męża? - zapytała pani von Tölz.

Frank zauważył, że Blandyna drgnęła i z wyrzutem spojrzała na matkę. Toteż spokojnym, stanowczym tonem odparł:

- Naturalnie, że wiem o tym, opowiedziano mi wszystko. Jeżeli jednak przyszedłem tutaj, to składam dowód, że nie dbam o plotki.

Oczy Blandyny zabłyśły wdzięcznością. Jej matka jednak zacisnęła wargi i pragnąc przejść na inny temat zagadnęła:

- Jakże się pan czuje w swojej nowej posiadłości? Frankowi przyszło na myśl, że Jutta prosiła go aby się nie zdradzał z tym, iż wierzy w jej niewinność. Czuł jednak, że musiał odpowiedzieć w ten sposób. Teraz skorzystał ze sposobności i skierował rozmowę na inne tory.

- Dziękuję pani, czuję się doskonale. Przywykłem zupełnie do moich nowych obowiązków i oddaję się im całą duszą.

- Czy pan dawniej gospodarował na wsi? - spytała Blandyna.

- Zdaje mi się, że nie robię wrażenia wieśniaka - zaśmiał się Frank - jest pani rzeczywiście bardzo spostrzegawcza. Byłem oficerem aż do ukończenia wojny, potem zaś wyjechałem z pewnym Holendrem na Borneo. Cały majątek włożyłem wówczas w wielkie przedsiębiorstwo handlowe, które dobrze prosperowało. Nie mogłem jednak wytrzymać na obczyźnie. Siedziałem tam przez cztery lata. potem wycofałem część mego kapitału i kupiłem tutaj majątek. Kocham jednak wieś, mam to we krwi, gdyż matka moja była córką obywatela ziemskiego.. Zawsze marzyłem o tym, żeby pracować na roli. Po skończonej wojnie nie miałem jednak dość dużego kapitału, aby nabyć znaczne obszary ziemi.

- Pańska posiadłość jest bardzo piękna - orzekła pani von Tölz. Stała się nagle o wiele uprzejmiejszą dla gościa, gdyż zauważyła, że spogląda on życzliwie na Blandynę. Kto wie, może między córką a młodym człowiekiem nawiąże się jakaś nić sympatii?

Młodzieniec nie był wprawdzie arystokratą, co uważała za wielki brak, wiedziała jednak, że w dzisiejszych czasach nikt nie przykłada tak dużej wagi do tytułu. Okazała by mu jeszcze większe względy, gdyby tylko miała pewność, że Frank nie zamierza poślubić Jutty.

Stwierdziła jednak, że musi go nadal przyjmować, toteż prowadziła z nim dość łaskawie konwencjonalną rozmowę towarzyską.

Po pewnym czasie Frank powstał i prosił, aby w jego imieniu pozdrowić panią von Tübingen. Gdy Jutta powróciła do domu, Blandyna oddała jej

natychmiast uklony od Franka, po czym powtórzyła przyjaciółce przebieg całej rozmowy.

- Cieszę się, Jutto, że był u nas i że się nie rozczarowałam. Gdy odwiedzi nas ze swoim przyjacielem, będziemy miały jakieś urozmaicenie. Ten pan jest podobno bardzo miły i wesoły. To nam się bardzo przyda, nieprawdaż?

- O, tak - odparła Jutta z uśmiechem - to nam się rzeczywiście przyda. Rada jestem, że będziesz miała nieco odmiany w tym monotonnym życiu.

- Tobie także odmiana dobrze robi Jutto.

Jutta wypijała herbatę w towarzystwie Blandyny i jej matki, po czym przeszła do pokoju, w którym umarł jej mąż. Do tego pokoju nikt oprócz niej nie miał wstępu. Tutaj szukała ucieczki w pierwszych okropnych dniach, kiedy zwolniono ją z więzienia, nie mogąc jej dowieść winy. Ukrywała się tu przed ludźmi, aby uniknąć wrogich, nienawistnych spojrzeń najbliższego otoczenia. Fakt, że zamykała się w tym pokoju i spędzała tam długie godziny, powinien być już sam świadczą o jej niewinności. Gdyby nie miała czystego sumienia, nie wchodziłaby tam, lecz raczej unikała tego miejsca, gdzie popełniono zbrodnię. Istnieje wprawdzie pogląd, że morderca powraca zawsze na miejsce przestępstwa, w rzeczywistości jednak sprawa ta przedstawia się inaczej.

Dziś także Jutta przesiedziała godzinę obok łóżka na tym samym fotelu, gdzie zasnęła owej pamiętnej nocy. Złożyła błagalnie ręce, szepcząc:

- O mój drogi przyjacielu, mój dobry ojcze! Czy patrzysz na mnie z góry, czy widzisz mnie? Czy wiesz, że ludzie twierdzą, iż to ja zgładziłam cię ze świata? Och, pomóż mi udowodnić moją niewinność! Wiem, że nie masz spokoju w mogile, że nie zaznasz go dopóki sprawca zbrodni nie poniesie zasłużonej kary. Ach, pomóż mi, pomóż mój ojcze!

Szeptala te wyrazy, niby żarliwą modlitwą, przy czym zdawało się jej, że widzi przed sobą szlachetną twarz i dobrotliwe oczy człowieka, który chciał jej zapewnić byt. Uczynił to dlatego, że kochał do ostatka jej matkę, że nie zapomniał jej aż do śmierci. Dlatego i ją kochał jak dziecko, dlatego mianował ją swoją spadkobierczynią.

Gdy wyszła z pokoju, spotkała się w holu z Norbertem. Powrócił właśnie do domu. Ujrzał, że Jutta wychodzi z pokoju, w którym zginął jej mąż, i w oczach jego zamigotał niespokojny płomień.

- Czy pani ma trochę czasu? Pragnę z panią pomówić o interesach.

- Dobrze - odparła Jutta.

- W takim razie, przyjdę za pół godziny do pokoju pani.

- Lepiej będzie, jeżeli w przyszłości sprawy tego rodzaju zostaną omawiane w gabinecie mego męża.

- Po co ta zmiana, jeżeli wolno wiedzieć? - zagadnął, obrzucając ją dziwnym spojrzeniem.

Jutta zarumieniła się. Postanowiła, że nie będzie przyjmowała Norberta w swoim pokoju. Po jego oświadczeniach byłoby to dla niej nieprzyjemne, a przy tym odczuwała w stosunku do Norberta jakiś niejasny, podświadomy lęk. Być może, iż płomień nieczystej żądz, który płonął w jego żrenicach ostrzegał ją przed nim. Powzięła postanowienie, że nie wpuści go do swego pokoju. W gabinecie męża mogła bardziej podkreślić oficjalny charakter rozmowy.

Jutta od samego początku wyznaczyła Norbertowi wysokie wynagrodzenie za jego pracę. Dbała również, aby jego matce i siostrze nie zbywało na niczym. Gdyby wiedziała jak to uczynić, już dawno usunęłaby Norberta ze swej posiadłości. Szukała jakiegoś pozoru, lecz nie chciała się okazać niedelikatną. Nie chciała mimo wszystko obrażać tego człowieka, choć wyrządził jej tyle złego. Nie przypuszczała, że ani Norbert, ani jego matka nie byli zbyt wrażliwi, jeżeli chodziło o pieniądze.

W każdym jednak razie chciała wyraźnie zaznaczyć granicę między sobą i Norbertem. Pragnęła, aby pojął, że nie dopuści go do najłżejszej poufałości, że stosunek ich powinien być jeszcze bardziej chłodny i oficjalny niż był dotychczas. Toteż odpowiedziała spokojnie na jego pytanie:

- Uważam, że interesy najlepiej omawiać w gabinecie mego męża. To wyjaśnienie powinno panu wystarczyć.

Skłonił się przed nią, a twarz jego przybrała wyraz na pół szyderczy, na pół gniewny:

- Pani pragnie wyraźnie zaznaczyć dystans między nami?

- Być może.

- Nie pozostaje mi nic innego, jak zastosować się do życzenia pani. Spodziewam się, że nigdy nie pożałuje pani swego kroku.

- Proszę, nie mówmy o tym więcej. Poczekam na pana w gabinecie...

- Jak sobie pani życzy!

Raz jeszcze skłonił się przed Juttą, po czym wszedł na schody prowadzące do jego pokoju.

Jutta odszukała Blandynę i poprosiła, aby zechciała jej towarzyszyć.

- Pojmujesz chyba, Blandyno, że po oświadczeniach twego brata, jest mi bardzo nieprzyjemnie pozostawać z nim sam na sam. Będziemy się oboje czuli mniej skrupowani w towarzystwie osoby trzeciej. Nie chcę fatygować

twej matki, dlatego zwracam się do ciebie. Weź sobie jakąś książkę czy robótkę i chodź ze mną do gabinetu.

Blandyna chętnie przystała na to.

Gdy Norbert ujrzał potem swoją siostrę, siedzącą przy oknie w gabinecie, twarz jego przybrała na chwilę wyraz nienawiści. Nie odezwał się jednak ani słowem.

Sprawozdanie jakie składał miało charakter zupełnie rzeczowy.

Doktor Henryk Diehl przyjechał, a Frank oczekiwał go na dworcu. Obaj przyjaciele przywitali się bardzo serdecznie.

Doktor Diehl był sympatycznym mężczyzną, który liczył zaledwie trzydzieści pięć lat. Średniego wzrostu, szczupły, posiadał jasno-blond włosy i oczy koloru stali. Twarz jego wydawała się na pierwszy rzut oka pospolita, na ustach gościł zazwyczaj wesoły uśmiech. Kiedy jednak interesował się jakąś sprawą, wtedy zmieniał się nie do poznania. Oczy jego płonęły wówczas mocnym blaskiem, na twarzy malował się wyraz silnego napięcia i skupienia.

Wyglądał wtedy bardzo interesująco. Był nieco niższy od Franka Rüdigera, lecz miał dobrą figurę i szybkie sprężyste ruchy.

Po serdecznym przywitaniu z przyjacielem, doktor Diehl obrzucił badawczym przenikliwym spojrzeniem okolicę.

- Do licha, Franku, jakież to wspaniałe krajobraz. Czy to wszystko twoje? - spytał żartobliwie.

- Moje i moich przyjaciół - odparł Frank z uśmiechem.

- Cudowny widok! Doprawdy to zachwycająca miejscowość.

- Poczekaj, zobaczysz jeszcze piękniejsze widoki. To jest dopiero wstęp do prawdziwych cudów, które ujrzysz w mojej posiadłości.

Zajęli miejsca w małej bryczce, na której złożono bagaż doktora Diehla, po czym konie ruszyły. Frank Rüdiger sam powoził.

Doktor Diehl rozglądał się z zachwytem wokoło. Oczy jego zabłyśły podziwem.

- O Boże, jakież świat jest piękny! - zawołał.

- Przestań, Henryku! Przekonasz się, że u mnie jest o wiele piękniej.

- Jestem przygotowany na wszystko i mam takie wrażenie, jakbym był uczniakiem, który przyjechał na wakacje. Czy ty zdajesz sobie sprawę, jaki jesteś szczęśliwy, że możesz codziennie napawać oczy pięknem przyrody?

- O tak, Henryku!

- To dobrze! Inaczej byłbym cię za karę posłał na dwa lata do stolicy. Nie masz pojęcia, jak tam jest teraz okropnie. A ja już dwa lata nie ruszałem się

stamtąd, trwonilem siły i nerwy. Teraz odświeżę się i odmłodzę na łonie boskiej przyrody. Jestem ci niezmiernie wdzięczny za to zaproszenie.

- To mnie cieszy, Henryku.

Doktor Diehl rozkoszował się jazdą w ten cudny dzień wiosenny.

- Mamy dopiero kwiecień, a ciepło jest jak w maju. Słońce tak mocno przygrzewa. Trudno sobie wyobrazić, że jeszcze przedwczoraj wychodziłem na ulicę w kaloszach. Tę pogodę zamówiłeś pewno specjalnie dla mnie, co, Franku?

- Ależ naturalnie, mój drogi!

- To nadzwyczajne! - żartował doktor Diehl.

Przyjaciele rozmawiali wesoło i z wielkim ożywieniem. Z doktorem Diehlem trudno było niekiedy prowadzić rozmowę w poważniejszym tonie; dziś był w wyjątkowo dobrym humorze, co wpływało na jego żartobliwe usposobienie. Wypytywał Franka o rozmaite rzeczy, a Frank chętnie udzielał mu żądanych wyjaśnień. O jednym tylko przyjaciele nie mówili, jakby istniało między nimi jakieś ciche porozumienie, a mianowicie jaki był istotny powód przyjazdu doktora Diehla. Podczas rozmowy nie padło ani razu imię Jutty von Tübingen. Frank Rüdiger był z tego bardzo zadowolony, gdyż na ten temat pragnął z przyjacielem porozmawiać w domu.

Gdy powozik stanął przed gankiem dworku, obaj panowie szybko zeskoczyli. Przed drzwiami stała pani Remblin w odświeżonej szarej sukni i białym fartuchu.

- Oto moja gospodyni - przedstawił Frank.

Henryk Diehl uśmiechnął się dobrodusznie i uścisnął rękę szafarki.

- Witam panią, szlachetna damo, rzekł z udanym patosem - będę się bardzo starał zaskarbić sobie łaski pani. Mój przyjaciel, pan i władca tego małego królestwa, opowiadał mi już cuda o pani kulinarnych talentach. Podobno przyrządza pani wyśmienitą szarlotkę? Myśląc o tym łykam ślinkę! Czy będę mógł skosztować choćby raz tę szarlotkę?

- Ile razy pan zechce - odparła, śmiejąc się, gospodyni.

- Cudownie! Już się cieszę na samą myśl o tym. A czy pani wie, jaka jest moja ulubiona potrawa?

- Nie, proszę pana.

- Naleśniki z konfiturami.

- Mogę je zrobić dla pana.

- Masz rację, Henryku, naleśniki należą bowiem do specjalności pani Remblin. Są mięciutkie, w miarę wypieczone i rozplývają się po prostu w ustach.

- Przestań, przestań, bo gotów jestem zostać poetą. Jeszcze chwila, a napiszę dwie ody, jedną do szarlotki, drugą do naleśników.

Śmiejąc się, przyjaciele weszli do domu.

Frank osobiście zaprowadził Henryka do jego pokoju. Z okien widać było białe szczyty gór. Doktor Diehl stał przez chwilę w milczeniu, rozkoszując się wspaniałą panoramą. Potem odwrócił się nagle i, bardzo wzruszony, uścisnął dłoń przyjaciela.

- Możesz przyjmować u siebie nawet monarchów - rzekł z powagą.

- Ależ, Heńku, nie przesadzaj.

Henryk opanował wzruszenie i powiedział znowu w zwykłym żartobliwym tonie:

- Naleśniki, szarlotka i ten boski widok na góry - nie, to za wiele jak dla zwykłego śmiertelnika.

Frank zaśmiał się na całe gardło.

- Pozostawię cię teraz z twoim nawalem uczuć. Przyjdź za kwadrans do jadalni, będę na ciebie czekał.

- Przyjdę z żołnierską punktualnością po obiecany fasunek. W chwilę później obaj przyjaciele siedzieli przy stole, delektując się doskonałym obiadem.

Podczas posiłku poruszali znowu rozmaite tematy, gawędzili z ogromnym ożywieniem o wszystkim, oprócz tej sprawy, na której najbardziej zależało Frankowi. Dopiero po obiedzie, kiedy przeszli do palarni na czarną kawę i papierosa, doktor Diehl zagadnął naraz z wielką powagą:

- A teraz pomówmy o tym, co nas najbardziej obchodzi. Co mi masz do powiedzenia?

Frank zapalił papierosa, wciągnął głęboko dym, wypuścił kilka błękitnych kółek, po czym rzekł:

- Postaram się być zwięzłym, Henryku. Moją najbliższą sąsiadką jest pani Jutta von Tübingen. Sprawa jest bardzo tajemnicza i chciałbym, żeby cię zajęła. Otóż mąż pani Jutty zmarł w zagadkowych okolicznościach, a ją posądzają, że go otruła. Oskarżono ją o morderstwo, lecz została wypuszczona z więzienia z braku dowodów. Cała okolica uważa ją za morderczynię, ja tylko wierzę w jej niewinność, ja i jeszcze jej młoda kuzynka. Głowę dam za to, że ta kobieta nie popełniła zbrodni. Pragnę gorąco, aby jej niewinność wyszła na jaw, co naturalnie może tylko stać się wtedy, gdy morderca zostanie wykryty.

Doktor Diehl siedział przez chwilę pogrążony w głębokiej zadumie.

- Czy jest młoda? - zapytał wreszcie.

- Ma najwyżej lat dwadzieścia kilka.

- Ładna?

- Tak, jest bardzo piękna.

- Czy kochasz ją?

Frank Rüdiger zamyślił się i milczał przez kilka minut.

- Na to pytanie nie umiem nawet sobie samemu dać odpowiedzi. W każdym razie jednak mam dla niej głębokie współczucie i pragnę jej pomóc.

- Współczucie jest początkiem miłości!

- Być może. Pomijając jej niezwykle powaby, uważam ją za kobietę o wysokiej wartości moralnej. Byłbym może twierdząco odpowiedział na twoje pytanie, gdyby nie mała skaza, która rzuca pewien cień na jej osobę...

- Co takiego?

- Fakt, że wyszła za męża za człowieka, który był o czterdzieści lat starszy od niej. Nie wyobrażam sobie, że było to małżeństwo z miłości. Gdyby się okazało, że uczyniła to z wyrachowania, czułbym się bardzo zawiedziony. Nie umiałbym jej tego wybaczyć, ani zrozumieć... Ta myśl męczy mnie ogromnie.

- Mogły ją do tego skłonić inne powody.

- Łamię sobie nad tym głowę. Powtarzam, ta myśl męczy mnie.

- Aha, więc jednak kochasz ją! Wiem teraz, jak bardzo zależy ci na tym, żeby oczyścić ją z okropnego podejrzenia, jakie ciąży na niej. Jestem gotów poświęcić całą moją wiedzę i doświadczenie, aby wyświecić tę sprawę. A teraz powiedz mi wszystko, co wiesz o tym wypadku.

Doktor Diehl zmienił się w mgnieniu oka. Na twarzy jego malował się wyraz wielkiej uwagi i skupienia, oczy spoglądały badawczo i przenikliwie; zacisnął mocno wargi, co nadawało mu wygląd stanowczy i energiczny. W tej chwili nikt nie mógłby powiedzieć, że doktor Diehl wygląda jak człowiek pospolity lub przeciętny.

Frank Rüdiger opowiedział przede wszystkim o swoim pierwszym spotkaniu w lesie, o scenie z wiejskimi dziećmi, o rozpaczach Jutty i jej ucieczce. Potem powtórzył wiernie wszystko, co mu opowiadał oberżysta z „Czerwonego Lwa”. Wiedział, że dla doktora Diehla każdy szczegół mógł mieć duże znaczenie, toteż nie przemilczał niczego. Przyznał się również, że pani von Tölz i Norbert zrobili na nim bardzo niesympatyczne wrażenie. Dodał, że Blandyna wierzy w niewinność Jutty i że Norbert Hall napiętnował młodą kobietę obelżywym mianem „trucicielki z pałacu”.

Gdy skończył, zwrócił się do przyjaciela:

- Co sądzisz o tej sprawie, Henryku?

Henryk nie odpowiadał. Siedział zatopiony w myślach, wpatrzony w przestrzeń; oczy jego zdawały się coś chwytać w próżni, szukać właściwego tropu. Potem nagle szybkim ruchem wyprostował się na fotelu.

- Więc pani von Tübingen swoim małżeństwem rozbiła wszelkie nadzieje tych krewnych na spadek?

- Tak!

- Naturalnie, że krewni są dla niej z tego powodu nieprzyjaźnie usposobieni?

- Tylko matka i syn. Blandyna jest jej przyjaciółką.

- Czy pani von Tübingen wie o tym?

- Tak, wie o tym dokładnie.

- Dlaczego więc pozwala tym ludziom mieszkać u siebie?

- Zapewne dlatego, że z jej przyczyny stracili spadek. Robi ona wrażenie osoby bardzo szlachetnej i nie chce, aby ci ludzie żyli w niedostatku, ponieważ jej dostał się cały majątek.

- Jest to rzeczywiście szlachetny rys charakteru, zwłaszcza, że czuje ona, jak wrogo są do niej usposobieni. Czy powiedziała jej, że powierzyłeś mi wyświelenie tej sprawy?

- Tak.

- Byłoby może lepiej, gdyby o tym nie wiedziała.

- Mój drogi, nie mogłem się przecież wtrącać do jej spraw, nie mając na to jej pozwolenia. Takich rzeczy nie robi się w tajemnicy.

- W takich razach chodzi o zachowanie najgłębszej tajemnicy przed całym światem. Nie można być dość ostrożnym. Chociaż, kto wie? Może i lepiej, że pani von Tübingen została poinformowana. Jak przyjęła tę wiadomość?

- Dziękowała mi ze łzami w oczach. Była wzruszona do głębi, gdym jej powiedział, że wierzę w jej niewinność.

- Więc na pewno nie była niemile zaskoczona?

- Przeciwnie!

- Czy wiesz, w jakich okolicznościach poślubiła swego męża?

- Bliższych szczegółów nie znam, wiem tylko to, co opowiadał mi oberżysta. Pan von Tübingen przyjechał tutaj ze swoją narzeczoną i pobrali się jeszcze tego samego dnia, zamiast nazajutrz, jak było poprzednio postanowione.

- Ach, prawda! A pan von Tübingen wyraził życzenie, aby krewni przedtem wyjechali. Zależało mu więc na tym, aby ich nie było na ślubie?

- Bardzo słusznie! Chciał, aby ślub był zupełnie cichy.

- A jaki był stosunek młodej kobiety do męża?

- Tego nie wiem, jestem jednak pewien, że ona sama udzieli ci chętnie wszelkich wyjaśnień.

- Hm, szkoda, że jej krewni będą przy tym obecni. Frank Rüdiger uśmiechnął się.

- Nie, Heniu, ja także jestem dyplomata. Przewidziałem tę okoliczność i dlatego umówiłem się z panią Juttą na jutro o godzinie czwartej.

- Ho! Ho! Umawiacie się już na schadzki?

- Nie tak jak sobie to wyobrażasz. Przypuszczałem, że zechcesz z nią porozmawiać swobodnie, dlatego ją o to prosiłem. Wie ona dobrze, dlaczego cię zaprosiłem, toteż chętnie przystała na moje życzenie. Nie należy ona do lekkomyślnych, płochych kobiet, które wyznaczają mężczyznom spotkania. Nie miałbym odwagi zwrócić się do niej z podobną prośbą.

- Nie gniewaj się, to tylko żarty. Jutro po południu wybadam ją szczegółowo.

- A jutro przed obiadem złożymy oficjalną wizytę w pałacu.

- Aha! Przy tej sposobności poznam tych miłych krewnych i postaram się ich także wysondować dokładnie.

- Wiedzą, że mamy przyjść więc na pewno będą w domu. Mam wrażenie, że matka i syn obawiają się bardzo, aby Jutta nie wyszła po raz drugi za męża. Czuwają nad nią argusowymi oczyma i niechętnie spoglądają na wszystkich kandydatów do stanu małżeńskiego.

- To zupełnie zrozumiałe. Gdyby wyszła za męża, musieliby się natychmiast usunąć z pałacu. Jest to z ich strony instynkt samozachowawczy. Nic dziwnego, że starają się z całej mocy przeszkodzić powtórnemu małżeństwu pani Jutty.

- Masz słuszość.

- No, zobaczymy. W każdym razie, zastaniemy całą rodzinę?. Będę tak miły, tak czarujący, że nie potrafią mi się oprzeć i nie wyrzucą mnie tak prędko za drzwi. Nie dziw się, gdy zauważysz, że krewnym będę okazywał wiele uprzejmości, a wobec niej zachowam się obojętnie, może nawet wrogo. Mam swoje powody.

- Nie będę się niczemu w ogóle dziwił. Wiem, że nie raz musisz chodzić krętymi drogami, aby osiągnąć cel.

- Doskonale! A teraz pogadajmy sobie o czymś innym, dość na dziś o tej sprawie.

Tak się też stało. Przyjaciele gawędzili jeszcze przez jakiś czas, opowiadając sobie nawzajem przeżycia ostatnich lat. Potem Henryk Diehl wyjechał z Frankiem w pole. Riidiger kazał mu osiodłać wierzchowca i

wyruszyli razem konno, przy czym doktor Diehl znowu prowadził rozmowę w zwykłym, żartobliwym tonie.

* * *

Nazajutrz przed południem obaj przyjaciele udali się do pałacu, gdzie rzeczywiście zastali zgromadzoną całą rodzinę. Niezwykła uprzejmość i wesołe usposobienie doktora zjednały mu nawet oschłą, wyniosłą panią von Tölz. Była nim oczarowana, zwłaszcza, kiedy spostrzegła, że okazuje wobec Jutty wyraźną antypatię, a zajmuje się natomiast Blandyna. Antypatia dla Jutty była tylko komedią, natomiast zainteresowanie, które okazywał Blandynie - było prawdziwe. Podobała się ona ogromnie Henrykowi, który doszedł do wniosku, że z tą młodą osobką można wcale „rozsądnie pogadać”. Zauważył przy tym, że w zachowaniu Blandyny było coś dziwnego. Doznawał wrażenia, iż musi ją gnębić jakiś ukryty niepokój lub smutek, że nurtuje ją ciężka troska. Ponieważ zawsze pociągały go zagadki, więc i zachowanie Blandyny dało mu dużo do myślenia. Pragnął poznać przyczynę jej smutku, dociec prawdy. Oczy jego spoczywały często z pytającym badawczym spojrzeniem na jej twarzy. Odkrył przy tym, że Blandyna ma ładną, uduchowioną twarzyczkę i piękne, błękitne oczy.

Jutta była z początku niemile zaskoczona zachowaniem doktora Diehla, który tak wyraźnie okazywał jej swoją nieprzychylność. Myślała, zmartwiona, że nie może chyba się spodziewać pomocy od tego człowieka. Frankowi udało się jednak zamienić z nią niepostrzeżenie kilka słów.

- Niech się pani nie dziwi postępowaniu mego przyjaciela. On tylko udaje - oznajmił szeptem.

Teraz Jutta pojęła, że Henryk ma w tym jakiś ukryty cel i zrobiło się jej znowu lżej na duszy.

Henryk Diehl podobał się coraz bardziej pani von Tölz, a gdy panowie się pożegnali nie miała dla niego dość słów pochwały. Norbert von Hall był również zdania, że doktor jest o wiele sympatyczniejszy od Franka Riidigera.

A Blandyna?

Po wyjściu gości była trochę niespokojna i roztargniona. Jutta zaprosiła przyjaciół na dzień następny na kolację oraz na obiad w niedzielę. Pani von Tölz tym razem nie sprzeciwiała się temu, a oczy Blandyny rozgorzały skrytą radością.

Gawędziła z Juttą o nowych znajomych, zdradzając przy tym, że zajął ją żywo „ten doktor, który ma takie wesołe oczy”.

Jutta tego dnia nie potrafiła jej słuchać w skupieniu i była zadowolona, gdy koło czwartej Blandyna odeszła. Mogła niepostrzeżenie wymknąć się na

spotkanie do lasu. Gdy doszła do umówionego miejsca, zastała tam już obu panów. Doktor Diehl odezwał się pierwszy:

- Przede wszystkim muszę panią przeprosić za moje niegrzeczne zachowanie. Uczyniłem to rozmyślnie, pragnąc się przekonać, kogo z najbliższego otoczenia pani rozgniewa moje postępowanie, a kogo ucieszy. Proszę z góry o rozgrzeszenie, gdyż przez pewien czas jeszcze będę okazywał pani wyraźną niechęć. Zależy mi na tym, aby krewni pani byli przekonani, że jestem pani wrogiem i że wierzę w jej winę. Pragnąłbym, aby pani odwzajemniała jawnie te nieprzyjazne uczucia.

Jutta odetchnęła z ulgą.

- To będzie dość trudna sprawa, panie doktorze. Dziś przed południem byłam zupełnie zwątpiona, bałam się po prostu pańskich oczu, które patrzyły na mnie z lodowatą pogardą. Teraz za to może pan obchodzić się ze mną jak najgorzej, przestałam się obawiać pana. Przez chwilę sądziłam: „Od tego człowieka nie mogę się spodziewać pomocy”, obecnie jednak w serce moje wstąpiła znowu nadzieja.

Doktor Diehl spoglądał z podziwem w jej piękne, smutne oblicze. Teraz dopiero rozumiał w zupełności Franka Rüdigera.

- Nie wiem, czy będę w stanie dopomóc pani, dołożę jednak wszelkich starań, aby osiągnąć pomyślne wyniki. Poproszę panią, aby pani zechciała odpowiedzieć mi szczegółowo na kilka pytań. Im dokładniejsze informacje otrzymam, tym łatwiej będzie mi wyświecić tę smutną sprawę. Czasami rzeczy na pozór najbłahsze mogą mieć olbrzymie znaczenie.

- Niechże pan pyta! Postaram się odpowiadać możliwie najdokładniej.

- Doskonale! Niech mi pani przede wszystkim opowie, jak doszło do zawarcia małżeństwa między panią i panem von Tübingen? Możemy zresztą przy tym spacerować po lesie. Gdybyśmy kogoś zobaczyli, będzie to wyglądało, jakbyśmy się przypadkiem spotkali. Chodźmy!

Jutta powtórzyła doktorowi to samo, co kilka dni temu opowiedziała Blandynie. Wyjaśniła dlaczego zawarła to małżeństwo i jak przyjechała do Untergriesbach.

Frank Rüdiger doznawał wrażenia, jakby ogromny ciężar spadł z jego serca. Ucieszył się niezmiernie, słysząc, że Jutta nie była żoną we właściwym tego słowa znaczeniu i że swego męża kochała jedynie jak ojca i przyjaciela.

Henryk Diehl uśmiechnął się porozumiewawczo i rzucił mu spojrzenie, którym zdawał się pytać:

- No i cóż? Czy ten punkt przestał cię niepokoić?

Frank Rüdiger rzeczywiście zupełnie odzyskał równowagę ducha. Miał uczucie, że może teraz dopiero odetchnąć swobodnie. Najłżejszy cień nie przesłaniał już pięknego, jasnego obrazu Jutty. Oczy Franka zawisły ze zbożnym zachwytem na słodkiej twarzyczce młodej kobiety.

Gdy skończyła swą opowieść, doktor Diehl zagadnął:

- Czy małżonek pani nie życzył sobie, aby jego krewni byli na ślubie?

- Nie, nie chciał tego.

- Czy pani wie, z jakiego powodu?

- Tak, bo mnie to bardzo zdziwiło i zapytałam o to mego męża. Powiedział mi, że nie lubi swych krewnych, a szczególnie Norbert wzbudza w nim głęboką odrazę.

- Dlaczego właśnie on?

- Powiedział mi, że Norbert jest karciarzem, a poza tym oddaje się jeszcze o wiele gorszym nałogom. Toteż gdyby mnie nie poznał, to zapisałby wszystko skarbowi państwa. Nie chciał, aby jego majątek został przegrany w karty. Mówił, że gdyby spadkobierczynią jego została pani von Tölz, to prędzej czy później wszystko przeszłoby w ręce Norberta. Wiedział, że ma ona do syna ogromną słabość i okazuje wielką pobłażliwość dla jego wad.

- Aha! Więc jest karciarzem, a przy tym ma jeszcze gorsze nałogi? Jakie, proszę pani? Czy nie wiadomo, co mąż pani miał na myśli?

- Nie chciał mi tego powiedzieć, twierdząc, że jestem za młoda, aby zaprzętać sobie głowę tak brudnymi sprawami.

Doktor Diehl zamyślił się głęboko. Widać było z wyrazu twarzy, z jakim napięciem pracuje w tej chwili jego mózg. Potem spytał ponownie:

- Czy krewni wiedzieli o tym, że w żadnym wypadku nie zostaną spadkobiercami, nawet i wtedy, gdyby pan von Tübingen nie ożenił się z panią?

- O, nie! Na pewno nie wiedzieli tego.

- A przecież mąż pani nie zostawił innego testamentu, w którym pomiął rodzinę.

- Owszem, sporządził i nawet pokazał mi go przed ślubem. Potem oczywiście zniszczył pierwszy testament, gdyż zrobił inny na moją korzyść.

- A krewni nic nie wiedzieli, że ślub odbył się o jeden dzień wcześniej?

- Na pewno nie, mam na to dowody. Gdy po nagłym zgonie mego męża przybyła z miasta pani von Tölz z dziećmi, którą telegraficznie zawiadomiono o wypadku, zachowywała się tak, jakby była panią domu. Do mnie mówiła „panienko”. Pani von Tölz i jej syn obchodzili się ze mną w ten sposób, jakbym była jakąś przybłądą lub awanturnicą. Dopiero, kiedy im w ostry

sposób zwróciłam uwagę, oznajmiając, że jestem panią von Tübingen pojęli, że nie mają prawa odgrywać roli spadkobierców.

- Jak przyjęli tę wiadomość?

- Bardzo dziwnie.

- Ale jak?

- Pani von Tölz wpiła się we mnie osłupiałym wzrokiem, krzycząc: „To pani go zamordowała podczas nocy poślubnej! Tylko pani mogła to zrobić! Nie pozwolę, aby pani objęła spadek!” Norbert von Hall zbladł śmiertelnie i osunął się jak martwy na posadzkę. Wiadomość ta ścięła go z nóg, był tak złamany, aż okropnie było patrzeć na to. Zapamiętałam dobrze tę chwilę, choć sama byłam tego dnia szalenie zdenerwowana, gdy spadł na mnie ten straszny cios. Nagły zgon mego najlepszego, szlachetnego przyjaciela dotknął mnie boleśnie, byłam wstrząśnięta do głębi. Przy tym wszyscy wokoło patrzyli na mnie z nieufnością, a pani von Tölz cisnęła mi w twarz to okropne oskarżenie. Służba, usłyszawszy jej słowa, rozbiegła się w popłochu, a w dwie godziny później zostałam zaarrestowana. Zresztą wszystkie poszlaki świadczyły na moją niekorzyść.

Doktor Diehl spojrzał jej badawczo w oczy.

- Jakie były najważniejsze punkty, które skierowały podejrzenie przeciw pani?

Jutta odgarnęła w zamyśleniu pasma włosów z czoła. Frank Rüdiger spojrzał zatroskany na młodą kobietę.

- Czy nie będzie to dla pani za wiele? - spytał ze współczuciem.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie, nie! Wytrzymam wszystko. Gotowa jestem wziąć każdy ciężar na swoje barki, aby tylko moja niewinność wyszła na jaw. Otóż, ja byłam ostatnią osobą, która rozmawiała z moim mężem; ja przyniosłam mu kieliszek z winem, w którym była trucizna; ja podałam mu wino, zanim wyszłam z sypialni.

Opowiedziała raz jeszcze dokładnie przebieg całego wieczoru. Kiedy wspomniała o tym, że usłyszała jakiś lekki szmer, gdy zbudziła się w fotelu ze snu, doktor Diehl zapytał:

- Jakiego rodzaju był ten szmer?

Opisała dokładnie wszystko, powtarzając to samo, co mówiła Blandynie. Potem dokończyła sprawozdania z owego wieczoru.

- Jakie powody na korzyść pani przytoczył obrońca?

- Usiłował dowieść, że mój mąż sam wsypał truciznę do wina, wtedy gdy ja spałam. Tylko w tym czasie było to możliwe. Twierdził, że mąż odebrał sobie

życie, gdyż od dawna cierpiał na serce. Choć zostałam na tej zasadzie uniewinniona, twierdzę stanowczo, że mój mąż nie popełnił samobójstwa. Był on człowiekiem o niepospolitym hartie ducha, a przy tym ogromnie religijnym; samobójstwo uważał za zbrodnię. Był również zbyt przezorny, aby się nie domyślić, że konsekwencje jego śmierci spadłyby na mnie. Z pewnością zostawiłby list. Nie uwierzę jednak nigdy, że odebrał sobie życie. Chciałam to nawet oświadczyć przed sądem, lecz mój adwokat powstrzymał mnie, abym tego nie robiła.

- Więc pani sądzi, że samobójstwo jest wykluczone?

- Zupełnie wykluczone! - odparła pewnym, stanowczym głosem.

- Jak długo spała pani w fotelu?

- Około godziny.

- Czy spała pani mocno?

- Bardzo mocno. Byłam tego dnia tak zmęczona, że już podczas czytania kleiły mi się powieki i siłą zmuszałam się, aby nie zasnąć.

- Dlaczego więc pani spała tak krótko?

- Nie wiem. Może mi było zimno, bo pamiętam, że gdy się obudziłam, czułam dreszcze. Dlatego też zamknęłam zaraz okno.

- Więc było otwarte?

- Tak! Dowiedziałam się później, że mój mąż stale sypiał przy otwartych oknach. Tej nocy jednak zamknęłam okno, przy czym ogarnęło mnie uczucie niewytłumaczonego lęku. Miałam wrażenie, że tam, za oknem czyha na mnie jakieś niebezpieczeństwo.

- Więc mąż pani miał zwyczaj sypiać przy otwartych oknach?

- Tak.

- Czy w domu wiedziano o tym?

- Wszyscy, oprócz mnie.

- Na którym piętrze znajduje się pokój męża?

- Na parterze. Wychodzi wprost na taras, jak zresztą wszystkie prawie pokoje w pałacu, położone na parterze.

W żrenicach doktora Diehla zamigotał nagle jakiś płomyk.

- Aha, na taras? Doskonale! Dokąd udała się pani po wyjściu z więzienia śledczego?

- Powróciłam tutaj, nie miałam przecież innego domu, mieszkanie mojej matki zlikwidowałam, przy tym coś mnie ciągnęło do pałacu. Miałam uczucie, że najlepiej schronić się z moją hańbą i rozpaczą w domu człowieka, od którego doznałam tylu dowodów dobroci, który pragnął mi ułatwić życie.

- Czy zastała pani tu krewnych męża?

- Tak! Pan von Hall przejął administrację majątku, jego matka prowadziła gospodarstwo i krzątała się, jakby była panią domu. Oboje byli pewni, że zostaną skazana, gdyż wierzyli niezłomie w moją winę, choć Norbert udawał przede mną, że tak nie jest.

- Jak przyjęli panią?

- Pani von Tölz z jawną nienawiścią i wzdargą. Nie starała się nawet ukryć, że uważa mnie za morderczynię. Pan Hall udawał w obłudny sposób, że mi wierzy, lecz oczerniał mnie za moimi plecami, przezywając stale trucicielką z pałacu. Teraz nazywają mnie tak wiejskie dzieci, co pan Rüdiger może poświadczyć.

- Tak - potwierdził z powagą Frank.

- Blandyna przyjęła mnie z pewną rezerwą, miałam wrażenie, że się mnie lęka. Myślałam, że i ona uważa mnie za winną, lecz nie śmie mi okazywać pogardy, ponieważ ona i jej najbliżsi znaleźli w moim domu bezpieczny przytułek. Nie chciałam bowiem rodziny męża pozbawiać dachu i chleba, więc pozwoliłam im pozostać. Pan Hall otrzymuje za swoją pracę wynagrodzenie. Jednym słowem, sądziłam, że i Blandyna mi nie ufa. Od pewnego czasu wiem jednak, że wierzy ona w moją niewinność. Rozmawiałyśmy na ten temat i odkryłam w mej kuzynce wielkie zalety serca i ducha. Zostałyśmy przyjaciółkami, przy czym dowiedziałam się, że jej stosunki z matką nie są zbyt serdeczne. Nie zgadza się ona także ze swoim przyrodnim bratem. Przekonałam się o tym tego dnia, kiedy zwierzyłam się Blandynie, że Norbert oświadczył się o moją rękę.

Obydwaj panowie drgnęli, ogromnie zaskoczeni.

- Jak to? Norbert Hall prosił panią o rękę? - spytał z oburzeniem Frank.

Pochyliła główkę.

- Tak, uczynił to, choć jestem przekonana, że człowiek ten raczej nienawidzi mnie, niż kocha...

- Jakaż to podłość! - wykrzyknął Frank Rudiger.

- Podobnie określiła to jego siostra - rzekła Jutta.

- Dlaczego panna Blandyna uważała, że jej brat postępuje podle, oświadczając się pani? - spytał doktor Diehl i zaraz dodał; - Wybacz pani, że pytam o takie szczegóły, ale wszystko może w tym wypadku mieć dla mnie znaczenie.

- Uważała, że postąpił podle, gdyż wiedziała równie dobrze jak ja, że Norbert pragnął mnie poślubić jedynie w tym celu, aby odzyskać stracony spadek.

- Czy pani odrzuciła jego prośbę?

- Tak!

- Czy podała mu pani powody tej odmowy?

- Tak, ponieważ mnie o to prosił. Powiedziałam, że uważam jego postępowanie za niegodne, gdyż nie powinien był oświadczać się kobiecie, w której winę wierzy. Oznajmiłam mu także, że nigdy nie wyjdę za mąż dopóki morderca nie zostanie wykryty.

- Czy poprzestał na tym wyjaśnieniu?

- Niezupełnie. Starał się jeszcze kilkakrotnie nakłonić mnie do małżeństwa. Wtedy powiedziałam, że wiem, iż to on napiętnował mnie przezwiskiem trucicielki.

- Co odpowiedział pani?

- Usiłował się wykręcić. A niedawno wygłosił zdanie, iż spodziewa się, że nigdy nie pożałuję tego kroku.

Doktor Diehl zamyślił się, po czym ciągnął dalej:

- Więc panna Blandyna nie zgadza się z matką ani z bratem?

- Biedne dziecko - odparła Jutta - boleje nad tym ogromnie i robi sobie wyrzuty, choć to z pewnością nie jej wina, że stosunki tak się ułożyły. Pani Tólz jest osobą niezmiernie oschłą, a jeżeli tli się w niej jakaś iskierka uczucia, to jedynie dla syna z pierwszego małżeństwa. Ma do niego wielką słabość. Dla Blandyny jest zimna i surowa. Córka wyczuwa to i nie może pojąć matki. Norbert jest dla siostry niedobry i opryskliwy. Blandyna widzi jego wady i cierpi z tego powodu. Niekiedy, gdy spogląda na brata, oczy jej przybierają dziwny wyraz. Wiem, że coś ją gnębi, lecz nie chcę pytać o to. Uskarża się ona, że ma w swym usposobieniu coś niezrównoważonego, że nie potrafi się swobodnie zachowywać. Jest wewnątrznie czymś skrupowana, a nie umie się przemóc. Występuje to najbardziej w stosunku do brata. Blandyna unika go, a gdy rozmawia z nim, to zwykle w bardzo ostrym tonie. W każdym razie, biedna dziewczyna nie jest szczęśliwa i dlatego może zgadzamy się tak dobrze ze sobą.

Podczas tego opowiadania, doktor Diehl robił sobie rozmaite notatki. Pomyślał przy tym, że musi zdobyć zaufanie panny Tólz, po pierwsze z wiadomych powodów, po wtóre zaś dlatego, że mu się bardzo podobała.

- No, dość panią namęczyłem - rzekł po chwili - na razie wiem wszystko, co powinienem wiedzieć. Mam jednak do pani kilka próśb, które pani musi spełnić.

- Zrobię wszystko, co będzie w mej mocy.

- Przede wszystkim więc muszę bezwarunkowo obejrzeć pokój, w którym umarł mąż pani. Oględziny te powinny odbyć się bez świadków. Nie

chciałbym, aby ktokolwiek oprócz nas wiedział coś w tej sprawie, choćby dlatego, aby się nikt nie domyślił w jakim charakterze przyjechałem tutaj. Czy to się da zrobić? Jutta zaczęła się namyślać. Nagle oczy jej zabłyśły.

- Doskonale się składa! Pani Tólz i jej syn wybierają się w przyszły wtorek do Monachium. Mają się tam spotkać ze znajomymi, którzy zatrzymują się przejazdem. Mają także załatwić rozmaite sprawunki.

- A panna Blandyna?

- Nie zdecydowała się jeszcze, czy pojedzie z matką, czy też zostanie ze mną.

- W takim razie powinna ją pani nakłonić, aby pojechała. Będę miał wtedy przynajmniej zupełną swobodę działania. Przyjdę we wtorek z moim przyjacielem pod pozorem, że pragnę złożyć pani wizytę. Potem wobec służby poproszę, żeby pani pozwoliła mi zwiedzić pałac. Pani mnie będzie oprowadzała, a przy sposobności wejdę także do sypialni zmarłego. Nikt mnie wtedy nie zobaczy.

- Dobrze, proszę pana, zrobię wszystko tak, jak pan sobie życzy.

- Najważniejsze, aby pani nakłoniła Blandynę do wyjazdu.

- Poproszę, żeby mi załatwiła kilka sprawunków i powiem, że nie chcę fatygować jej matki.

- Dobrze! A teraz jeszcze jedno: czy w pokoju męża pani wszystko pozostało na miejscu? Czy nie zmieniono tam nic od owej pamiętnej nocy?

- Wszystko zostało, jak było, tylko zrobiono porządek. Doktor Diehl zaśmiał się trochę gniewnie.

- Och, to zamiłowanie do porządku, które wypłatało mi już niejednego figla. Miejmy nadzieję, że, służba niezbyt gruntownie sprzątała. Czy przynajmniej nie przesuwano mebli?

- Nie, nie pozwoliłam na to. Pragnęłam, aby pokój pozostał w pierwotnym stanie.

- To bardzo dobrze. Na dziś skończyłem moje badanie. Jedno tylko mogę pani już powiedzieć, a mianowicie, że podobnie jak mój przyjaciel mam głębokie przekonanie, że pani jest niewinna.

- To bardzo wiele, panie doktorze.

- Dla mnie również ta pewność jest sprawą wielkiej wagi, gdyż nie mam już potrzeby błąkać się w mroku.

- Z czego pan wywnioskował, że jestem niewinna? Doktor Diehl uśmiechnął się.

- Posiadam na to dwa dowody. Przede wszystkim widzę, że zależy pani ogromnie na przeprowadzeniu badania. Gdyby była pani winna obawiałaby

się pani tego śledztwa. Po wtóre zaś oświadczyła pani stanowczo, że mąż nie popełnił samobójstwa. Gdyby go pani otruła, wtedy upierałaby się pani przy twierdzeniu przeciwnym, aby zrzucić z siebie podejrzenie.

- Mnie się zdaje, że te dowody nie mają znaczenia. Wystarczy spojrzeć na panią, aby uwierzyć w jej niewinność - wmieszał się Frank Rüdiger do rozmowy.

Jutta splonęła rumieńcem, a doktor Diehl uśmiechnął się.

- Tobie wystarczają dowody podyktowane przez uczucie, ja zaś muszę szukać konkretnych danych. Do widzenia pani! Przepraszam, że się tak długo naprzykrzałem.

Podawała mu szybko rękę.

- Czy ktoś naprzykrza się więźniowi, jeżeli stara się rozkuć jego pęta? - zapytała.

I przy tych słowach twarz jej okraślił tak uroczy uśmiech, że Frank spojrział na nią z zachwytem, zazdroszcząc przyjacielowi, do którego się uśmiechała.

Jutta spojrzała na zegarek w bransoletce.

- Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia, panie doktorze?

- Na razie żadnych.

- Wobec tego pójdę do domu. Zapewne czekają już na mnie z herbatą.

- Nie będziemy pani zatrzymywać. Ta długa nieobecność nie powinna zwrócić niczyjej uwagi.

- Jutro oczekuję panów na kolacji.

- Przyjdziemy punktualnie. I niech pani nie zapomina, że nie możemy się nawzajem znieść.

Jutta cichutko się zaśmiała. A chociaż w śmiechu tym dźwięczała jeszcze nuta smutku, wydawało się Frankowi, że słucha najpiękniejszej pieśni, która przenikała w głąb serca.

- Będzie mi bardzo trudno okazywać panu antypatię, drogi doktorze.

- Niech się pani postara. A gdyby coś w moim zachowaniu wydawało się pani niezrozumiałe lub dziwne, to niech się pani nie przejmuję, a przede wszystkim o nic nie pyta.

- Naturalnie, proszę pana. Zastosuję się zupełnie do pańskich wskazówek, gdyż ufam panu bez zastrzeżeń.

- Więc wyglądam na człowieka, który wzbudza zaufanie?

- Tak, proszę pana. Ufam panu, choćby dlatego, że pan jest przyjacielem pana Rudigera, od którego doznałam już tyle dobrego. Jestem przekonana, że wszystko, co pochodzi od niego, musi być dobre. A teraz żegnam panów. Do widzenia, jutro wieczorem!

Frank Riidiger podniósł jej dłoń do ust, a oczy jego zatoneły na chwilę w jej źrenicach, ukazując całą głębię uczucia. Zarumieniła się, skinęła mu głową, po czym spiesznie odeszła.

Frank Riidiger nie spuszczał z niej wzroku. Doktor Diehl, oparłszy się o drzewo czekał aż przyjaciel ocknie się z marzeń. Wreszcie Frank odwrócił się do niego.

- Cóż, powróciłeś już na ziemię? - zapytał doktor żartobliwie. Twarz Franka rozjaśnił uśmiech.

- Powiedz sam, czy Jutta nie jest czarującą kobietą? - spytał.

- Bez wątpienia.

- Jak można było ją posądzić o zbrodnię? Doktor Diehl wzruszył ramionami.

- Ja sam zadawałem sobie to pytanie. Ta kobieta ma oczy tak czyste, tak jasne, że można przez nie spojrzeć w głąb jej serca.

- A co myślisz o tej całej sprawie?

- Myślę wiele, lecz nie mogę ci zdradzić tajemnicy.

- Więc natrafiłeś już na jakiś ślad?

- Być może, nie zaręczam jednak, czy ślad jest właściwy, gdyż nie posiadam na razie konkretnych dowodów. Muszę najpierw poczynić obserwacje na miejscu przestępstwa. Niestety, po dwóch latach niejedno może już być zatarte. Gdybym się znalazł tam zaraz po dokonaniu morderstwa, miałbym więcej materiału. Czasami jednak można i po dłuższym czasie odkryć ważne rzeczy. Spodziewam się, że i tu tak będzie. Nie mogę ci nic powiedzieć, drogi Franku, gdyż, być może, iż znajduję się na fałszywym tropie. Jako detektyw-amator posiadam sporą dozę ambicji i przykro mi będzie przyznać się do pomyłki. Nie mówmy więcej na ten temat.

- Powiedz mi tylko, czy masz nadzieję dowieść niewinności pani Jutty?

- Przybyłem już tutaj z tą nadzieją. Czas pokaże, czy była uzasadniona. A teraz wracajmy do domu, sądzę, że nie masz nic przeciwko temu? Pani Remblin obiecała, że upiecze mi na podwieczorek wafle i kruche ciastka do herbaty. Nie mogę się doczekać chwili, żeby skosztować tych specjałów.

Ostatnie słowa doktor Diehl wypowiedział znowu w swoim zwykłym, żartobliwym tonie.

Doszli do miejsca, gdzie poprzednio przywiązali wierzchowce, wskoczyli obaj na koń i spiesznie odjechali.

Podczas powrotnej drogi doktor Diehl był w wyjątkowo dobrym humorze.

Nie przestawał żartować, sypał wciąż dowcipami. Frank Rüdiger znał zbyt dobrze przyjaciela, aby nie wywnioskować z jego zachowania, że sprawa nie

jest przegrana. Wiedział jednak, że nic z niego nie wydobędzie, toteż nie pytał o nic, starając się dostroić do jego wesołego tonu.

Przybyli do domu w znakomitych humorach. Pani Remblin nakryła mały stolik przy oknie w niszy jadalni. Stały tu już apetyczne kanapki i ciastka, a w czajniku gotowała się woda na herbatę.

- Żyjemy tutaj, jak w bajce! - zawołał doktor Diehl, uśmiechając się z zadowoleniem.

* * *

Blandyna oraz jej matka i brat siedzieli w pokoju, w którym zwykle cała rodzina spożywała podwieczorek. Był to niewielki pokój, położony obok dużej jadalni. Na kominku płonęły polana, gdyż po zachodzie słońca odczuwało się jeszcze o tej porze roku chłód i wilgoć.

- Gdzież jest Jutta? - spytała niecierpliwie pani Tölz.

- Zapewne nie powróciła jeszcze ze spaceru. Nie widziałam jej od obiadu.

- Dziwi mnie, że tym razem nie poszłaś za nią, jak jej wierny cień - rzekł sztydlerczy Norbert.

- Tak, Blandyno, chciałam ci już dawno zwrócić uwagę, że mi się wcale nie podoba ta zażyłość z Juttą. Nie rozstajecie się ani na chwilę. I czemu mówisz jej po imieniu i pozwalasz z jej strony na taką poufałość? - wmieszała się do rozmowy pani von Tölz.

Blandyna spokojnie spojrzała matce w oczy.

- Dlatego, mamó, że Jutta jest moją przyjaciółką. Pani Tölz uderzyła z oburzeniem w poręcz krzesła.

- Twoją przyjaciółką? Zbrodniarka ma być przyjaciółką mej córki?

- Wybacz, mamó, ale w takim razie nie powinniśmy korzystać z jej łaski. A przecież Jutta ciągle wyświadcza nam dobrodziejstwa. Jestem dumna z tej przyjaźni, gdyż uważam Juttę za istotę dobrą i szlachetną. Jestem przekonana, że jest niewinna.

Norbert wybuchnął chrapliwym, sztydlerczym śmiechem.

- Jesteś sprytna, Blandyno. Wmawiasz sobie, że wierzysz w jej niewinność, aby sobie zaskarbić jej względy. W ten sposób pozbywasz się wszelkich skrupułów.

Blandyna powstała z miejsca i zbliżyła się do brata.

- Jesteś człowiekiem, dla którego nie ma nic świętego, więc nie możesz zrozumieć moich pobudek. Trudno mi rozmawiać z mężczyzną, który patrzy spokojnie jak ludzie znęcają się nad bezbronną kobietą i sam dolewa oliwy do ognia. Nie mam zamiaru udzielać ci wyjaśnień, oświadczam ci jednak, że

trzymam stronę Jutty. I każdemu, kto zechce to słyszeć, powiem głośno i otwarcie, że Jutta jest niewinna.

- Nikt jednak nie da temu wiary. Jesteś szalona, Blandyno. I któż wobec tego popełnił morderstwo, jeśli nie ona? Kto miałby z tego jakieś korzyści?

Blandyna spojrzała ze smutkiem na brata.

- To wie tylko Bóg! Kara boska dosięgnie winnego, nastąpi to prędzej lub później - rzekła uroczyście.

Norbert zaśmiał się z przymusem.

- Jesteś i zostaniesz szalona!

- Nie jestem, niestety, szalona, myśli moje są dziwnie jasne.

- Przestańcie się już sprzeczać! Ta osoba naprawdę nie warta jest tego, żeby z jej powodu wciąż się spierać - rzekła niechętnie matka.

Blandyna chciała coś odpowiedzieć, w tej chwili jednak otworzyły się drzwi, a do pokoju weszła Jutta.

- Przepraszam, że się spóźniłam, zasiedziałam się w lesie - rzekła, wyciągając rękę do Blandyny.

- Byłam na pięknym spacerze, Blandyno. W lesie jest cudnie, choć jeszcze trochę za chłodno. Drzewa puszczają zielone pędy, pokrywają się młodym listowiem. Las wygląda jakby otulony zasłoną zieleni - opowiadała Jutta z ożywieniem.

- Zastałam twój pokój pusty, kiedy przyszedłam się spytać, czy weźmiesz mnie ze sobą - powiedziała Blandyna.

Policzki Jutty pokryły się lekkim rumieńcem.

- Zdawało mi się, że jesteś zajęta. Jeżeli chcesz, to możemy po podwieczorku pospacerować jeszcze godzinkę.

- Chętnie, jeżeli nie będziesz zbyt zmęczona.

O nie, dziś jest taki piękny dzień. Wkrótce będziemy już mogły robić wycieczki w góry.

Wszyscy zajęli miejsca przy stole. Rozmawiano o błahych sprawach. Miało się wrażenie, że w pokoju siedzą cztery obce osoby. Pani Tölz siedziała wyprostowana, kołysząc w palcach filiżankę z cienkiej chińskiej porcelany. Norbert szybko wypił herbatę, po czym wyszedł, tłumacząc się, że ma jeszcze kilka ważnych spraw do załatwienia. Blandyna usiłowała utrzymać w toku rozmowę z Juttą.

Zanim pani Tölz odeszła od stołu, zwróciła się do Jutty.

- Zaprosiła pani na jutro wieczór i w niedzielę naszych sąsiadów. Nie mieliśmy od dawna gości, pragnę więc wiedzieć, jak zamierza ich pani przyjąć. Wydam zaraz służbie wszelkie polecenia.

- O, ja sama wydam zaraz zarządzenia - rzekła Jutta spokojnie.
- Co to ma znaczyć? - zapytała pani von Tölz zaskoczona.
- Znaczy to, że w przyszłości mam zamiar sama zarządzać domem. Nie mogę pani wciąż fatygować, obowiązki gospodyni dość długo spoczywały na barkach pani. Przez ostatnie dwa lata żyłam tak samotnie, że zaczęłam odczuwać lęk wobec ludzi. Oduczyłam się nawet wydawać rozkazy służbie. Pragnę jednak zmienić ten tryb życia, toteż postanowiłam odtąd sama zajmować się gospodarstwem.
- Pani von Tölz obrzuciła Juttę spojrzeniem, pełnym nienawiści. Była w tej chwili uderzająco podobna do swego syna.
- A ja? Cóż ja będę robiła?
- Powinna pani odpocząć i odpowiednio zmienić tryb życia.
- Więc pani pragnie mnie usunąć na bok? Nie zgodzę się na to. Jeszcze za życia mego kuzyna zarządzałam jego domem i mam wrażenie, że obowiązki te spełniałam bez zarzutu.
- Bezwarunkowo, nikt nie wątpi w to.
- Czemu więc pragnie pani wprowadzać teraz zmiany?
- Nie mam bynajmniej zamiaru obrażać pani. Powinna pani jednak zrozumieć, że pragnę wreszcie sama ująć ster rządów w moim domu. W swoim czasie, kiedy tu powróciłam zastałam panią wraz z dziećmi. Pani prowadziła gospodarstwo, Norbert objął bez porozumienia się ze mną administrację dóbr. Uważaliście państwo że tak być powinno. Byłam wtedy zbyt znużona, zbyt apatyczna, aby się temu przeciwstawić. Cieszyłam się niemal, że mnie ktoś zastępuje, że nie mam potrzeby troszczyć się o to. Potem przywykłam do tego stanu rzeczy, brakło mi energii, żeby wprowadzać jakiegokolwiek zmiany. Obecnie nabrałam sił i mogę panią zwolnić z tych trudów.
- Zapomina pani, że w ten sposób zarabiałam w pewnym stopniu na swe utrzymanie. W jakim charakterze mam odtąd przebywać w pałacu?
- W charakterze gościa - odrzekła spokojnie Jutta.
- Co? Mam być gościem w tym domu, gdzie powinnam była zostać panią? Zapomina pani o tym, że nikt nie posiada od pani mniejszych praw do przebywania tutaj.
- Mamo! - krzyknęła Blandyna, pragnąc przerwać tę rozmowę.
- Milcz! - rozkazała szorstkim tonem matka. Jutta położyła rękę na ramieniu Blandyny.
- Nie denerwuj się, Blandyno, pozwól, aby twoja matka wypowiedziała wszystko, co myśli.

- Nikt mi tego nie zabroni - przerwała pani von Tölz - pani wie najlepiej, że mam słusność. Mój biedny kuzyn nigdy nie zapisałby pani swego majątku, gdyby przeczuwał, że pani godzi na jego życie.

Jutta zbladła, lecz nie straciła spokoju. Gładziła uspokajająco rękę Blandyny, która drżała z oburzenia.

- Nie potrafię pani wyprowadzić z błędu, a jestem zbyt dumna, aby się bronić. Może któregoś dnia nastąpi cud i morderca mego męża zostanie wykryty. Wiem, że tylko w tym wypadku będę mogła przekonać panią o mojej niewinności.

- Słusznie, tylko w tym wypadku. To jednak nigdy nie nastąpi!

- Mamo, proszę cię, przestań już wreszcie. Nie obrażaj Jutty, ona jest niewinna.

Matka obrzuciła córkę surowym, wyniosłym spojrzeniem.

- Powiedziałam ci już raz, żebyś się nie wtrącała do naszej rozmowy. A więc, pani Jutto, czy pani rzeczywiście trwa w swoim zamiarze?

- Tak, proszę pani.

- Niech pani nie sądzi, że to łatwa sprawa. Służba nie będzie słuchała pani, tak jak mnie słucha.

Pani Tölz usiłowała nastraszyć Juttę, która pragnęła tylko zwolnić ją z ciężaru prowadzenia gospodarstwa. Teraz jednak obraźliwe słowa wywołały w młodej kobiecie upór. Wyprostowała się dumnie i powiedziała:

- Spodziewam się, że służba będzie mi okazywała należyty szacunek. Kto nie zechce mnie słuchać lub nie będzie wypełniał swoich obowiązków, zostanie zwolniony. Powiem im to wyraźnie. Zapomniałam zupełnie dotychczas podkreślić, kto jest naprawdę panią domu.

Być może, iż dawniej Jutta nie miałaby odwagi, aby wystąpić tak energicznie. Odkąd jednak wiedziała, że Blandyna, Frank i doktor Diehl wierzą w jej niewinność, nabrała otuchy i wiary w siebie. Pomyślała, że nie pozwoli, aby pani Tölz w dalszym ciągu ją tyranizowała.

Pani Tölz była najwyraźniej zbита z tropu. Bębniła nerwowo palcami po stole.

- Ach, tak! Wobec tego jestem tu zbyt uczynna?

Blandyna spojrzała błagalnie na Juttę, która się do niej uśmiechnęła, aby ją uspokoić:

- Nie jest pani zbyt uczynna, pani Herto. Powtarzam raz jeszcze, że będę panią uważała za gościa.

Twarz starej kobiety przybrała wyraz zaciętej nienawiści.

- Może nam pani jeszcze za to okazywać wdzięczność? - rzekła z ironią.

- Nie liczę na wdzięczność pani. Uważam, że powinnam zabezpieczyć pani byt, tak jakby to uczynił mój mąż.

Pani von Tölz podniosła się z miejsca i wyniośle spojrzała na Juttę.

- Ta wspaniałomyślność jest w istocie wzruszająca - wycodziła szyderczo, po czym pochyliła głowę w lekkim ukłonie i wyszła z pokoju.

Blandyna, mocno wzburzona, rzuciła się w objęcia Jutty.

- Jutto, kochana najdroższa Jutto, czemu pozwalasz się tak wyzyskiwać? Przebacz mej matce, ona sama nie wie co czyni.

- Uspokój się, Blandyno, ja się tym wcale tak bardzo nie przejmuję. Nie gniewam się na twoją matkę. Wydaje się jej, że ma słuszność i stosownie do tego postępuje ze mną.

- Jesteś niezwykle pobłażliwa. Jedynym wytłumaczeniem mej matki jest chyba to, że sądzi, iż ma rację. Ileż razy próbowałam ją przekonać. Nie mogę pojąć, że nie odczuwa ona dla ciebie wdzięczności. Wyświadczasz nam przecież tyle dobrego.

- Ty za to jesteś wdzięczna, droga Blandyno i tym naprawiasz jej winę. Ale nie mówmy już o tych nieprzyjemnych sprawach. Przystąpimy teraz do narady gospodarczej i omówimy, jak przyjąć naszych gości. Muszę godnie wystąpić, aby się nie narazić na śmiech twojej matki.

Blandyna w gorącym porywie uczucia ujęła rękę Jutty i przycisnęła do ust. Jutta gwałtownie wyrwała jej dłoń.

- Co robisz, Blandyno?

- Musiałam to zrobić, Jutto.

Młoda kobieta posadziła Blandynę obok siebie.

- Uspokój się kochanie! A teraz pomyślmy nad tym, jak przyjąć naszych gości. Chcę iść do kucharki z gotowym jadłospisem. Muszę potem zawiadomić całą służbę o zmianie, jaka nastąpiła. Nie chcę się okazywać słabą! Obawiam się trochę, lecz postaram się to ukryć przed innymi. Potrafię sobie pozyskać szacunek służby. Wróćmy jednak do sprawy kolacji. Od śmierci mego męża nie przyjmowaliśmy gości, chciałabym więc nadać naszemu przyjęciu uroczysty charakter. A doktor Diehl opowiadał dziś tak dowcipnie o talentach kulinarnych pani Remblin. Musimy się dobrze namyślić, moja droga...

- Jak ci się podobał doktor Diehl? - przerwała Blandyna, zarumieniona.

Jutta chciała już zacząć hymn pochwalny na cześć doktora Diehla, lecz przypomniała sobie w porę, że go „nie znosi”.

- Bo ja wiem? Tak sobie - odparła dyplomatycznie. - A tobie się podoba?

- Och, bardzo!

- No, to się doskonale składa, że się mnie podoba mniej - przekomarzała się Jutta.

Blandyna spojrzała z radosnym zdumieniem w filuternie uśmiechniętą twarz przyjaciółki:

- Bywasz ostatnio częściej w dobrym humorze, o, jak mnie to cieszy, Jutto!

- Czy jestem inna niż zazwyczaj? - spytała Jutta z lekkim zakłopotaniem.

- Chwała Bogu! A wiesz od kiedy się zmieniłaś?

- No?

- Od tego dnia, kiedy nas po raz pierwszy odwiedził pan Rüdiger.

Teraz Jutta z kolei mocno się zaczerwieniła.

- Ależ, Blandyno... Cóż to może mieć wspólnego? Stałam się weselsza i spokojniejsza od czasu, kiedy powiedziałaś mi, że wierzysz w moją niewinność.

- Czy to wywarło na tobie tak wielkie wrażenie?

- O, Blandyno, nie wyobrażasz sobie, jakie to okropne, gdy na wszystkich twarzach czyta się nieufność i wzgardę. Gdy spojrzałam w twoje oczy i wyczytałam w nich coś innego, doznałam wrażenia, że wszystko zmieni się na lepsze.

- Czy wiesz Jutto, że pan Rüdiger należy do ludzi, którzy ufają ci bez zastrzeżeń?

- Skąd wiesz o tym? - zagadnęła Jutta, rumieniając się znowu.

- Podchwyciłam jego spojrzenie, kiedy spoglądał na ciebie.

- Doprawdy?

- Na pewno! Wiesz co jest moim najgorętszym pragnieniem?

- Nie, nie wiem.

- Aby ci Frank Rüdiger dał wielkie zasłużone szczęście. Jutta ciężko westchnęła.

- Moja kochana Blandyno, nie mówmy więcej na ten temat. Dopóki będzie ciążył na mnie choćby cień podejrzenia, dopóty nie wolno mi kochać. Nie połączyłabym się z żadnym mężczyzną w takich warunkach. Póki morderca mego męża nie zostanie wykryty, nie wyjdę powtórnie za mąż.

Blandyna zamilkła. Wreszcie spytała po chwili namysłu:

- Czy nie wystarczyłoby ci Jutto, że cię ktoś kocha i wierzy w ciebie? Zwłaszcza, gdybyś i ty kochała tego człowieka...

Jutta zmarszczyła czoło, po czym gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie, to mi nie wystarczy. Gdybym kochała, to tym bardziej nie związałabym się z tym człowiekiem. Nie chciałabym, aby musiał się za mnie wstydzić, aby dzielił moją hańbę. Pragnęłabym, aby mógł z dumnie

podniesionym czołem kroczyć u mego boku! Przestańmy jednak mówić na ten temat.

Obie kobiety przystąpiły do ożywionej narady gospodarskiej. Gdy wreszcie wszystko zostało omówione, Jutta rzekła:

- Zejdę teraz do kuchni i wydam rozkazy kucharce. Jednocześnie każę zwołać całą służbę. Muszę oznajmić, że odtąd ja będę zarządzała domem. Potem pójdziemy jeszcze na godzinkę do lasu. Idź się przebrać, Blandyno, żebyś była gotowa.

Jutta wykonała natychmiast swoje postanowienie. Kazała zwołać całą służbę do przestronnej kuchni, położonej w suterenie, po czym oświadczyła, że w przyszłości jej polecenia i rozkazy będą miarodajne. Pani Tölz oddała w jej ręce ster gospodarstwa. Zastępowała ją, gdyż była cierpiąca i nie mogła sama zajmować się domem, teraz jednak czuje się dobrze i pragnie rządzić sama. Pani Tölz pozostanie w pałacu w charakterze gościa.

- Kto nie chce służyć u mnie i słuchać mych rozkazów, niech mi to natychmiast powie. Zwolnię każdego i wypłacę mu prawne wynagrodzenie. Od tych jednak, którzy pozostaną wymagam bezwzględnie posłuszeństwa i należytego szacunku.

W pierwszej chwili służba była bardzo zdziwiona. Dotychczas nikt nie liczył się z Juttą, wszyscy okazywali jej nieufność i wzgardę. Służące nazywały ją potajemnie trucicielką. Energiczna przemowa Jutty wywarła na zebranych wrażenie, nikt nie chciał stracić dobrego miejsca. Przy tym służba nie cierpiała pani Tölz i cieszyła się z jej porażki. Toteż nikt nie odszedł; cała służba zastosowała się do nowego porządku rzeczy.

* * *

Piękna, obszerna sala jadalna i przylegające do niej apartamenty w pałacu były rzęsiście oświetlone. Wszystkie pokoje miały wygląd odświeżony i uroczyście. Zanim goście przyjechali, Jutta raz jeszcze obeszyła cały pałac; zatrzymała się przez dłuższą chwilę w jadalni, obrzucając badawczym wzrokiem pięknie nakryty stół.

Po raz pierwszy cieszyła się majątkiem, który zostawił jej w spadku Malte von Tübingen. Dzisiejszego wieczoru złagodziła nieco zwykłą czerń sukni. Miękka, czarna szata z powiewnego przejrzystego jedwabiu miała maleńkie wycięcie przy szyi, ozdobione cenną, żółtawą koronką. Włosy zaczesowała gładko z czoła i zwinęła w gruby węzeł nad karkiem, którego klasyczne linie mogły służyć za model rzeźbiarzowi. Suknia otulała miękkimi zwojami jej młodzieńczą postać i spływała w fałdach aż do stóp. Jutta przypięła sobie bukietek fiołków, które wydawały odurzającą woń.

Fiołki te przyniosła jej Blandyna.

- Rwałałam je w lesie z myślą o tobie, Jutto. Pierwsze fiołki zerwane na wiosnę przynoszą szczęście tej osobie, dla której były zbierane. Zrywając każdy kwiatusek, zanosłam do nieba modlitwę o twoje szczęście. Spodziewam się, że będziesz jeszcze szczęśliwa... A dziś wieczorem przypnij te kwiaty do sukni...

I teraz fiołki zdobiły suknię Jutty, roznosząc wokoło słodką woń.

Wyglądała uroczo z lekko zaróżowionymi policzkami i ciemnymi oczyma, które lśniły radosnym blaskiem.

Gdy poprawiała jeszcze coś przy nakryciu stołu, zjawił się w pokoju Norbert. Był w smokingu i wyglądał bardzo elegancko. Jedyne co w nim raziło, to nienaturalna bladość, która nadawała jego twarzy wygląd zmęczony i chorowity, - oraz wyraz oczu, płonących dziwnym ogniem.

TOM DRUGI

Ujrawszy teraz Juttę w całej pełni jej młodzieńczej kraszy drgnął oszołomiony; nigdy nie wydawała mu się jeszcze tak piękna jak tego wieczoru.

- Dla kogo mają kwitnąć te piękne fiołki, które nosi pani na sercu? Po raz pierwszy widzę, że przystroiła się pani w kwiaty - rzekł ochryłym głosem.

- Kwiaty przypięłam do sukni, ponieważ prosiła mnie o to Blandyna. Ona to przyniosła mi z lasu pierwsze fiołki - odparła Jutta spokojnie.

- Ach, tak! Obawiałem się, że przypięła je pani na cześć jednego z naszych gości...

- Co znowu! Znam zbyt mało tych panów, aby ich w jakikolwiek sposób wyróżniać.

- A jednak dla tych gości postanowiła pani zmienić dotychczasowy cichy tryb życia!

- Uczyniłam to głównie przez wzgląd na Blandynę. Nie może ona prowadzić nadal tak samotnego życia.

- Dla Blandyny? Zrobiła to pani wyłącznie dla niej? Czyż pani nie zmęczyło również to odludne życie?

- Naturalnie, że tak. Jestem przecież młoda, choć przez pewien czas zapomniałam o tym.

- A młodość pani tęskni za mężczyzną, któremu pani mogłaby ofiarować miłość? - spytał Norbert drżącym głosem, niezdolny dłużej do panowania nad sobą.

Jutta wyprostowała się dumnie.

- Nie przyszło mi na myśl, żeby obdarzać kogokolwiek swoją miłością. Dopóki ciąży na mnie to straszne podejrzenie, nie mam prawa wyjść po raz drugi za mąż i nigdy nie uczyniłabym tego.

Podszedł do niej tak blisko, że cofnęła się o krok.

- Pani tego nie mówi na serio.

- Mówię to zupełnie poważnie.

- Czy dałaby pani na to słowo honoru?

- Jakież znaczenie może mieć słowo honoru, dane przez kobietę, którą uważa pan za trucicielkę? - spytała z goryczą.

Podniósł ręce błagalnym ruchem.

- To nieprawda, nieprawda... Jutto, proszę mi wierzyć... Nie wątpię w niewinność pani... Niech pani mi da słowo honoru... Dla mnie takie słowo ma ogromne znaczenie...

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze, dam je panu, aby położyć kres tej scenie. Nie wyjdę za mąż, zanim morderca mego męża nie zostanie wykryty.

Zbladł śmiertelnie z tłumionego wzruszenia, a oczy jego zapłonęły niesamowitym blaskiem.

- Trzymam panią za słowo, pani Jutto!

Odwróciła się w milczeniu i zaczęła układać kwiaty w jednej z żardinerek. W tej chwili weszła do pokoju pani von Tözl.

Skłoniła lekko głowę z miną obrażonej i zdetronizowanej królowej. Miała na sobie czarną koronkową suknię, w której wyglądała bardzo wytwornie. Norbert pocałował matkę w rękę.

- Gdzie jest Blandyna? - spytała pani Tözl.

- Jest jeszcze w moim pokoju. Może trzeba jej pomóc przy ubieraniu, pójdę do niej - odpowiedziała Jutta i wyszła szybko, rada, że udało się jej uciec od płonących spojrzeń Norberta.

Gdy matka i syn pozostali we dwoje, pani Tözl spytała prędko;

- Czyś widział? Nosi kołnierzyk z jasnych koronek i przypięła fiołki do sukni. A ze zwykłej sąsiedzkiej kolacji urządziła uroczyste przyjęcie... Jestem pewna, że ma poważne zamiary względem jednego z tych panów. Z doktorem Diehlem na pewno się jej nie uda... Ten prawie nie patrzy na nią i zachowuje się z ogromną rezerwą. Lecz ten pan Rüdiger wydaje mi się niebezpieczny...

- Możesz być spokojna mamó... Jutta dała mi przed chwilą słowo honoru, że nie wyjdzie za mąż, zanim morderca wuja nie zostanie wykryty.

- Czy doprawdy tak powiedziała?

- Tak!

- To byłoby naturalnie bardzo dobrze... Oczywiście nie starczy jej odwagi, aby oddać mężczyźnie swoją zbrodniczą rękę... Ale słowo honoru? Czyż słowo honoru tej występnej istoty może mieć jakiegokolwiek znaczenie?

- Cóż? W każdym razie związała się tą obietnicą... Zdaje się, że możemy być spokojni... Gdyby ją ten Riidiger interesował, to nie dawałaby mi słowa honoru...

- Tym lepiej! Blandyna miałyby wtedy więcej szans. Chciałabym, żeby dobrze wyszła za mąż, a mam wrażenie, że ci dwaj panowie są ludźmi zamożnymi... Od wczoraj obrzydł mi zupełnie pobyt w pałacu.. Wysadziła mnie z siodła, a cała służba słucha jej na słowo. Niestety, nie mam już nic do powiedzenia w tym domu... Co robić? Na razie musimy tu siedzieć...

- Słusznie, mamó! Gdyby można było coś poradzić, to już dawno uciekłbym stąd - krzyknął Norbert.

Matka spojrzała na niego z niepokojem.

- Norbercie, co się stało? Jesteś ostatnio taki zdenerwowany, masz tak nierówne usposobienie... Co ci dolega?

Obrzucił matkę niespokojnym wzrokiem.

- Powiem ci prawdę, a wówczas zrozumiesz wszystko... Aczkolwiek wyda się to może dziwnym i niezrozumiałym, ale... ale ja kocham Juttę!

- Norbercie!

- Tak, mamo, kocham ją! Namiętność do tej kobiety dręczy mnie, gnębi, pożera... A jednak nie potrafię jej przewyciężyć! Kocham Juttę!

Ostatnie słowa podobne były do jęku rozpaczony. Matka spojrzała na niego z przerażeniem.

- Wielki Boże! Jak możesz kochać kobietę, która ma na sumieniu tak straszną zbrodnię?

Zaśmiał się chrapliwie.

- Jak mogę? Tak, mnie samemu wydaje się to zagadką. Chciałem nienawidzić, lecz pokochałem ją... Przechodzę istne katusze... Teraz już znasz przyczynę mego nierównego usposobienia... Nie mam na to rady...

- Tylko Bóg może ci pomóc, Norbercie! - rzekła matka, zgnębiona.

- Pan Bóg ma na głowie wiele innych rzeczy, nie może zajmować się moją osobą - odparł Norbert ochryple. - Przestańmy jednak mówić o tym, bo Jutta i Blandyna już nadchodzą.

Pani Tölz opadła wyczerpana na krzesło. W tej chwili weszła Jutta, a z nią Blandyna. Młoda panna miała na sobie jasnoniebieską jedwabną sukienkę, w której wyglądała prześlicznie. Blandyna nie była wprawdzie tak piękna jak Jutta, lecz posiadała wiele swoistego wdzięku, który tego wieczoru promieniował szczególnie z jej całej postaci. Matka zmierzyła ją badawczym spojrzeniem i z zadowoleniem skinęła głową. Zapomniała nawet w tej chwili o wyznaniu Norberta, które wstrząsnęło nią do głębi.

Zależało jej ogromnie, żeby Blandyna znalazła bogatego konkurenta. Było jej wszystko jedno, czy córka poślubi Franka Rüdigera czy doktora Diehla. Przypuszczała, że jednemu z młodych ludzi Blandyna musi się spodobać; była przecież naprawdę ładną dziewczyną.

Pani von Tölz snuła już plany na przyszłość. Egoistka z natury, spodziewała się rozmaitych korzyści, wynikających z małżeństwa córki. Podeszła do niej i poprawiła jeszcze kilka szczegółów przy toalecie Blandyny. Wkrótce przed gankiem zaturkotał powóz, w którym przyjechali obaj przyjaciele.

Lokaj wprowadził ich do salonu. Frank Riidiger jak większość panów wyglądał w smokingu bardzo elegancko. Strój wieczorny uwydatniał jego wysmukłą, kształną postać o szerokich ramionach. Ogorzałą twarz rozświecały szare oczy o tkliwym, serdecznym wyrazie; tworzyły one dziwny kontrast z jego energicznymi ostrymi rysami.

Doktor Diehl także sprawiał wytworne wrażenie. Jego wesołe, roześmiane oczy spoczęły przelotnie na zebranych; nikt z obecnych nie pomyślał przez chwilę, że najmniejszy szczegół nie uszedł jego bacności. Spostrzegł natychmiast, że Norbert jest ogromnie wzburzony, lecz pragnie to ukryć. Zauważył również, jak pani Tözl rzuca zatroskane spojrzenia na syna.

Doktor Diehl powitał uprzejmie panią von Tözl i Blandynę, okazując wobec Jutty znowu ogromny chłód i rezerwę; młoda kobieta usiłowała odwzajemniać na pozór te uczucia.

Doktor Diehl prowadził do kolacji Blandynę, Frank Rüdiger skłonił się przed Juttą. Obie pary udały się do jadalni; za nimi podążyła pani von Tözl, wsparta na ramieniu Norberta.

Henryk Diehl postarał się, aby przy stole panował wesoły nastrój. Potrafił zabawić całe towarzystwo, nikt nie mógł mu się oprzeć. Blandyna była po prostu porwana jego dobrym humorem. Frank sekundował przyjacielowi, tym bardziej, że serce mu rosło gdy patrzył na Juttę. Nie mógł od niej oderwać wzroku, toteż nie zważał wcale na Norberta, który posyłał w jego stronę zazdrosne spojrzenia. Norbert jednak w duchu triumfował, wiedział bowiem, że Jutta dała mu słowo honoru i na pewno go dotrzyma. Ponieważ on sam nie mógł posiadać Jutty więc nie chciał, aby jej serce zdobył inny mężczyzna.

Norbert zmusił się także do wesołego tonu; nawet smutna twarzyczka Jutty rozjaśniła się podczas kolacji. Niekiedy zapomniała o swej roli i śmiała się z dowcipów doktora Diehla; w takich razach on okazywał jej jeszcze większą rezerwę, aby jej przypomnieć, jak powinna się zachowywać wobec niego. Blandyna zauważyła ze smutkiem, że Diehl i Jutta czują do siebie wzajemną antypatię, i było jej bardzo przykro z tego powodu.

Po kolacji podano w przyległym pokoju czarną kawę; Blandyna i Henryk odosobnili się od reszty towarzystwa i stanęli oboje przy otwartym oknie. Wówczas dziewczyna spytała półgłosem:

- Dlaczego pan właściwie nie lubi pani von Tübingen?
- Czy sądzi pani, że jej nie lubię? - spytał na pozór niewinnie.
- O tak, pan jej nie lubi! Wiem nawet dlaczego.

Oczy Henryka zabłysły. Dążył przez cały wieczór do tego, aby Blandyna zadała mu to pytanie. To było głównym powodem tego zachowania wobec Jutty.

- Czy pani naprawdę wie o tym?

- Tak! Przypuszcza pan, że się ją słusznie posądza o popełnienie tego strasznego czynu...

- Ależ, panno Blandyno!

- Nie, niech pan się nie wykręca! Przyszedł pan do pałacu jedynie dlatego, żeby sprawić przyjemność swemu przyjacielowi. Gdyby nie to, unikałby pan z pewnością naszego domu. Wszyscy wokół są przekonani, że Jutta jest winna. Ja tylko w to nie wierzę, ani też pan Rudiger.

- Jaka pani spostrzegawcza. Mój przyjaciel rzeczywiście gotów dać głowę za niewinność pani Jutty. Ja jednak jestem bardziej krytycznie usposobiony. Bez ognia nie ma dymu, jak powiada przysłowie.

Oczy Blandyny zabłysły żywo.

- Panie doktorze! Powiedział pan poprzednio, że pragnie pan, abyśmy zostali dobrymi przyjaciółmi...

- Jest to rzeczywiście moim najgorętszym pragnieniem.

- Może się ono tylko wtedy spełnić, jeżeli uwierzy pan w niewinność Jutty.

- Doprawdy, tylko wtedy? - spytał patrząc na nią badawczo.

- Tak, musi się pan do niej przekonać. Gdyby pan wiedział, jaka to dobra szlachetna istota, wówczas wstydziłby się pan swojej nieufności. Biedaczka tyle już wycierpiała z tego powodu. Proszę na nią spojrzeć. Czy tak wygląda zbrodniarka? Jestem pewna, że nie popełniła tego czynu!

- Lecz nie posiada pani dowodów na to?

- Niestety, nie. Choć właściwie nie trzeba tutaj dowodów. Muszę pana koniecznie nawrócić i zmusić, aby pan okazywał jej trochę względów.

Błagalne spojrzenie Blandyny wywołało w sercu doktora coś na kształt wzruszenia.

- Trudno, ponieważ zależy mi na przyjaźni pani, więc postaram się zmienić o niej zdanie. Pragnę bowiem gorąco, abyśmy zostali przyjaciółmi. Proszę mi jednak powiedzieć, czy pani podejrzewa kogoś innego o ten czyn, skoro twierdzi pani z całą pewnością, że to nie ona zabiła swego męża?

Zadając to pytanie, doktor Diehl spojrział badawczo na młodą dziewczynę, która pod jego wzrokiem zadrzała. Zbladła śmiertelnie i przymknęła oczy.

- Nie mam pojęcia, kto jest mordercą. Niech Bóg broni, abym się o tym dowiedziała...

- Widzę, że pani jest zimno. Zamknę okno - rzekł spokojnie doktor Diehl, po czym wprowadził swoje słowa w czyn. Zamykając okno, wyrzwał na taras, dostatecznie oświetlony blaskiem padającym z jadalni. Zauważył, że podłoga tarasu znajduje się zaledwie w odległości ćwierć metra od parapetu okiennego. Zrobił umyślnie niezręczny ruch, udając, że firanka przeszkadza mu przy zamykaniu okiennicy. Widział to Norbert, który podszedł do gościa, pragnąc mu pomóc.

Doktor zaczął ze śmiechem skarżyć się na swoją niezręczność, po czym zwrócił się do Norberta:

- O mało nie wypadłem z okna! Widzę jednak, że nie groziłoby mi żadne niebezpieczeństwo, bo potoczyłbym się wprost na taras. Zabawne są te okna! Można przez nie jednym susem wydostać się na taras. Zapewne budowniczy pierwotnie miał zamiar zrobić zamiast okien oszklone drzwi...

- Być może! - odparł Norbert.

- Czy wszystkie okna, wychodzące na taras są tak nisko umieszczone?

- Tak - potwierdził Norbert, bawiąc się nerwowo łańcuszkiem od zegarka.

Doktor Diehl zmierzył go badawczym spojrzeniem.

- Ten pan von Hall ma wyjątkowo nieprzyjemny wyraz oczu - pomyślał, po czym roześmiał się wesoło.

- Jak to dobrze, że państwo mieszkają na wsi! W mieście byłaby to nieoceniona sposobność dla włamywaczy. Złodzieje w mieście nie lękają się niczego, wdrapują się na najwyższe domy. Tutaj mieliby ogromną wygodę...

- Niech pan nie zapomina, że park jest otoczony wysokim ogrodzeniem.

Doktor Diehl parsknął śmiechem.

- Phi! Ja sam podejmuję się przeleźć przez ten płótek, a cóż dopiero złodzieje.

- Niech pan mnie nie straszy - rzekła Blandyna, mieszając się znowu do rozmowy.

- Przecież nie jesteśmy w stolicy, a tu nie ma włamywaczy, ani tym podobnych typków. Znajdujemy się na wsi, wśród gór, nic nam tutaj nie grozi.

- Czy pan jest właściwie medykiem, panie doktorze? - zagadnął Norbert, pragnąc aby rozmowa przeszła na inne tory.

- Nie, jestem doktorem filozofii...

Podczas tej wymiany słów, doktor Diehl nie spuszczał wzroku nie tylko z Norberta, ale również i z Blandyny. Zauważył przy tym, że dziewczyna obserwowała brata z wyraźnym niepokojem.

- Czy przynieść pani szal? - zapytał.

- Dziękuję panu, możemy przecież zasiąść przy kominku, tam jest o wiele cieplej niż przy oknie.

- Prawda! Wiosna w górach jest dosyć chłodna. Jak to dobrze, że mamy jeszcze ogień na kominku - zauważył doktor Diehl.

Wszyscy usiedli przy kominku, gdzie przedtem zajęła miejsce Jutta wraz z Frankiem Riidigerem. Opowiedział jej mnóstwo ciekawych rzeczy ze swego pobytu na Borneo. Podczas tego opowiadania spoglądali sobie nawzajem głęboko w oczy. Norbert jednak przeszkadzał im, gdyż przysiadł się do nich i wstał dopiero, aby pomóc Diehlowi przy zamykaniu okna. Zaledwie odszedł, gdy miejsce jego zajęła natychmiast pani Tólz.

Teraz całe towarzystwo rozsiadło się wokoło kominka, a rozmowa stała się ogólna. Doktor Diehl znowu zaczął bawić wszystkich a nawet pani Tólz kilka razy serdecznie się roześmiała.

Blandyna stwierdziła z radością, że doktor zwraca się teraz do Jutty w znacznie grzeczniejszym tonie. Sympatyczny, wesoły Henryk bardzo podobał jej się. Zdawało się jej, że wniósł odrobinę słońca i ciepła w jej smutne monotonne życie, toteż pragnęła aby trochę tego ciepła spłynęło także na przyjaciółkę. Była przekonana, że zachowanie doktora musiało dotknąć do żywego delikatną, subtelną Juttę.

Teraz jednak doktor zmienił swoje postępowanie i starał się naprawić swój błąd. Zapewne jej słowa zrobiły na nim wrażenie. Cieszyła się z tego, po pierwsze przez wzgląd na Juttę, po wtóre zaś dlatego, że doktor Diehl przywiązuje wagę do jej zdania. Znaczyło to, iż zależy mu naprawdę na jej przyjaźni.

Gdy nadarzyła się jej potem sposobność do kilku chwil swobodnej pogawędki z doktorem Diehlem, odezwała się doń serdecznie:

- Cieszę się ogromnie, że zmienił pan swoje zachowanie względem Jutty.

- Wiedziałem, jak wiele zależy pani na tym - odparł ciepło - a chciałbym spełniać wszystkie życzenia pani.

Zarumieniła się i spuściła oczy.

- Proszę mi wierzyć, że Jutta zasługuje na to. Jest wyjątkowo dobrą, wspaniałomyślną istotą, która nie potrafi nikomu wyrządzić krzywdy.

- A pani jej tak gorąco broni...

- Jestem przecież jej przyjaciółką!

- Widzę, że ma pani wysokie pojęcie o przyjaźni. Przemawia to na korzyść pani Jutty, lecz przede wszystkim świadczy dobrze o pani samej.

- Moja przyjaźń, to najmniejsza rzecz, jaką mogę uczynić dla Jutty. Jesteśmy jej winni bardzo wiele...

- Przepraszam panią, mam jednak wrażenie, że tylko pani jest tego zdania. Matka pani i jej brat nie podzielają tego zapatrywania. Nie lubią pani Jutty, zdaje się, że są do niej nawet wrogo usposobieni.

Blandyna westchnęła, zatroskana.

- Niestety! Tak się ułożyły stosunki... Toteż ja poczuwam się tym bardziej do wdzięczności wobec niej i pragnęłabym jej dać jak najwięcej dowodów przywiązania.

- Przecież pani każdym słowem składa jej te dowody. Mnie pani zupełnie nawróciła.

Oczy Blandyny zabłyśły żywą radością.

- Ach, jakże się cieszę! Gdy pan lepiej pozna Juttę, wówczas będzie się pan wstydził swoich dawnych podejrzeń.

- Byłbym ogromnie rad, gdyż nie należę do ludzi, którzy się upierają, choć nie mają słuszności.

- Jestem tego pewna!

- Dziękuję pani za dobre mniemanie. Zależy mi bardzo na sędzie pani.

- Cóż panu może zależeć na sędzie tak niemądrej dziewczyny, jak ja?

- Nie uważam pani za niemądrą dziewczynę. Wydaje mi się pani tylko trochę przygnębiona, jakby skrepowana...

- Co pan ma na myśli? - spytała Blandyna trochę zmieszana.

- Mam takie uczucie, jakby panią przygniatał jakiś ciężar wewnętrzny, którego nie potrafi pan zrzucić, choć rada by się pani go pozbyła - rzekł powoli.

- Pan jest bardzo spostrzegawczy - odparła drżącym głosem - być może, iż pan się nie myli. Coś mnie rzeczywiście trapi, lecz nie umiem się z tego otrząsnąć.

- Ale dlaczego?

Z piersi dziewczyny uleciało ciężkie westchnienie.

- Bo sama nie wiem, na czym to polega... Nie wiem nawet, czy to nie jest po prostu urojenie...

Ujął jej rękę i zatopił w jej oczach przeciągłe, jakby nakazujące spojrzenie.

- Pragnę pomóc pani. Musi się pani pozbyć tego urojenia.

- Patrzyła na niego w milczeniu, w oczach jej pojawiło się jakby nieme pytanie.

Zarumieniona, rzekła:

- Dziękuję panu! Wydaje mi się pan bardzo dobrym, szlachetnym człowiekiem, któremu można ufać bez zastrzeżeń...

- Nie wiem czy jestem dobrym, a przynajmniej nie dla wszystkich... Panią jednak pragnąłbym otoczyć opieką i staraniem, otulić panią pieśzcotami jak ciepłym płaszczem... Przypomina mi pani małego, zbląkanego ptaszka, który wypadł z gniazda i łaknie ciepła...

Oczy jej rozwarły się szeroko. Miała wrażenie, że patrzy na jakąś cudowną, słoneczną krainę z bajki. Zadrżała na całym ciele. Chciała odpowiedzieć, lecz nie mogła wydobyć ani słowa. Potem gwałtownie odwróciła się od niego i szybko przyłączyła się do reszty towarzystwa. Usiadła zadumana obok Jutty i wlepiła rozmarzone oczy w rozżarzone węgle na kominku. Henryk Diehl z wolna podążył za Blandyną. Widział, że stara się odzyskać równowagę ducha i czuł, że w tej chwili potrzeba jej spokoju.

Usłyszał właśnie słowa Franka Riidigera, który zwracał się do Jutty.

- Czy posiada pani portret swego zmarłego męża?

To pytanie przyjaciela było mu bardzo na rękę. Wlepił wzrok w Norberta, który także słyszał je. Zauważył, że po twarzy Norberta przebiegł dziwny kurcz, gdy Jutta odpowiedziała:

- Posiadam doskonały portret mego męża, malowany na rok przed śmiercią przez pewnego znakomitego malarza. Uchwycił on świetnie podobieństwo. Obraz wisi w moim buduarze.

- Czy można zobaczyć ten portret? - spytał Frank. Jutta zawahała się, po czym odparła po chwili namysłu:

- Właśnie buduar ten należy do zamkniętych apartamentów, w których przyjmuję wyłącznie Blandynę. Ponieważ pan jednak pragnie zobaczyć portret mego męża, więc zaprowadzę panów do tego pokoju.

- Czy ja również będę mógł zobaczyć ten obraz? - spytał Henryk Diehl.

- Oczywiście, panie doktorze. Pójdziemy tam wszyscy - odparła.

Te ostatnie słowa Jutta wypowiedziała dlatego, że podchwyciła zgorszone spojrzenie pani Tözl, która zapewne uważała za niestosowne, iż Jutta ma zamiar pokazać gościom swoje apartamenty.

Wszyscy powstali, aby udać się za Juttą, która wzięła Blandynę pod rękę, po czym zaczęła prowadzić całe towarzystwo przez pałac. Minęli szereg pokoi i przedsionek, po czym podążyli do drugiego skrzydła pałacu, gdzie znajdowały się apartamenty zmarłego właściciela oraz Jutty.

Za Juttą i Blandyną postępowała pani von Tözl, wsparta na ramieniu Franka. Norbert wahał się i spoglądał niepewnym wzrokiem na doktora Diehla, który zapytał:

- Cóż, czy pan nie pójdzie z nami? Norbert opanował się żelaznym wysiłkiem woli.

- Ależ naturalnie, pójdę. Chętnie zobaczę znowu portret mojego wuja. Od czasu, gdy pani Jutta zawiesiła obraz w buduaru, nie widziałem go wcale.

Wszyscy weszli do małego, prześlicznie urządzonego pokoiku.

Jutta zapaliła światło, aby obecni mogli dobrze obejrzeć portret. Interesująca twarz starszego pana, okolona srebrnymi włosami odbijała się jasno na ciemnym tle obrazu. Portret był mistrzowsko zrobiony, zwłaszcza oczy, z których promieniowała niezwykła dobroć. Miało się wrażenie, że oczy te żyją. Jutta przystanęła obok Franka przed obrazem.

- Czy teraz pan pojmuję jak zacnego, dobrego przyjaciela straciłam? - spytała szeptem.

- Rozumiem, że musiała go pani kochać i szanować jak ojca - odparł, nie spuszczać oczu z portretu.

- Tak było w istocie - odparła Jutta.

Pani Tólz tymczasem bacznie obserwowała młodą kobietę. Widać było, że jest ona zdania, iż portret powinien wystąpić z ram i zmiażdżyć Juttę.

- Jakże ona śmie patrzeć w oczy swej ofiary - myślała - ta kobieta jest zimną, wyrafinowaną zbrodniarką.

Teraz Norbert i doktor Diehl stanęli na progu pokoju. Henryk rzucił przelotne spojrzenie na portret, po czym wlepił wzrok w twarz Norberta. Zauważył, iż Norbert wciąż jeszcze stał na progu; potem postąpił naprzód, zatoczył się, bliski omdlenia i oparł o drzwi. Twarz jego raptownie zbladła, oczy były przymknięte.

Doktor Diehl patrzył na niego jak urzeczony. Gdy Norbert podniósł powieki w oczach jego zamigotał niespokojny płomień.

Gdy wszyscy zabierali się do odejścia, Norbert pierwszy wysunął się z buduaru. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i, ocierał szybko pot z czoła.

- Czy panu gorąco? - zabrzmiał nagle głos doktora Diehla.

- Tak... W tym pokoju było dziwnie duszno... Przy tym ten zapach perfum w buduarze... Sam nie wiem, dlaczego się tak zgrzałem... - wykrztusił Norbert.

Doktor Diehl poprzestał na tym wyjaśnieniu. W buduarze unosił się subtelny zapach perfum, który nikogo nie raził oprócz Norberta.

- Trzeba przyznać, że portret pańskiego wuja jest arcydziełem swego rodzaju. Zwłaszcza wyraz oczu został świetnie uchwycony. Miałem wrażenie, że te oczy na nas patrzą.

Norbert ponownie otarł pot z czoła.

- Tak, tak... Te oczy żyją - potwierdził ochryple.

Gdy całe towarzystwo znalazło się znowu w saloniku obok jadalni, Norbert podszedł do stolika, nalał sobie kieliszek wina i wychylił go duszkiem. Widać było, że wstrząsają nim dreszcze.

- Widzę, że teraz jest panu znowu zimno? - zagadnął ze śmiechem doktor Diehl.

Norbert spojrział na niego na pół przytomnym wzrokiem.

- Nie, nie... Mam tylko ogromne pragnienie - odpowiedział.

Doktor Diehl podszedł teraz do Blandyny i wszczął z nią ożywioną rozmowę. Udało mu się wywołać u niej kilka razy wybuchy śmiechu, z czego się bardzo cieszył. Dźwięczny, srebrzysty śmiech Blandyny zachwycał Henryka.

Pani Tölz rada była, że doktor Diehl zajmuje się tak gorliwie jej córką i w duchu budowała zamki na lodzie. Podczas wieczoru rozmawiała wiele z Frankiem Rüdigerem i dowiedziała się, że Diehl jest człowiekiem zamożnym i niezależnym, który poświęca się badaniom naukowym i napisał kilka poważnych prac. Naturalnie, że Frank nie zdradził się, jakiego rodzaju badania prowadzi jego przyjaciel.

Przed północą obaj przyjaciele pożegnali się. Doktor Diehl przez dłuższą chwilę nie wypuszczał z uścisku rąk Blandyny.

- Jakże się cieszę, że w niedzielę zobaczymy się znowu, panno Blandyno - powiedział.

- Ja także się cieszę - szepnęła zarumieniona.

- Od dawna już nie bawiłam się tak dobrze jak dzisiaj. Zawdzięczam to wyłącznie panu.

- Spodziewam się, że w niedzielę będzie się pani także dobrze bawiła. Do widzenia pani!

Frank Rüdiger również ścisnął długo i gorąco rękę Jutty, dziękując jej za miłe przyjęcie. Oboje patrzyli sobie głęboko w oczy.

Gdy goście odjechali, pani Tölz i jej syn udali się do siebie. Jutta stała wciąż jeszcze na środku pokoju, zatopiona w myślach. Nagle podeszła do niej Blandyna, która przedtem wyglądała przez okno, śledząc wzrokiem odjeżdżający powóz.

- Prawda, że dzisiejszy wieczór był bardzo miły? - zapytała.

- Tak, Blandynko - odrzekła Jutta z uśmiechem - spędziłyśmy dziś kilka miłych godzin. Mamy to w znacznej mierze do zawdzięczenia doktorowi. Jest to bardzo sympatyczny człowiek, trzeba go tylko poznać bliżej.

Jutta mogła powiedzieć te słowa, gdyż podczas wieczoru doktor Diehl zdążył jej szepnąć:

- Osiągnąłem już cel, możemy się teraz nawzajem polubić. Blandyna ucieszyła się ogromnie.

- Jakżem rada, moja droga, że nabrałaś sympatii do doktora Diehla.

- Najważniejsze, że ty czujesz do niego sympatię. Mam wrażenie, że mu bardzo na tym zależy. Blandyna ukryła spłonioną twarz na ramieniu Jutty.

- Ach, kochanie, zdawało mi się dziś, że musi w naszym życiu nastąpić jakaś zmiana na lepsze. Tak, i w twoim życiu, Jutto. Frank Riidiger cię kocha.

- Nie mów o tym, nie chcę tego słyszeć. Nie wolno mi nawet myśleć o czymś podobnym.

- Czy jego uczucie nie budzi oddźwięku w twoim sercu, Jutto?

- Cicho, bądź cicho, Blandyno... Gdyby tak było, o Boże! Taka miłość przyniosłaby mi nowe pasmo cierpień... Nie chcę myśleć o tym, nie chcę, nie chcę!

- Blandyna westchnęła.

- Ach, Jutto, gdyby doktor Diehl choć raz spojrział na mnie w taki sposób, jak Frank Riidiger patrzy na ciebie... Jakżebym się czuła szczęśliwa!

Jutta uśmiechnęła się smętnie.

- To co innego, ty masz prawo do szczęścia. Między nim a tobą nie stoi żaden cień. Mnie nie wolno kochać... Nie wolno mi należeć do Franka... Chyba... chyba, że nastąpi jakiś cud...

- Musimy wierzyć, że ten cud nastąpi, musimy się modlić i prosić Boga, aby zdjął z naszych ramion to brzemie, które nas ugniata...

- Twoje słowa zabrzmiały tak, jakby i ciebie coś nękało, Blandyno?

- Blandyna zarumieniła się, spojrzała na przyjaciółkę, po czym nagle zbladła jak płótno.

- Dręczy mnie myśl, że cierpisz niewinnie i pragnęłabym, aby morderca został wreszcie wykryty. Wtedy pozbyłabym się tego uczucia dławiącego niepokoju, które mnie zawsze ogarnia, ilekroć myślę o tej sprawie...

- Ach, ja także gorąco tego pragnę, Blandyno. A teraz chodźmy już spać, jest bardzo późno. Dobranoc, kochanie!

- Śpij dobrze, Jutto.

I przyjaciółki się rozstały.

* * *

Doktor Diehl był bardzo zadowolony ze spostrzeżeń, które poczynił owego wieczoru. Gdy nazajutrz rano Frank zaproponował mu, aby z nim pojechał w pole, Henryk odpowiedział:

- Nie, dziś nie mogę ci towarzyszyć, mam ważniejsze sprawy. Pójdę na czaty do lasu.

- Czy masz zamiar czatować na panią Juttę?

- Tym razem nie. Pragnę spotkać przypadkiem pannę Blandynę.

Frank spojrzał pytająco na przyjaciela, który wybuchnął śmiechem.

- Zdaje się, Heniu, że jesteś zakochany.

- Nie przeczę, jestem nawet zakochany po uszy. Ta słodka, jasnowłosa Blandyna posiada wiele zalet, a przy tym odznacza się niepospolitym wdziękiem. Zresztą jest ona serdecznie przywiązana do pani Jutty. Błagała mnie, abym się przekonał do niej. Blandyna wierzy niezbitnie w jej niewinność.

- Niechaj będzie błogosławiona za to.

- Wie ona również, że ty wierzysz w niewinność pani Jutty.

- Skądże ona może o tym wiedzieć?

- O, mój drogi, kobiety są bardzo spostrzegawcze, zwłaszcza jeżeli chodzi o sprawy miłosne i wszystko, co jest z tym związane.

- Mniejsza o to! Więc chcesz się zobaczyć z Blandyną?

- Nie wiem, czy mi się to uda.

- Czy masz zamiar oświadczyć się jej już dzisiaj?

- O, nie, kochany Franku! Jest to zbyt poważna sprawa, aby się tak nagle zdecydować. Muszę ci jednak przyznać, że pragnę się ożenić. Sprzykrzyło mi się samotne życie. O ile ta sympatyczna Blandyna nie straci przy bliższym poznaniu, wtedy się z nią ożenię, o ile mnie zechce.

- A dlaczego chcesz się z nią dziś spotkać?

- Ma to pewien związek z moją misją. Nie pytaj o nic!

- Dobrze, mój drogi, pragnę ci tylko ułatwić to spotkanie, bo wiem gdzie i o której godzinie możesz spotkać Blandynę.

- Ależ to się świetnie składa! Mów prędzej!

- Słyszałem wczoraj przypadkiem, jak mówiła do Jutty, że dziś o jedenastej pójdzie do księdza proboszcza, aby mu odnieść pożyczone książki.

- Doskonale! A gdzie jest plebania?

- Trafisz tam z łatwością. Z daleka już zobaczysz mały domeczek przy kościele...

- Czy zdążę na czas? - spytał doktor Diehl, patrząc na zegarek.

- Pojedź konno.

- Koń będzie, mi przeszkadzał.

- To go zostaw w gospodzie „Pod Czerwonym Lwem”.

- Dobra myśl! Do widzenia, Franku, zobaczymy się na obiedzie.

Doktor Diehl przebrał się szybko, wskoczył na konia, którego mu przez ten czas osiodłano i szybko odjechał. Zostawiwszy wierzchowca w zajęździe,

podążył w kierunku kościoła. Za ledwie uszedł parę kroków, gdy ujrzał Blandynę, która niosła kilka książek. Z początku chciał podejść do niej, potem jednak namyślił się, zawrócił i stanął za kościołem, udając, że podziwia starożytną budowlę.

Nie czekał długo. Po kilku minutach Blandyna wyszła z plebanii, spostrzegła go i zarumieniła się mocno.

- Mam doprawdy szczęście - zawołał doktor, udając zdziwienie - podziwiałem właśnie ten prześliczny stary kościółek, a tu pani spadła mi nagle niby z nieba.

- Co pan tu robi o tej porze? - spytała Blandyna.

- Mój przyjaciel wspominał mi o pięknym wiejskim kościele, a ponieważ nudziłem się okropnie w domu, więc pojechałem konno na wieś, aby zobaczyć to чудо.

- Pan przyjechał konno?

- Tak, ale wierzchowca zostawiłem w zajeździe.

- Więc pan się nudził? Czemu pan Riidiger nie stara się lepiej zabawić swego gościa? - zapytała z filuternym uśmiechem.

- Pojechał w pole, a z panią Remblin mogę najwyżej pomówić o sprawach kulinarnych. Jest ona znakomitą kucharką, lecz trudno z nią poruszać inne tematy.

- Ach, jak mi pana żal! - zażartowała Blandyna.

- Prawda, że jestem biedny? Ale teraz Bóg zmiłował się nade mną i zesłał mi panią. Czy pozwoli się pani odprowadzić?

- Blandyna oblała się gorącym rumieńcem, a oczy jej zdradziły, że chętnie udzieli Henrykowi tego pozwolenia.

- Bardzo chętnie - odparła.

- Dokąd pani teraz idzie?

- Do domu. Wracam z plebanii.

- W takim razie odprowadzę panią do pałacu.

- Dobrze. Czy pójdziemy szosą, czy też lasem?

- Zdaje się, że droga przez las jest ładniejsza.

- To prawda, ale też znacznie dłuższa.

- Tym lepiej.

Poszli prosto przed siebie i zakręcili dopiero na prawo, koło gospody, aby stamtąd iść do lasu.

- Jak się pani czuje po wczorajszym wieczorze? - spytał doktor Diehl.

- Doskonale.

- A matka i pani Jutta?

- One również. Cieszę się, że pan nie czuje już antypatii do Jutty. Widziałam, że pan z nią bardzo uprzejmie rozmawiał.

- Chciałem sprawić pani przyjemność, a widziałem, że zależało pani na tym.

- O tak, ogromnie mi na tym zależało. Pragnęłabym przekonać cały świat, że Jutta jest niewinna.

Doktorowi było bardzo na rękę, że rozmowa zesłała na ten temat. Toteż powiedział z wielką serdecznością:

- Podziwiam panią! Ta przyjaźń jest wzruszająca, zwłaszcza, że pani von Tübingen w pewnym stopniu wyrządziła państwu krzywdę.

Gdyby nie ona, majątek jej męża przeszedłby z pewnością w ręce pani i jej najbliższych.

Blandyna gwałtownie potrząsnęła głową.

- Jest to zupełnie błędne mniemanie. Wuj Malte nigdy nie zapisałby nam swego majątku, nawet gdyby się nie ożenił. Jestem tego pewna.

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Moja matka i brat byli przekonani, że zostaną spadkobiercami wuja, ja jednak zawsze miałam wrażenie, że się mylą.

- Więc pani była innego zdania?

- Tak, bo wiedziałam jak wuj Malte zapatruje się na hulaszcze życie mego brata. Norbert namiętnie gra w karty, a wuj nigdy nie zapisałby swego majątku takiemu człowiekowi. Jutta potwierdziła moje przypuszczenia. Gdyby wuj Malte nie ożenił się z Juttą, cały jego majątek przeszedłby na skarb państwa.

- Czy pani wzięła mu to za złe?

- O nie! Wuj wyświadczał nam zawsze tyle dobrego, choć nas nie lubił. Zresztą miał zupełnie słuszne powody.

- Powody?

- Naturalnie! Ani matka, ani mój brat nie lubili wuja, choć okazywał im tyle dobroci. A ja nie miałam odwagi pokazać mu, że go lubię i szanuję, aby mnie nie posądził że pragnę od niego coś wyłudzić. Ale to pana nudzi...

- Wszystko, co się tyczy pani, żywo mnie zajmuje. Jestem dumny, że darzy mnie pani tak wielkim zaufaniem.

- Och, pan jest człowiekiem, któremu można w zupełności zaufać. Pan Riidiger także jest bardzo miły, ale z nim nie potrafiłam rozmawiać tak śmiało i otwarcie jak z panem. Jego się troszkę lękam...

Henryk zawstydział się wiedząc, że Blandyna przecenia go pod tym względem. Musiał jednak dla dobra sprawy pozyskać zaufanie Blandyny. Był

przekonany, że właśnie ona naprowadzi go na właściwy ślad i może mu mimo woli zdradzić niejedną ważną szczegół. Postanowił, że nigdy nie nadużyje zaufania młodej dziewczyny, lecz obecnie nie mógł już zboczyć z raz obranej drogi.

- Chciałbym zasłużyć na zaufanie pani. Proszę mi wierzyć, że postaram się nie sprawić jej zawodu.

- Jestem tego pewna - odparła Blandyna.

- Powtarzam raz jeszcze, że czuję się dumny z tego powodu. Ale wracając do naszej rozmowy, muszę pani zadać jedno pytanie. Czy nie uważa pani, że wuj postąpił okrutnie, pomijając państwa zupełnie w swoim testamencie? Przecież byliście jego najbliższymi krewnymi, mieszkaliście u niego...

- Wuj znał dobrze Juttę i wiedział, że zajmie się nami i nie pozwoli nam żyć w niedostatku. Mógł polegać na niej, bo Jutta zatrzymała nas u siebie i stale nam pomaga.

- Czy wuj nie robił tego samego?

- O, nie! Wuj znosił naszą obecność, lecz uważał nas za natrętów. Nigdy nas nie zapraszał. Wstydziłam się za każdym razem gdyśmy tu przyjeżdżali. Matka moja nadużywała jego dobroci, narzucała mu się po prostu. Zmuszały ją do tego złe warunki, jej drobne dochody nie wystarczały nam nigdy. Jesteśmy przecież bardzo ubodzy, a ja mam wrażenie, że bieda zabija wszelkie skrupuły. Spojrzał na nią z gorącym współczuciem.

- Nie zawsze! Pani pozostała, mimo wszystko, wyjątkowo subtelną istotą.

- Niestety - odparła z westchnieniem - wolałabym być inna, mniej wrażliwa. Zresztą, nie poznałam naprawdę nędzy, nigdy nie byłam głodna, miałam dach nad głową i wszystko czego mi było potrzeba. Co prawda, to od śmierci mego ojca jesteśmy wciąż na łasce ludzi. Najpierw pomagał nam wuj Małtę, teraz Jutta. A to tak przykro wciąż przyjmować dobrodziejstwa od innych.

- Pani się tym zanadto przejmuję. Czemu pani nie idzie za przykładem matki i brata?

- Nie potrafię tego i nie rozumiem moich najbliższych, którzy uważają, że wszystko co robi dla nas Jutta, jest rzeczą zupełnie zrozumiałą. Co do mnie, to czułam się najlepiej w naszym skromnym, trzypokojowym mieszkaniu.

- Państwo dawniej mieszkali w mieście?

- Tak, za życia mego ojca prowadziliśmy życie zupełnie dostatnie. Był on radcą ministerialnym i dobrze zarabiał. Nie mógł jednak nic zaoszczędzić, bo pomagał Norbertowi, który był oficerem.

- Brat pani jest z pierwszego małżeństwa matki, nieprawdaż?

- Tak, lecz pierwszy jej mąż pozostawił ją w bardzo złych warunkach, toteż ojciec musiał się zająć także i Norbertem. Ojciec mój umarł przed wojną. Norbert nie mógł po wojnie znaleźć zajęcia, więc utrzymywaliśmy się wszyscy ze szczupłej emerytury. Ja chciałam przyjąć posadę, lecz mama nie pozwoliła. Mówiła, że wszystko się zmieni, gdy odziedziczymy majątek po wuju. Nieraz perswadowałam jej, żeby tutaj tak często nie przyjeżdżać, ale mama odpowiadała mi stale: „Po co się krępować, przecież w przyszłości to wszystko będzie do nas należało. Mnie jednak było bardzo przykro. Od Jutty wszystko chętnie przyjmuję, gdyż jest ona niezwykle subtelna. Nie odczuwam nigdy, że wyświadcza mi łaskę. Dlatego też jestem jej tak wdzięczna za jej dobroć.

Doktor słuchał z wielką uwagą. Szlachetna prostota Blandyny wzruszyła go do głębi. Spojrzał na nią serdecznie i rzekł:

- Pani Jutta jest tak bogata, że może się podzielić z rodziną.
- Toteż jest dla nas bardzo dobra choć musi znosić wiele przykrości od mamy i Norberta. Mają jej bardzo za złe, że nie zostali spadkobiercami wuja.
- Tak, nie dziwię im się wcale; musieli być oburzeni, gdy się dowiedzieli, że pan von Tübingen ma zamiar się ożenić w tak podeszłym wieku.
- Ta wiadomość podziałała na nich druzgocąco.
- A na panią?
- Ja nigdy nie liczyłam na spadek, więc się tym nie przejęłam. Było mi tylko przykro, że mamusia tak się zmartwiła. Zresztą ta wiadomość przyszła tak nieoczekiwanie, więc nic dziwnego...
- Nieoczekiwanie?
- Oczywiście. Wuj napisał do nas z Nauheim, gdzie przebywał na kuracji. Podczas jego nieobecności zostaliśmy tutaj, zdaje się, wbrew jego woli. Toteż napisał dość szorstko, że się żeni i prosi, abyśmy odjechali. Żona jego jest w żałobie, pragną prowadzić cichy tryb życia. Oświadczył w tym liście, żebyśmy go nie odwiedzali, dopóki nas nie zaprosi. Do listu dołączył czek na dość znaczną sumę. Trzeba przyznać, że nie raz nadużywaliśmy jego gościnności, mimo to nie powinien był zwracać się do nas w tak ostrym tonie. Ja osobiście czułam się dotknięta, że nie zaprosił nas na ślub. Byliśmy przecież jego najbliższymi krewnymi.
- Matka pani była zapewne jeszcze bardziej obrażona?
- Och, trudno sobie wyobrazić. Nie była obrażona, lecz po prostu zdruzgotana. Mdląła co chwila, miała ataki spazmów. A Norbert? Lepiej nie mówić o tym. Spakowałam szybko nasze rzeczy, bo mama nie mogła tego zrobić. Była ciężko chora. Mimo to odjechaliśmy, bo wuj sobie tego życzył.

Dojechaliśmy jednak tylko do następnej stacji. Mama czuła się tak źle, że nie mogło być mowy o dalszej podróży. Wysiedliśmy więc na najbliższej stacji i zajechaliśmy do małego hoteliku, gdzie natychmiast ułożyłam mamę do łóżka. Cierpiała okropnie, tak, że czuwałam przy niej całą noc i co chwila zmieniałam jej okłady.

Przy ostatnich słowach Blandyny oczy doktora zmieniły nagle wyraz. Rysy jego twarzy wyrażały niezwykle napięcie i skupienie. Mimo to rzekł, jakby od niechcienia:

- Jak to dobrze, że pani nie była sama, lecz pod opieką brata, który pewno pomagał pani czuwać przy chorej.

- Norbert nie mógł się zajmować nami. Robił wrażenie człowieka nieprzytomnego, nie sposób było z nim rozmawiać. Owej nocy nie zmrużył oka, przeleżałam się go na dobre, gdym go nazajutrz zobaczyła. Wyglądał jak człowiek śmiertelnie chory. Wziął sobie tę sprawę ogromnie do serca.

- Nic dziwnego, dręczyła go przecież troska o byt. Na pewno nie kładł się wcale tej nocy.

Blandyna zdjęła kapelusz i zawiesiła go na wstążce przez ramię. Przesunęła ręką po czole, jakby pragnąc odgonić jakieś ciężkie myśli, po czym spojrzała bezradnie na doktora Diehla, którego twarz nie zdradzała najłżejszego niepokoju ani wzruszenia.

- Miałam to samo wrażenie, bo wyglądał bardzo źle. Nie wiedział wówczas, że wszystko ułoży się inaczej... W każdym razie była to okropna noc, a jeszcze gorszy był dzień, który nastąpił po niej.

- Wyobrażam sobie, ile pani przecierpiała.

- To prawda, a jednak muszę przyznać, że wyjeżdżając stąd, odczuwałam ogromną ulgę. Wiedziałam, że wuj Małtę nie lubi nas, więc przyjeżdżałam bardzo niechętnie. Cieszyłam się niemal, że teraz sytuacja jest zupełnie jasna. Powzięłam wtedy mocne postanowienie, że zacznę sama zarabiać na siebie. Przypuszczałam, że w obecnych warunkach mama zgodzi się na to. Stało się jednak inaczej...

- Więc państwo zostali w sąsiedniej wiosce, póki nie odbył się ślub?

- Sądziliśmy wówczas, że ślub odbędzie się dopiero nazajutrz. Nie wiedzieliśmy, że wuj przyspieszył ślub o jeden dzień. Powróciliśmy do domu, gdzie zastaliśmy już depeszę z wiadomością o śmierci wuja. Nie mieliśmy pojęcia, że się ożenił.

- Więc matka pani myślała zapewne, że jednak otrzyma spadek?

- Matka i Norbert strasznie się denerwowali. Miało się jednak wrażenie, że wiadomość o śmierci wuja przywróciła jej zdrowie. Łudziła się wciąż jeszcze

nadzieją. Norbert był ogromnie wzburzony, drżał czytając depeszę... Oboje robili plany na przyszłość, mówili jak się urządzą w pałacu... Było mi bardzo przykro, miałam wrażenie, że mam przed sobą obcych ludzi, a nie najbliższych krewnych. Bo chociaż wuj napisał do nas bardzo ostry list, to jednak za życia świadczył nam wiele dobrego. Oni zaś nie przejęli się wcale jego nagłym zgonem, tylko wciąż rozprawiali o spadku. Powiedziałam wtedy, żeby nie byli zbyt pewni siebie, bo przecież wuj mógł zapisać komu innemu majątek. Nie chcieli mnie słuchać i bardzo się rozgniewali. Przyjechali, ożywieni nadzieją, aby się od razu dowiedzieć, że Jutta była żoną wuja i jego spadkobierczynią.

- Było to dla nich nowe rozczarowanie - zauważył doktor Diehl.

- Mama przyjęła to dosyć spokojnie, ponieważ natychmiast rzuciła na Juttę podejrzenie. Za to Norbert był zupełnie złamany. Nie widziałam go jeszcze nigdy w takim stanie, obawiałam się po prostu, że straci zmysły. W pierwszej chwili wybuchnął obłąkańczym, dzikim śmiechem, potem upadł na podłogę. Mama wyładowała całą swoją nienawiść na osobie Jutty. Krzyknęła jej prosto w oczy, że zgładziła wuja ze świata, że nie ma prawa do spadku. Były to straszne chwile. Służba rozpierzchła się na wszystkie strony, a biedna Jutta siedziała, milcząc w fotelu i patrzyła osłupiałym wzrokiem przed siebie. Kiedy zjawiała się policja, aby ją zaaresztować, rzuciła mi rozdzierające spojrzenie. Wiedziałam od pierwszej chwili, że jest niewinna. Gdy ją wyprowadzano z pałacu do więzienia śledczego, szła dumna, z podniesioną głową. Pomyślałam wtedy: „Tak stąpają królowe, a nie zbrodniarki.” Było mi tak ciężko na sercu, jakbym ja sama popełniła zbrodnię. Być może iż dręczyła mnie myśl, że to moja matka rzuciła na nią to straszne podejrzenie... Dość na tym, że od owej chwili nie potrafiłam się pozbyć uczucia dziwnego lęku... Coś mnie trapiło i nękało, sama nie wiem co... Drżałam o Juttę, cierpiałam okrutnie, kiedy matka moja mówiła do brata: „Zostanie skazana, nie będzie mogła objąć spadku.” Cieszyłam się, kiedy powróciła z więzienia, choć powrót ten wypadł inaczej niż pragnęłam. Nikt nie wierzył w jej niewinność, biedaczka musiała znosić niejedno upokorzenie. Och, były to okropne dni, nie chciałabym ich przeżywać po raz drugi.

Przy ostatnich słowach głos Blandyny załamał się, piersią jej wstrząsnęło głuche łkanie. Doktor Diehl ujął rękę dziewczyny, a w oczach jego odmalowało się szczere współczucie.

- Biedna maleńka Blandynka - rzekł miękko. Spojrzała na niego, po czym ukryła twarz w dłoniach.

- Pan jest dla mnie za dobry, nie przywykłam do takiej dobroci - szepnęła.

Przycisnął wargi do jej dłoni. Pragnął jej powiedzieć, że pragnie odtąd czuć nad nią, otoczyć ją najtkliwszym staraniem. Nie wolno mu jednak było wyrzec tych słów, dopóki nie spełnił swego zadania. Obawiał się, że wykrycie prawdy stanie się dla Blandyny źródłem nowych cierpień, które podświadomie przeczuwała, których się bezwiednie lękała.

- Proszę, niech się pani uspokoi. Robię sobie wyrzuty, że poruszyłem z panią tak smutny temat. Ale to się stało mimo woli, mam wrażenie, że nie można tu wcale mówić o czymś innym.

Otarła szybko łzy, usiłując się uśmiechnąć.

- Nie ma pan za co przepraszać, ja sama przeszłam na ten temat. Ta rozmowa przyniosła mi ulgę. Słuchał pan tak cierpliwie, a ja zaczęłam beczeć. Wstydzę się doprawdy tej słabości, bo na ogół jestem dosyć dzielna i wytrzymała.

- Zauważyłem to. Zresztą kobieta może niekiedy być słaba, aby nie zatracać kobiecości. Jestem bardzo szczęśliwy, że pani obdarzyła mnie tak wielkim zaufaniem. Poznałem panią dokładnie, a jeżeli w przyszłości poznamy się jeszcze lepiej, wówczas zadam pani pewne pytanie. Od odpowiedzi będzie zależało szczęście mego życia, Blandyno! Czy będę mógł zwrócić się z tym pytaniem do pani? Zarumieniła się i, podając mu rękę, odparła:

- Odpowiem panu szczerze i uczciwie na każde pytanie.

- Dziękuję - szepnął, przyciskając znowu usta do jej dłoni.

- Jestem już blisko domu. Musimy się pożegnać.

- Nie żegnajmy się, to brzmi tak smutno, jakbyśmy się mieli rozstać na zawsze. Powiedzmy sobie raczej: Do widzenia!

- Do widzenia panu! - powiedziała z oczyma pełnymi łez. Przytrzymał jej rączkę w swej dłoni.

- Nie chcę, żeby te oczy płakały - rzekł z powagą.

- Postaram się opanować. Czy mam pozdrowić Juttę?

- Naturalnie. Proszę się także pokłonić mamie. Zobaczymy się w niedzielę.

Skinęła wdzięcznie główką, po czym podeszła szybko do małej furtki, za którą w swoim czasie Jutta zniknęła z oczu Franka Rudigera.

Doktor Diehl, zatopiony w myślach, powracał wolnym krokiem do wsi. Umysł jego pracował gorączkowo. Wciąż przybywało cegieł do gmachu, który budował, aby udowodnić niewinność Jutty. Widział już w oddali światło, migające wśród mroków tajemnicy, lecz ten błysk światła wcale nie sprawiał mu radości, czuł bowiem, że rozwiązanie zagadki przyniesie nowe smutki Blandynie; wiedział, że ów nieokreślony lęk, obawy, które ją dręczyły

i prześladowały nawet podczas snu, - były podświadomym przecuciem złego. Było mu żal dziewczyny i obiecywał sobie, że wynagrodzi jej wszystkie cierpienia bezgraniczną miłością. Tak, kochał Blandynę! Pokochał ją silnie, gorąco w tej chwili, gdy szczerze i otwarcie opowiadała mu o swym życiu. Czuł, że Blandyna, wyjawiając mu wszystko, działała pod wpływem jakiegoś nakazu wewnętrznego. Kochała go i pragnęła, aby poznał każdy szczegół z jej życia, jej stosunki rodzinne, jej radości i smutki. Nie chciała mieć przed nim tajemnic, dlatego też zwracała się do niego z takim zaufaniem. Gdyby przypuszczała, jak wiele mu zdradziła, nie byłaby może spowiadała się tak szczerze ze wszystkiego. Nie wiedziała kim był, nie wiedziała, że każdym słowem przyczyniała się w dużym stopniu do wyzwolenia Jutty. A jednak? Pragnęła przecież pomóc przyjaciółce, którą serdecznie kochała... Nękały ją złe, choć nieokreślone przecucia i chciała się ich pozbyć...

- Biedna, maleńka Blandynko! Biedna, odważna dziewczynko! Musisz przejść nad tym do porządku dziennego, musisz się uspokoić i odzyskać równowagę, zanim będziesz mogła na zawsze schronić się w moich objęciach - myślał doktor Diehl, ogarnięty współczuciem i wielką troską.

* * *

Pani von Tölz przyjęła w niedzielę doktora Diehla wyjątkowo serdecznie. Blandyna opowiedziała matce, że spotkała go we wsi i że odprowadził ją do domu.

- Mam wrażenie, że ten człowiek ma poważne zamiary, Blandyno. Nie bądź głupia i nie przepuszczaj tak dobrej okazji zamążpójścia - rzekła do córki.

Blandyna oblała się purpurą.

- Na miłość boską, mamó! Nie nazywaj tego „dobrą okazją”... Tu wchodzi w grę o wiele więcej...

- Jeżeli go kochasz, to tym lepiej. Miłość to zbytek, na który biedna dziewczyna nie może sobie pozwolić. Ja będę dziękowała Bogu, jeżeli wyjdiesz za mąż! Chciałabym zabezpieczyć przynajmniej ciebie... Może uda się i nam stąd odejść... Mnie się po prostu życie przykrzy od czasu, gdy Jutta odgrywa rolę pani domu.

Blandyna nic nie odpowiedziała matce. Wspomniała ona również przyjaciółce o spotkaniu z doktorem Diehlem i powtórzyła jej dokładnie treść rozmowy. Jutta wysłuchiwała z uwagą i współczuciem słów Blandyny, potem otoczyła ją czule ramieniem, mówiąc:

- Chciałabym, żebyś była szczęśliwa, Blandyno. Będzie mi wprawdzie bardzo smutno rozstawać się z tobą, lecz nie wolno mi być egoistką i myśleć wyłącznie o sobie.

* * *

W ostatnich dniach Jutta i Blandyna jeszcze bardziej przylgnęły do siebie; ich wzajemny stosunek stał się jeszcze serdeczniejszy, ponieważ obie w tym samym czasie poznały miłość. Jutta bowiem zdawała sobie jasno sprawę, że kocha Franka Rüdigera, choć uważała to uczucie za beznadziejne. Modliła się tylko gorąco, z całej duszy, aby Bóg dopomógł jej pozbyć się okropnego posądzenia, jakie na niej ciążyło. Dotychczas cierpiała okrutnie pod brzemieniem poszlak, które się przeciw niej zwróciły, nigdy jednak nie pragnęła tak namiętnie wyzwolenia jak teraz. Wiedziała, że obecnie chodzi nie tylko o jej spokój i szczęście, ale także i o szczęście Franka Rüdigera. Z biciem serca wspominała każde jego słowo, każde spojrzenie. Wiedziała i czuła, że Frank ją kocha. Toteż całą duszą chwytala się jedynej nadziei, że doktor Diehl wykryje mordercę jej męża.

Ona także w ostatnich czasach łamała sobie głowę, starając się dociec, kto zgładził ze świata jej męża. Nie wierzyła, że popełnił samobójstwo. On, który pragnął zabezpieczyć jej przyszłość, nie pozostawił by jej w położeniu bez wyjścia. Jako człowiek doświadczony, wiedziałby z pewnością, że podejrzenie padnie na nią. Byłby na pewno postarał się o to, żeby mogła spokojnie i bezpiecznie objąć po nim spadek. Jutta była o tym przekonana.

Kto jednak był mordercą?

Podczas śledztwa zadawano sobie pytanie: kto miał korzyści ze śmierci Maltego? Podejrzenie padło wyłącznie na nią. Jej, jako jedynej spadkobierczyni, musiało zależeć na tym. O żadnym ze służących nie mogło być mowy.

Komu jednak jeszcze mogło zależeć na śmierci jej męża?

A może był to akt zemsty? Takie pytanie zadał jej wówczas sędzia śledczy. Lecz Malte von Tübingen nie miał wrogów. Wszyscy wokoło kochali go i szanowali. Jedynie z krewnymi nie żył zbyt dobrze, lecz ich nie było wtedy w pałacu. Jutta na próżno zastanawiała się nad tym wszystkim, a serce jej znowu ogarnęło zwątpienie, obawiała się bowiem, że badania doktora Diehla mogą się

okazać daremne. Nie mogła się doczekać niedzieli, a niepokój jej pierzchł dopiero wtedy, gdy spojrzała w oczy Franka Rüdigera, w te oczy, które były gwiazdami przewodnimi jej życia. Podczas, gdy pani Tölz gawędziła z ożywieniem z doktorem, Frank spoglądał zatroskany na Juttę.

- Jest pani dziś tak blada, jak owego dnia, gdy po raz pierwszy ujrzałem panią. Ostatnio wyglądała pani o wiele lepiej.

- Czy nie może pan pojąć, co się ze mną dzieje w ostatnich czasach? Drzę z oczekiwania i z niepokoju.

- Rozumiem panią doskonale, trzeba jednak uzbroić się w cierpliwość. Aby się pani trochę uspokoiła, powiem pani coś na pociechę. Oto mój przyjaciel jest już na tropie zbrodni. Nie chce mi więcej powiedzieć, lecz jeżeli przyznaje się do tego, znaczy to, że nie stracił nadziei.

Jutta przymknęła oczy.

- Ojciec Niebieski! Ojciec Niebieski! - wyszeptaly jej drżące wargi.

- Proszę się uspokoić, na miłość boską! Obserwują nas - szepnęła, wzruszony.

Opanowała się i ciężko westchnęła, po czym rzekła z wymuszonym uśmiechem.

- Jestem już zupełnie spokojna! Dziękuję panu za ten promyk nadziei.

- Jutro po południu o godzinie czwartej, na zwykłym miejscu - zdążył jej powiedzieć półgłosem Frank.

Skinęła potakująco głową, nie mogła jednak odpowiedzieć, bo w tej chwili do obojga zbliżył się Norbert. Wkrótce potem wszyscy udali się do jadalni.

Jutta stwierdziła z radością, że doktor Diehl zajmuje się żywo Blandyna. Postarała się poprzednio o to, aby siedzieli obok siebie. Frank Riidiger zajął miejsce obok niej, a pani Tölz i jej syn siedzieli na przeciwległych końcach stołu.

Doktor Diehl znowu bawił całe towarzystwo. Poza tym gawędził ze swoją sąsiadką, obserwując jednocześnie Norberta i jego matkę. Spostrzegł natychmiast, że pani von Tölz ma zamiar zostać jego teściową, lecz w duchu mówił sobie ze śmiechem.

- Teściowa jest złem koniecznym, kto się żeni, musi być na to przygotowany.

Powziął niezłomne postanowienie, że Blandyna musi zostać jego żoną. Był on człowiekiem, który nie odstępował od raz powziętego zamiaru. Przede wszystkim jednak należało doprowadzić do końca rozpoczęte zadanie i wykryć zagadkowego mordercę. Doktor Diehl właściwie rozwiązał już zagadkę, brakowało mu tylko jeszcze niektórych dowodów, aby się całkowicie upewnić.

Obiad minął bardzo przyjemnie. Nawet Norbert był dziś spokojniejszy i weselszy niż zazwyczaj. Starał się najwidoczniej panować nad sobą, choć przechodził katusze, patrząc na Juttę i Franka Riidigera. Uczepił się słowa

honoru Jutty, jak ostatniej deski zbawienia. Powiedziała, że nie wyjdzie za mąż, dopóki morderca jej męża nie zostanie wykryty, a to przecież nie miało i nie mogło nigdy nastąpić, nigdy!!!

Nie wiedział, że przy stole siedzi człowiek, który dążył ze wszystkich sił, aby rozerwać ciemną zasłonę, która spowijała w mgłę tajemnicy śmierć Maltego von Tübingen.

Podczas rozmowy Frank wspomniał, że jeden z sąsiadów chce mu sprzedać wierzchowca.

- Przepyszne zwierzę, niestety ujeżdżone wyłącznie pod damskie siodło, więc dla mnie się nie nada. Pani powinna skorzystać z okazji i nabyć tego konia.

- Nie umiem, niestety, jeździć konno - rzekła.

- Niech się pani nauczy. Będę pani udzielał lekcji jazdy konnej. Właścicielka majątku ziemskiego powinna umieć jeździć konno.

Norbert, który nie spuszczał wzroku z Jutty, wmieszał się teraz do rozmowy.

- Przecież pani Jutta nie zarządza wcale swoją posiadłością.

- Ale w przyszłości może będzie chciała się tym zająć. Powinna się przynajmniej trochę orientować w tych sprawach. A poza tym nieco ruchu dobrze jej robi, bo ostatnio zbladła i zmizerniała.

Jutta odezwała się nagle po chwili namysłu.

- Niech pan kupi dla mnie tego konia. Chciałabym się bardzo nauczyć jeździć konno, więc skorzystam z łaskawej propozycji pana. Możemy już wkrótce zacząć te lekcje...

- Po co trudzić pana Rüdigera? Ja przecież mogę panią także uczyć - przerwał Norbert gwałtownie.

- Pan Riidiger pierwszy zaofiarował mi swoje usługi, on więc zostanie moim nauczycielem - zdecydowała Jutta, która pragnęła uniknąć wszelkich samotnych spotkań z Norbertem.

- Cieszę się z tego bardzo - powiedział Frank - jutro każę pani przyprowadzić wierzchowca. Możemy się potem umówić, kiedy rozpoczniemy naukę.

- Dobrze, pomyślę o tym - odparła Jutta.

- Mam jeszcze do państwa wielką prośbę - ciągnął Frank - chciałbym raz wszystkich przyjąć u siebie. Pragnę wyprawić małą uroczystość dla drogich sąsiadów. Czy pani byłaby łaskawa objąć protektorat nad tym przyjęciem? - zwrócił się do pani von Tölz. - Niestety, brak mi ogromnie pani domu...

Pani Tölz była temu bardzo rada, toteż przychylnie skinęła głową.

- Zajmę się tym z wielką przyjemnością. Kiedy zamierza pan nas zaprosić?
- Myślę, że w przyszłą niedzielę. W niedzielę wszyscy mają najwięcej czasu. Czy państwo się zgadzają?

Wszyscy chętnie przystali na to, a Henryk Diehl zawołał ze śmiechem:

- Ależ my nie przestajemy hulać. Bawię się tu lepiej niż w stolicy.
- Kiedy pan zamierza powrócić do Berlina? - spytała pani von Tölz.
- Czy pani pragnie się mnie jak najprędzej pozbyć? - spytał z udartym przestachem.

Wszyscy, nie wyłączając pani Tölz wybuchnęli śmiechem.

- Przeciwnie, panie doktorze - odpowiedziała - będzie nam pana ogromnie brakowało. Pytałam o to, gdyż pragnę, aby pan został z nami jak najdłużej.

Henryk Diehl wlepił wzrok w Blandynę, która z niepokojem patrzyła na niego.

- Nie wiem jeszcze, jak długo tu zabawię, bo mój przyjaciel zaprosił mnie na czas nieograniczony. Trudno mi się rozstać z naleśnikami i szarlotką, które pani Remblin przyrządza znakomicie. A poza tym zatrzymuje mnie jeszcze coś innego, coś nieskończenie ważniejszego...

- Więc są na świecie rzeczy ważniejsze od szarlotki i naleśników? - zażartowała Jutta.

- O tak, proszę pani! - odpowiedział, patrząc przeciągle w zarumienioną twarz Blandyny, która spuściła oczy.

Po obiedzie wszyscy przeszli do parku. Wiosenne słońce budziło do życia kwiaty na klombach, znajdujących się przed pałacem. Klomby te mieściły się pośrodku dużych trawników, podobnych do zielonego aksamitu. Trawniki były otoczone szerokimi ścieżkami, wysypanymi szarym żwirem. Drogi te prowadziły w głąb parku. Doktor Diehl dokazywał jak mały chłopak. Wbiegał na szerokie schody, wiodące na taras, wskakiwał na balustradę, wreszcie jednym susem zeskoczył z ganku do ogrodu.

Nikt nie domyślał się, że zachowuje się w ten sposób, aby dokładnie zbadać teren. Przypatrywał się bacznie fasadzie pałacu, poprosił Blandynę, aby mu pokazała okna swego pokoju, a wszystko to robił w sposób tak miły, dziecinny niemal, iż trudno go było podejrzewać o jakieś specjalne zamiary. Panowie odjechali dopiero o zmroku.

Gdy powóz z gośćmi odjechał, Norbert zbliżył się nagle do Jutty.

- Czy pani naprawdę zacznie te lekcje konnej jazdy? - zagadnął.
- Oczywiście, przecież słyszał pan, że umówiłam się już z panem Rüdigerem.

- Ależ to nie wypada, żeby obcy człowiek został nauczycielem pani!

- Wiem sama, co wypada! - odparła, odrzucając dumnie głowę.
- Przepraszam panią, wyraziłem się niezręcznie. Sądzę jednak, że jeżeli krewny może panią uczyć konnej jazdy, to nie wypada, aby pani pobierała lekcje u człowieka obcego.

- Pan Rüdiger jest naszym sąsiadem, więc nie widzę w tym nic złego.
Z oczu Norberta strzelił płomień.
- Niech pani nie robi tego, zaklinam panią!
- Dlaczego?
- Bo ja oszaleję z zazdrości o tego człowieka. Nie zniosę tego, nie chcę, aby inny mężczyzna zbliżał się do pani - wykrztusił głosem stłumionym z namiętności.

Z wyrazów tych biła taka szczerłość, że Jutta po raz pierwszy uwierzyła, iż Norbert pragnął ją poślubić nie tylko dlatego, aby odzyskać spadek. Jego nieokiełznana namiętność budziła w niej jednak głęboką odrazę. Cofnęła się o kilka kroków, mówiąc:

- Proszę się nie zapominać! Jestem pewna, że pan Riidiger potrafi się zachować bez zarzutu.

- Jutto, strzeż się, Jutto! Mam twoje słowo honoru! Nie wolno ci kochać tego pana Riidigera - zawołał cierpliwie.

Juttę ogarnął nagle dziwny lęk, lecz starała się go ukryć. Podniosła dumnie głowę i odparła spokojnie:

- Nie ma pan potrzeby przypominać mi o danej obietnicy. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że skończyły się te czasy, kiedy się biernie poddawałam opiece matki pańskiej oraz pana.

Wypowiedziawszy ostatnie wyrazy, Jutta skinęła głową i weszła do pałacu. Norbert śledził ją spojrzeniem pełnym namiętności, po czym z jękiem ukrył twarz w dłoniach.

- Nie wytrzymam tego dłużej, nie mogę, nie mogę... - zawołał. Chwiejąc się na nogach, wszedł na schody. Patrząc przed siebie osłupiałym wzrokiem, dotarł do swoich apartamentów. Nie zauważył nawet, że na korytarzu minął się z Blandyną. Dziewczyna spojrzała z przerażeniem na brata i przystanęła, niby urzeczona. Nie pojmowała czemu widok Norberta wywołał w niej dreszcz grozy.

* * *

Nazajutrz o umówionej godzinie Jutta udała się na zwykłe miejsce spotkania do lasu. Ku najwyższemu zdumieniu, zastała tam tylko Franka Riidigera.

- Gdzie doktor Diehl? Miał przecież przyjść razem z panem? - spytała z lekkim niepokojem w głosie.

Na twarzy Franka odmalowała się wielka radość.

- Coś ważnego zatrzymało go, proszę pani. Czy pani przykro, że będziemy przez chwilę sam na sam?

- Nie odpowiem panu na to pytanie - rzekła, rumieniąc się gwałtownie - sądzę jednak, że rozumie pan mój niepokój. Myślałam, że pan Diehl będzie miał dla mnie jakieś pomyślne nowiny.

- Polecił mi powiedzieć, że w sprawie pani wybrał się dziś na małą wycieczkę. Dzień dzisiejszy wydawał mu się najodpowiedniejszy do tego. Jutro zbada dokładnie pokój męża pani. Czy krewni pani wyjeżdżają jutro?

- Tak!

- A panna Blandyna?

- Ona także wyjeżdża.

- O której godzinie?

- Jutro przed obiadem. Zdaje się, że pociąg odchodzi około dziesiątej rano. Powrócą jednak tego samego wieczoru.

- To doskonale! Mój przyjaciel będzie miał dość czasu na przeprowadzenie poszukiwań.

- Czy doprawdy natrafił na właściwy trop?

- Henryk nigdy nie obiecuje zbyt wiele. Zdaje mi się, że wie on w tej sprawie więcej, niż chce powiedzieć. Wspomniał mi nawet bardzo niechętnie, że natrafił na jakiś ślad. Ja jednak chciałem pani powiedzieć coś na pociechę.

Podawała mu rękę.

- Nie wiem, jak podziękować panu za tyle dobroci!

- Czy to konieczne, aby pani dziękowała?

- Przecież pragnę panu dać jakieś dowody wdzięczności, to chyba zrozumiałe.

- Dobrze! Gdy wszystko się wyjaśni, zgłoszę się po nagrodę, lecz uprzedzam, że zażądam wiele, bardzo wiele...

Pod jego spojrzeniem oblała się purpurą. Zatonęli w sobie nawzajem wzrokiem, nie mówiąc ani słowa. Pierwsza ocknęła się Jutta.

- Nie chcę panu teraz zabierać więcej czasu - rzekła.

- Jestem zawsze na usługi pani! Aha! Jutro otrzyma pani swego wierzchowca, sprowadzą go przed południem.

- Dziękuję panu. Czy mam pieniądze wpłacić panu, czy też przekazać je sprzedawcy? !.

Wyrwał kartkę z notesu i nakreślił na niej ołówkiem kilka wierszy.

- Oto adres sprzedawcy. Zanotowałem również cenę konia. Może pani wprost przekazać pieniądze.

- Dobrze, proszę pana.

- A kiedy rozpoczniemy naukę jazdy konnej?

- Omówimy to na przyszłą niedzielę, podczas przyjęcia u pana.

- Pani ma rację. Zapomniałem, że nikt nie powinien wiedzieć o naszym spotkaniu. Czy pani ma już siodło, uprzęż i amazonkę?

- Blandyna ma to wszystko załatwić jutro w mieście. Wahał się jeszcze chwilę. Widoczne było, jak niechętnie rozstaje się z Juttą. Młoda kobieta podała mu rękę.

- Do widzenia! Proszę ode mnie pozdrowić doktora Diehla.

- Do widzenia! O której mamy się jutro stawić w pałacu?

- Kiedy panowie zechcą.

- Czy o dziesiątej nie będzie za wcześnie?

- Bynajmniej, ja wstaję wcześniej, więc mnie to nie krępuje.

- A co się stanie, jeżeli krewni pani dowiedzą się od służby, że byliśmy w pałacu?

- Na to nie ma rady.

- Powiemy, że chcieliśmy się poradzić w sprawie niedzielnego przyjęcia.

- Tak, to dobra myśl.

Frank wciąż jeszcze nie odchodził.

- Może trzeba będzie, żebyśmy się w ciągu tego tygodnia raz jeszcze spotkali. Kto wie, czy nie będziemy musieli omówić jeszcze jakichś szczegółów w wiadomej sprawie.

Jutta zarumieniła się. Wiedziała dobrze, iż Frank szuka pretekstu, aby się z nią zobaczyć, lecz sprzyjając mu całym sercem, nie odmówiła.

- Pan ma rację. Spotkamy się tutaj w czwartek o tej samej porze.

Oczy Franka zabłysły radością. Pocałował Juttę w rękę, mówiąc:

- A zatem w czwartek. Do widzenia pani!

Frank Riidiger pojechał do domu, lecz nie zastał tam Henryka. Powrócił on dopiero o zmroku. Frank, pełen niecierpliwości, wyszedł mu na spotkanie.

- Myślałem już, że nie wrócisz na kolację, Heniu.

Henryk Diehl roześmiał się, lecz mimo to Frank wyczuł, że przyjaciel jest trochę zdenerwowany.

- Byłbym niepokieszony, gdybym nie mógł powrócić w porę. Spóźniłem się trochę na pociąg, mój drogi.

- Przyjechałeś koleją?

- Tak. Pobiegłem do następnej stacji i czekałem na najbliższy pociąg, aby nim powrócić do domu.

- Ależ, Heńku! Dlaczego nie kazałeś zaprząć sobie koni do powozu? Taki kawał drogi pieszo... To nie miało sensu!

- Uczyniłem to umyślnie, kochany Franku. Chciałem się przekonać, jak długo trwa droga do następnej stacji, gdy się idzie per pedes apostolorum.

- Naturalnie, że nie wolno mi spytać, dlaczego chciałeś przekonać się o tym?

- Nie, nie, musisz się jeszcze uzbroić w cierpliwość. Nie potrwa to zresztą zbyt długo, gdyż sprawa zaczyna się wyjaśniać.

- Masz więc nadzieję, że wkrótce już nastąpi wyzwolenie pani Jutty?

Doktor Diehl skinął głową. Oczy jego jednak nie spoglądały tak wesoło, jak zazwyczaj.

- Tak, mój drogi, spodziewam się tego.

- Jesteś jakiś nieswój. Czy ci coś dolega?

- Mniejsza o to! Chodźmy do stołu.

Przy kolacji Henryk starał się odzyskać zwykłą werwę, lecz nie bardzo mu się udawało. Po skończonym posiłku, przyjaciele przeszli do gabinetu na papierosa.

Siedzieli w milczeniu, gdyż Frank nie chciał dręczyć przyjaciela zbyt wieloma pytaniami. Wreszcie Henryk wrzucił niedopałek papierosa do popielniczki, zerwał się z miejsca i uderzył przyjaciela po ramieniu:

- Jestem trochę roztargniony, nie gniewaj się na mnie. Człowiek musi niekiedy staczać ciężkie walki z samym sobą...

- Czy to ma coś wspólnego ze sprawą pani Jutty?

- Niezupełnie. Ma to raczej związek z Blandyną von Tölz. Pokochałem tę dziewczynę całym sercem i wiem, że będzie ona w przyszłości idealną towarzyszką na drodze życia. Jedno tylko mi przeszkadza...

- Wiem - przerwał Frank - twoja przyszła teściowa.

- E, z nią dam sobie radę. Ciemnym punktem w tej sprawie jest brat Blandyny. Jest on karciarzem, hulaką, a przy tym posiada jeszcze gorszy nałóg. Pan von Tübingen wspominał o tym swej żonie. Zdaje się, że wiem, co miał na myśli. Chwała Bogu, że jest tylko przyrodnim bratem Blandyny i że nosi inne nazwisko. Nie wyrzeknę się bowiem za nic w świecie mojej Blandyny.

- Sądzę, że chętnie rozstanie się z bratem. Ich stosunek nie jest zbyt serdeczny.

- Bogu dzięki! Ale teraz chodźmy już spać. Czyś widział panią Juttę?

- Tak. Umówiłem nas na godzinę dziesiątą.
- Doskonale! Dobranoc, Franku!
- Dobranoc, Henryku!

* * *

Nazajutrz koło dziesiątej obaj przyjaciele przyjechali konno do pałacu. Jutta natychmiast przyjęła ich.

- Czy krewni pani wyjechali? - spytał doktor Diehl.
- Tak, mamy zupełną swobodę działania. Służba jest zajęta na dole, tylko lokaj, który przyjął panów, znajduje się zapewne w holu.
- Możemy więc zaraz przystąpić do zwiedzania pałacu. Wobec lokaja zamienimy jeszcze kilka słów.

Jutta przeszła z panami do holu, gdzie rzeczywiście czekał służący.

- To bardzo uprzejmie ze strony pani, że pani osobiście chce nas oprowadzić po pałacu - rzekł głośno i wyraźnie Henryk Diehl.
- Uczynię to bardzo chętnie - odparła Jutta.
- Czy pani się nie zmęczy?
- O, nie! Fryderyku, proszę zejść na dół i powiedzieć, aby za godzinę podano nam w jadalni wino i przekąski. Sądzę, że przez godzinę obejrzymy cały pałac.

Służący natychmiast pobiegł do suteryny, rad, że przez godzinę będzie mógł odpoczywać. Jutta zaś zaprowadziła obu panów do apartamentów, które zajmował jej mąż. Sypialnia zmarłego była zamknięta na klucz, gdyż Jutta nie chciała, aby obcy profanowali ten pokój.

- Tutaj mój mąż spędził ostatnie chwile - rzekła, wprowadzając doktora Diehla.

- Wejść tu sam, a potem dopiero zawołam panią. Niech pani poczeka w przyległym gabinecie. Mój przyjaciel zostanie z panią, żeby się pani nie nudziło. Proszę czuwać nad tym, żeby mi nikt, pod żadnym pozorem nie przeszkodził.

Po tych słowach Henryk wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Było to dość duże pomieszczenie, w którym stały ciężkie, staroświeckie mahoniowe meble. Łóżko było duże i bardzo szerokie. Znajdowało się między oknami, wezglowie opierało się o ścianę. Po prawej stronie łóżka stał nocny stolik. Dochodził prawie do okna, wystawał nawet nieco ponad parapet.

Oczy doktora Diehla spoczęły przede wszystkim na tym nocnym stoliku. Podszedł szybko do zamkniętego i zasłoniętego firankami okna, rozsunął story i otworzył je.

Wyjrzał na taras. W tym pokoju okna były także nisko umieszczone. Doktor Diehl jednym krokiem wy dostał się na taras. Przystanął tutaj i zajrzał do pokoju. Zobaczył przy łóżku ciężki, wyściełany fotel. W tym fotelu zapewne zasnęła Jutta owej pamiętnej nocy. A co się stało podczas jej snu? Myśli doktora Diehla pracowały gorączkowo. Stojąc na tarasie, wyciągnął rękę i położył ją na marmurowym blacie stolika. Stwierdził, że można było bez wysiłku sięgnąć do płyty. Skinął w zamyśleniu głową, po czym przez taras wszedł znowu do pokoju. Tutaj poddał dokładnym oględzinom wszystkie sprzęty. Obejrzał ciężkie łóżko, pokryte jedwabną puchową kołdrą, wysokie szafy i umywalnię, nad którą wisiało wielkie lustro. W nogach łóżka stała otomana, a przed nią mały, okrągły stolik. Oprócz kilku krzeseł, nie było w tym pokoju więcej mebli. Nad łóżkiem wisiał wspaniały gobelin, przedstawiający Józefa i jego braci. Poza tym znajdowało się w pokoju na ścianach jeszcze kilka pięknych obrazów. Największy z nich, przedstawiający leśny krajobraz, był zawieszony w ten sposób, że można było go oglądać leżąc. Doktor Diehl wytrząsnął jeszcze firanki przy oknie, a nie znalazłszy nic godnego uwagi, położył się na podłodze i zajrzał pod łóżko. Po chwili zerwał się i podszedł do łóżka, pragnąc je odsunąć. Łóżko jednak było tak ciężkie, że udało mu się je przesunąć zaledwie o dziesięć centymetrów. Diehl znowu położył się na podłodze i zaczął się przyglądać miejscu, gdzie poprzednio stała noga łóżka. Leżała tu gruba warstwa kurzu i pajęczyny, widać było, że łóżko od wielu lat stało przy tej samej ścianie i że nikt go nie przesunął. Doktor Diehl nabrał pełne ręce zakurzonej pajęczyny i zaczął się jej badawczo przyglądać. Owoc tych badań nie zadowolił go jednak, podszedł więc znowu do łóżka i jął się przyglądać podłodze z drugiej strony. Tutaj również znajdowała się warstwa zapyłonej pajęczyny. Doktor Diehl schylił się i powtórzył doświadczenie. I oto poczuł nagle w ręku jakiś drobny, twardy przedmiot.

Oczyścił go szybko z kurzu i pajęczyny, po czym podszedł do okna. Przedmiot ten miał wielkość i kształt grubego, dużego ziarnka grochu. Kulka była z gładko szlifowanego kryształu, a wewnątrz wyłożona kunsztownie perłową masą. Na lśniącym tle odbijała się inkrustowana jaskółka, jaskółka z rozpostartymi skrzydłami. Płytki z perłowej masy były ułożone w ten sposób, że miało się wrażenie, iż dolna przedstawia morze, a górna niebo. Gładko oszlifowany kryształ powiększał doskonale całość, tak, że można było dokładnie widzieć jaskółkę, unoszącą się między morzem i niebem. Kulka ta należała zapewne do jakiegoś klejnotu. Doktor Diehl pokiwał znacząco głową, po czym owinał kulkę papierem i schował do kieszeni w kamizelce.

Potem przesunął łóżko na dawne miejsce. Po chwili wyszedł znowu przez okno na taras, położył rękę na nocnym stoliku, przy czym potrząsnął w ten sposób rękawem marynarki, że mankiet się wysunął. Widać było wyraźnie złotą spinkę w mankiecie. Doktor spojrzął na spinkę, potem opuścił oczy na posadzkę w pokoju. Wzrok jego zatrzymał się przy łóżku. Odetchnął głęboko, powrócił do pokoju i otworzył drzwi do gabinetu. Zastał tam Juttę i Franka, stojących przy oknie.

- Proszę, niech pani pozwoli za mną. Możesz także wejść z nami, Franku.

Oboje natychmiast podążyli do sypialni. W oczach obojga malowało się nieme zapytanie.

- Niech pani usiądzie w fotelu przy łóżku, tak jak pani siedziała owej nocy. Czy fotel stał na tym miejscu?

Jutta przesunęła ciężki mebel nieco dalej, tak, że znajdował się teraz bardziej pośrodku łóżka.

- Tak stał wtedy - rzekła.

- Proszę usiąść. Spełniła jego życzenie.

- Teraz niech pani mocno zamknie oczy i wolno liczy do dziesięciu. Potem niech je pani znowu otworzy.

Jutta uczyniła posłusznie, co jej kazano. A gdy po pewnym czasie otworzyła oczy, zauważyła, że doktora Diehla nie ma w pokoju. Zdumiona, zwróciła się do Franka:

- Gdzież się podział pan Diehl? - zapytała.

W tej samej chwili Henryk wszedł do pokoju przez okno.

- Byłem tylko na tarasie, gdyż chciałem z tego miejsca rzucić okiem na panią. Czy nie słyszała pani, jak wychodziłem?

- Nie.

Nie zważając na zdumienie w oczach Franka, spytał spokojnie:

- Czy nocny stolik stał wtedy, jak teraz?

- Tak.

- A gdzie znajdował się kieliszek z winem, który pani podała mężowi?

Jutta w milczeniu wskazała miejsce na marmurowej płycie stolika.

- Mniej więcej tutaj.

- Co jeszcze znajdowało się na nocnym stoliku?

- Na płycie nic więcej. Ale na dolnej półeczce stolika leżał zegarek mego męża.

Doktor Diehl skinął głową. Potem wyjął z kamizelki małą kryształową kulkę i, nie pokazując jej, rzekł do Juty.

- Niech pani znowu usiądzie i zamknie oczy. Niech pani tak siedzi, dopóki nie powiem pani, żeby je otworzyć.

Jutta usiadła i zamknęła oczy.

Henryk Diehl podszedł do okna i upuścił małą kulkę na posadzkę, trzymając rękę tuż przy marmurowej płycie stolika. Kulka upadła, potoczyła się po podłodze, aż wreszcie zatrzymała się pod łóżkiem.

Lekki szmer przestraszył Juttę. Niepomna wskazówek, otworzyła szeroko oczy i spojrzała z przerażeniem w twarz doktora Diehla.

- Jakie to dziwne! - szepnęła.

- Co było dziwne? - spytał z napięciem.

- Ten szmer. Co to był za szmer? - spytała, bardzo wzruszona.

- Co panią w tym uderzyło?

- To ten sam szmer, który usłyszałam owego wieczoru, gdy siedziałam przy łóżku mego męża. Słyszałam go wprawdzie na pół we śnie, lecz utkwił mi do tego stopnia w pamięci, iż miałam wrażenie, że go nigdy nie zapomnę.

- Musiała go pani pamiętać. Sprawił to Anioł Stróż pani, a może przeznaczenie, a może po prostu przypadek.

- Co to był za szmer? - spytała Jutta znowu.

Schylił się, sięgnął ręką i wydobył spod łóżka małą kulkę z kryształu. Położył ją na dłoni i zapytał:

- Ten drobny przedmiot potoczył się pod łóżko. Czy pani go zna?

Jutta spojrzała ze zdumieniem na kulkę.

- Nie, nigdy tego nie widziałam - odparła, nie pojmując o co chodzi.

- Bardzo ładna rzecz. Zwłaszcza ta inkrustowana jaskółka. Czy nie wie pani do czego to służy?

- Przypuszczam, że to wypadło z jakiegoś klejnotu...

- Jestem również tego zdania. W każdym razie jednak, jest to dla nas ważny dowód.

- Gdzie pan to znalazł i jakie znaczenie może to mieć dla naszej sprawy?

Henryk Diehl owinał kulkę w bibułę i schował ją do kieszonki.

- Znalazłem tę kulkę w sypialni. Resztę wyjaśnię pani później. Teraz mam jeszcze jedną prośbę do pani.

- Słucham - odparła z westchnieniem Jutta.

Doktor Diehl ujął rękę młodej kobiety i rzekł serdecznie:

- Niech się pani nie gniewa, że nie mogę pani jeszcze wyjaśnić wszystkiego, zmuszają mnie do tego ważne powody. W każdym razie, może pani być dobrej myśli. A teraz powracam do mej prośby: chciałbym obejrzeć pokoje, w których mieszka pan von Hall. Czy to możliwe?

Jutta spojrzała ze zdumieniem na doktora, za to w oczach Franka Rüdiger'a zabłysnął przelotny płomień, jakby nagle zrozumienie.

- Naturalnie, że będzie pan mógł obejrzeć pokoje mego kuzyna, a dlaczego pan je chce zobaczyć? - spytała Jutta.

- Obiecała pani nie zadawać żadnych pytań - odpowiedział Diehl z uśmiechem.

- Ach, prawda! Przepraszam pana.

- To ja panią przepraszam za niegrzeczną odpowiedź.

- Nie ma za co. Proszę iść ze mną.

Doktor Diehl zamknął okno i zaciągnął firanki. Potem wyszli wszyscy razem z pokoju.

- Musimy tam wejść zupełnie niepostrzeżenie. Chodzi mi o to, żeby nas służba nie widziała - mówił doktor.

Jutta zaprowadziła panów na pierwsze piętro. Po drodze nie spotkali nikogo ze służby. Bez przeszkód dotarli do apartamentów zajmowanych przez Norberta. Jutta otworzyła drzwi.

- Pan Hall zajmuje trzy, przylegające do siebie pokoje. Pierwszy to gabinet, druga sypialnia; za sypialnią znajduje się jeszcze mały pokój, gdzie stoją jego szafy z ubraniami. Nie chciałabym tam wchodzić, czy mogę poczekać w saloniku z panem Rüdigerem?

- Naturalnie, wolę wejść sam. Może pani być spokojna, nie pozostawię najmniejszych śladów mej bytności. Proszę mi wierzyć, że gdyby nie konieczność, nie wchodziłbym do cudzego mieszkania. Nie wolno nam się jednak wahać, gdy chodzi o tak ważny cel.

I Henryk Diehl wszedł pewnym krokiem do pierwszego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Czy pan rozumie o co chodzi? - zagadnęła Jutta, patrząc trwożnie na Franka.

- Zaczynam pomалу rozumieć - odparł - nie chcę jednak mówić przedwcześnie o tym. I ja mam jeden tylko cel, pragnę za wszelką cenę dowieść, że pani jest niewinna. Rumieniec pokrył blade policzki Jutty.

- Czuję taki dziwny lęk... Mam jakby przeczucie, że stanie się coś strasznego!

- Odwagi! - rzekł Frank, ujmując jej rękę.

- Przez tyle czasu byłam odważna i panowałam nad sobą. Teraz lękam się, że nie starczy mi sił, gdy przyjdzie chwila wyzwolenia.

Obrzucił ją zatroskanym, tkliwym spojrzeniem.

- Nie, nie! Teraz rozpocznie pani dopiero nowe życie!

- Pan jest dla mnie tak dobry, uczynił pan dla mnie tak wiele...

- Niestety, mogłem bardzo mało uczynić dla pani. Najważniejsze zadanie spełni przecież doktor Diehl...

- Tak, ale pan wezwał go tutaj. Jeżeli sprawa zakończy się pomyślnie, podziękuję przede wszystkim panu. A teraz po raz pierwszy mam przecucie, że wszystko się wyjaśni. Gdy siedziałam poprzednio z zamkniętymi oczyma w pokoju mego męża, gdy usłyszałam ów dziwny szmer, doznałam nagle wrażenia, że nareszcie została znaleziona nić, która pomoże mi wybrnąć z ciemnego labiryntu, w jakim błędzę tak długo. Czuję lekki niepokój, a jednocześnie jestem w oczekiwaniu cudu. Mam uczucie, że Bóg wysłucha moich żarliwych modłów...

- Jestem pewien, że cud nastąpi! - rzekł, a w głosie jego brzmiało mocne przekonanie.

Spojrzała na niego swymi pięknymi, aksamitnymi oczyma, które zasnuły się mgłą łez:

- Straciłam już prawie nadzieję!

Zobaczył, że drżała na całym ciele i przypomniał sobie dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzał ją w lesie. Pamiętał jej zwątpienie i rozpacz; byłby najchętniej utulił ją w ramionach, obsypał pieszczotami, zapewnił o swej gorącej miłości.

- Odwagi! - powtórzył - Wszystko się skończy dobrze!

- Żyłam tak długo w mroku, że boję się teraz słońca. Pan przecież nie ma pojęcia, w jakich warunkach żyłam przez ostatnie dwa lata! Nigdy nie powodziło mi się zbyt dobrze, ale przedtem miałam przynajmniej spokój. Znosiłam wszystko i potrafiłam się nawet zdobyć na wesołość. Ale potem... Wzgardzona, napiętnowana, nie miałam odwagi we własnym domu podnieść oczu, bo wiedziałam, że wszędzie spotkam nienawistne, nieufne spojrzenia. Ukrywałam się w samotności jak chore zwierzę w swej norze. Dopiero odkąd pan wszedł w moje życie, nabrałam otuchy. Stałam się znowu spokojna i dumna, odzyskałam powoli równowagę ducha. Zaczęłam sama zarządzać moim domem, zaczęłam rozmawiać ze służbą, wydawać jej polecenia i rozkazy... Ku memu zdumieniu przekonałam się, że służący wcale nie są dla mnie tak wrogo i nieżyczliwie usposobieni, jak mnie zapewniała pani von Tölz...

- Ci prości ludzie na pewno nie wierzą, że pani byłaby zdolna do popełnienia tak okropnej zbrodni. Oczy pani nie umieją kłamać!

- Nigdy, nigdy nie zapomnę panu, że pan od pierwszej chwili wierzył w moją niewinność - szepnęła. Frank znowu ujął jej rękę i spojrzał jej w oczy.

- Musiałem w nią wierzyć! I będę wierzył, bez względu na to, czy mój przyjaciel znajdzie dowody, czy też nie... Dla mnie pani zawsze będzie czysta jak łza, gdyż kocham, ubóstwiam panią, najdroższa Jutto! Każda moja myśl, każde uczucie należą do pani! Od chwili, gdy zobaczyłem panią po raz pierwszy, złożyłem jej serce. Pani chyba wie o tym, pani to czuje... Nie chciałem jeszcze mówić o mej miłości, póki doktor Diehl nie ukończy śledztwa, lecz słowa same cisną mi się na usta. Nie mogłem milczeć dłużej, za bardzo panią kocham, Jutto! Powiedz, najmilsza moja, że i ty mnie kochasz... Powiedz, czy zostaniesz moją żoną?

Zbladła jak opłatek, słuchając jego namiętnych, tkliwych słów. Tylko oczy jej promieniały jak dwie gwiazdy, malowało się w nich gorące uczucie. Zadygotała na całym ciele, wreszcie odparła głosem drżącym ze wzruszenia:

- Nie potrafiłabym skłamać w tej godzinie szczęścia, Franku! Tak, kocham pana całą duszą, serce moje od pierwszej chwili należy do pana. Jest pan pierwszym mężczyzną, którego pokochałam i nigdy nie pokocham innego. Nie mogę jednak zostać pańską żoną dopóki wszystko się nie wyjaśni. Nauczyłam się znosić w pokorze ludzką wzdargę i nienawiść, nie chcę jednak, aby moja hańba spadła

na pana. Nie chcę, aby pan z mego powodu znosił upokorzenia i cierpiał...

Ucałował jej rękę.

- Czuję się zawsze dumny i szczęśliwy, że kobieta tak czysta, jak pani, kroczy u mego boku. O, Jutto, co nas obchodzą ludzie?

- Zaczęliby nas obchodzić, gdybyśmy się musieli kryć przed nimi. Nie, za żadną cenę nie chcę pana wciągnąć w nieszczęście. Cokolwiek jednak się stanie, będę pana błogosławiła za tę godzinę. Nigdy już nie będę się czuć nieszczęśliwa, Franku, nigdy samotna! Będę żyła wspomnieniem tej chwili. Pod wpływem twojej miłości odnalazłam moją dumę, zniosę teraz łatwiej wszelkie przeciwności losu!

- I nic nie zdoła przekonać pani? A jeżeli mój przyjaciel nie wykryje mordercy? Co się wtedy ze mną stanie? Więc woli mnie pani skazać na samotność i wieczną tęsknotę? Och, zastanów się, Jutto! - zawołał błagalnie.

- Nie mów, nie mów tak do mnie - odparła cała drżąca - nie utrudniaj mi życia. Czy wiesz ile wysiłku kosztowało mnie to postanowienie? A jednak, nie mogę postąpić inaczej, Franku.

Pochyliła głowę i ukryła twarz w drżących dłoniach. Frank przez chwilę staczał ciężką wewnętrzną walkę. Potem delikatnym, pieszczotliwym ruchem ujął jej rękę.

- Niech się pani uspokoi. Nie wolno się pani tak denerwować, jeszcze się pani rozchoruje. Nie będziemy dziś więcej mówili o tym, poczekamy na to, co powie doktor Diehl. Proszę jednak pamiętać o jednym: nigdy nie wyrzeknę się nadziei zdobycia pani. Och, Jutto, nie zdajesz sobie wcale sprawy, jak bardzo cię kocham. Nie potrafię ci powiedzieć, ile wycierpiałem na początku naszej znajomości, gdym myślał o tym, że byłaś żoną innego, żoną tego starca. Marzyłem o tym zawsze, aby kobieta, którą w przyszłości poślubię, nie należała przedtem do innego mężczyzny. Kochałem cię już wówczas, lecz myśląc o twym małżeństwie, przechodziłem katusze. Szalałem z radości dowiedziawszy się, że było to małżeństwo pozorne. W owej chwili poczułem się z tobą związany na wieki, czułem, że nic nas nie rozłączy! Nie wyrzeknę się ciebie, za nic w świecie!

- Nie męcz mnie, Franku! Muszę zebrać wszystkie siły, całą odwagę, aby zdobyć się na wyrzeczenie. Chyba, że wybije godzina cudu i los przyniesie mi upragnione wyzwolenie! Znowu przyłgnał gorącymi wargami do jej rąk.

- Przyniesie, musi przynieść wyzwolenie dla nas obojga! Jesteśmy połączeni nierozzerwalną nicią. Morderca twego męża zostanie wykryty, zobaczysz, Jutto!

Nie mogli dłużej rozmawiać, ponieważ w tej chwili doktor Diehl wyszedł z pokoju Norberta. Twarz jego była blada, malowało się na niej silne wzburzenie. Obrzucił obecnych na pół przytomnym spojrzeniem.

- Czy dziś odchodzi jeszcze jakiś pociąg do Monachium? - zapytał.

- Tak, o dwunastej w południe - odrzekł Frank, patrząc badawczo na przyjaciela.

Henryk rzucił okiem na zegarek.

- Zdamę jeszcze na ten pociąg, muszę jednak natychmiast pojechać na stację.

- Czy nie chcesz się przebrać? - spytał Frank.

- Nie, bo spóźniłbym się.

- O której wrócisz?

- Kiedy odjeżdża ostatni pociąg z Monachium?

- Około dziewiątej.

- Zapewne wrócę tym pociągiem. Do widzenia pani, nie możemy się dłużej zatrzymać.

Jutta spojrzała na niego pełna niepokoju. Ten nagły wyjazd doktora Diehla wydawał jej się zagadkowy. Zbladła jak opłatek.

- Niech się pani nie martwi - rzekł Henryk - wszystko się dla pani składa jak najlepiej. Być może uda mi się już jutro wyświecić całą sprawę. Aha,

jeszcze jedno pytanie: jaką truciznę wykryto w winie, które pani podała mężowi?

- Został otruty morfiną.

- Aha! Chciałem to wiedzieć. Kiedy pani von Tölz i jej dzieci powracają z Monachium?

- Także ostatnim pociągiem.

- Nic nie szkodzi! Jeżeli się spotkamy, to wymyślę naprędce jakieś wyjaśnienie.

Doktor Diehl pocałował Juttę w rękę.

- Do widzenia pani! Chodźmy, Franku, musisz ze mną pojechać na stację i zabrać mego konia.

Frank skłonił się także przed Juttą. Milczeli oboje, lecz oczy ich wyrażały miłość bez granic. Jutta zeszła z panami do jadalni. Lokaj zameldował, że podano już do stołu. Młoda kobieta poprosiła, aby doktor Diehl posilił się przed podróżą, podczas gdy stajenny wyprowadzi wierzchowce pod ganek.

Przełknął naprędce kilka kęsków i wychylił duszkiem kieliszek wina. Potem obaj z Frankiem wyszli i dosiedli koni.

- Jutro po południu na zwykłym miejscu - szepnął jeszcze Frank Riidiger, po czym konie ruszyły z miejsca.

Jutta przez chwilę śledziła ich wzrokiem i zaraz ciężko westchnęła.

- Pomóż mi Ojczy Niebieski! - szepnęła do siebie. Następnie udała się do swego buduaru, gdzie wisiał portret jej zmarłego męża. Spojrzała na obraz oczyma wilgotnymi od łez.

- Wybacz mi, że oddałam Frankowi swe serce. Wiem, że nie gniewasz się na mnie, że sam byłbyś mnie pobłogosławił... Pomóż mi, abym mogła należeć do niego, kocham go nad życie! - mówiła cicho Jutta, stojąc przed portretem, a piękne, szlachetne oczy starca spoglądały na nią, pełne tkliwości i zrozumienia.

* * *

Henryk Diehl i Frank Riidiger pojechali w najszybszym tempie na stację. Frank nie pytał o nic, choć dręczył go palący niepokój. Zauważył jednak silne wzburzenie przyjaciela. Gdy dotarli do dworca doktor Diehl zeskoczył z siodła i rzucił cugle Frankowi, następnie pobiegł do kasy kupić bilet. W tej chwili nadjechał oczekiwany pociąg. Frank przywiązał konie do słupa i odprowadził przyjaciela do przedziału.

- Wybacz moje milczenie, Franku, lecz zaprzęta mnie tak wiele myśli. Jutro dowiesz się wszystkiego, a wtedy mnie zrozumiesz. Do widzenia, powrócę wieczorem.

- Do widzenia, Heńku!

Pociąg ruszył. Doktor Diehl usadowił się wygodnie i przymknąwszy oczy zaczął rekapitulować w pamięci wszystkie szczegóły, które poznał w czasie ostatniej godziny. Gdy wszedł do pokoju Norberta uwaga jego skierowała się przede wszystkim na biurko. Było ono oczywiście zamknięte, lecz doktor Diehl nauczył się w swoim zawodzie pokonywać tego rodzaju trudności. Nie namyślając się ani chwili, otworzył zamek odpowiednim kluczem. Przejrzał szybko wszystkie papiery w szufladach, nie znalazłszy nic godnego uwagi. Wreszcie zobaczył z boku małą skrytkę, która zawierała kilka puzderek, w jakich zazwyczaj przechowuje się biżuterię. W jednym z nich leżała szpilka do krawatu, ozdobiona piękną perłą, w drugim brylantowe spinki do mankietów. Trzecie było puste, w czwartym znajdował się złoty zegarek Norberta. Pozostało jeszcze piąte - małe proste pudełko z tektury. Leżała w nim mała paczka, owinięta papierem. Doktor Diehl rozwinął ją i znalazł dwie spinki. Oczy jego rozszerzyły się, po twarzy przebiegło drżenie. Górną część spinek tworzyły okrągłe złote oprawki; tkwiły w nich małe kulki z kryształu, takie same jak ta, którą znalazł w pokoju Maltego von Tübingen. Tak, bez wątplenia była to ta sama jaskółka unosząca się między niebem, a morzem. Oprawka jednej ze spinek była pusta. Doktor Diehl wyjął z kieszonki znaną kulkę i włożył do wgłębienia. Pasowała w zupełności do oprawki. Henryk popatrzył przez chwilę osłupiałym wzrokiem na spinę.

- Więc jednak! - szepnął.

Potem wyjął kulkę z oprawki i schował ją do kamizelki. Gdy chciał ponownie zawinąć spinki w papier, spostrzegł, że były zapakowane w podartą receptę. Recepta nosiła stempel pewnej apteki w Monachium, której właściciela znał bardzo dobrze. Henryk wyjął notatnik i przepisał dokładnie treść recepty, oraz numer rejestru. Brakowało jedynie nazwiska lekarza, który ją napisał.

Doktor Diehl zawinął spinki, po czym odłożył je do pudełka. Odstawił wszystko na dawne miejsce i zamknął biurko. Powoli podniósł się z krzesła. Nie miał już potrzeby przeszukiwać tego pokoju, znalazł znacznie więcej niż się spodziewał. Raz jeszcze obrzucił wzrokiem cały pokój, aż nagle spojrzenie jego padło na gzyms kominka, gdzie stała duża gabinetowa fotografia Blandyny. Podeszedł do kominka i popatrzył ze smutkiem na fotografię.

- Biedna Blandyno, to ci sprawi ból, a jednak nie mogę ci tego oszczędzić! Prawo jest prawem!

- Przesunął pieszczotliwie ręką po ukochanej twarzy. Potem opanował się szybko i spiesznym krokiem wyszedł z pokoju.

Teraz siedział w pociągu jadącym do Monachium, aby znaleźć ostatnie dowody, konieczne dla rehabilitacji pani Jutty. Wsiadłszy na dworcu, wsiadł do taksówki, podając adres apteki, który przeczytał na recepcie. Poprosił natychmiast właściciela o chwilę poufnej rozmowy. Aptekarz zaprowadził go do małego pokoiku, gdzie Henryk Diehl przede wszystkim okazał swoją legitymację. Potem dopiero wyjął notes i zaczął wypytywać o szczegóły. W rejestrze były wszelkie dane, o które chodziło doktorowi. Zapytał on aptekarza:

- Czy dozwolona jest sprzedaż tej trucizny w tak wielkich dawkach?
- Na ogół nie, panie doktorze, czasami jednak czynimy to na specjalne zlecenie lekarza. Niektórzy morfiniści znoszą znacznie silniejsze dawki trucizny. Lekarz powinien tylko zrobić na recepcie pewien znak szczególnie dla aptekarza, abyśmy wiedzieli, że zupełnie świadomie zapisuje choremu tak silną dawkę. My zwracamy wyłącznie uwagę na znak lekarza.
- Więc dla nałogowego morfinisty taka dawka nie byłaby śmiertelna?
- Nie, jeżeli jest przyzwyczajony do silnych dawek.
- A gdyby inna osoba zażyła tę dawkę? Osoba chora na serce?
- Tą dawką można uśmiercić zupełnie zdrowego człowieka, a cóż dopiero osobę chorą na serce.
- Dziękuję panu, nie będę pana więcej trudził.
- Czy to sprawa kryminalna? - spytał aptekarz.
- Tak, lecz nie chcę o tym przedwcześnie mówić. Do widzenia!

Wyszedłszy z apteki, Henryk Diehl spojrzął na zegarek i przekonał się, że będzie mógł powrócić wcześniejszym pociągiem niż zamierzał. Załatwił wszystko prędzej, niż się spodziewał. Był z tego zadowolony, gdyż mógł w ten sposób uniknąć spotkania z Blandyna i jej matką. Nie zwlekając, pojechał na dworzec i posiliwszy się filiżanką kawy i bułeczką, wyszedł na peron. Po chwili już odjeżdżał do domu.

Na stacji nie było powozu, toteż doktor Diehl udał się pieszo do pałacu i polecił służącemu przywołać panią Juttę. Zjawiała się niebawem, drżąca z niepokoju.

- Co się stało, panie doktorze?
- Nic, proszę pani. Powróciłem wcześniejszym pociągiem, niż zamierzałem i naturalnie na dworcu nie było powozu. Nie mam ochoty iść piechotą pod górę, proszę więc o łaskawe użyczenie mi jakiegoś pojazdu.
- Z przyjemnością, doktorze. Powiem, żeby natychmiast zaprzężono konie.

Jutta wydała służącemu polecenie, po czym poprosiła, aby doktor Diehl zjadł cośkolwiek, gdyż jest zapewne głodny i zmęczony. On jednak stanowczo odmówił.

- Nie czuję głodu, ani pragnienia, a chciałbym jak najprędzej być w domu. Zanim jednak odejdę, powiem pani dobrą nowinę.

- Doprawdy? - spytała niedowierzająco, patrząc na niego z niepokojem.

Jej widok wzruszył go. Ujął jej dłoń, mówiąc:

- Chciałem wprawdzie, aby mój przyjaciel Frank podzielił się z panią tą radosną wieścią, nie mogę jednak patrzeć, jak się pani męczy. Dzisiejszej nocy może pani spokojnie spać! Prawdziwy morderca został wykryty!

Jutta zbladła śmiertelnie i zachwiała się tak, że musiał ją podtrzymać ramieniem.

- Czy to prawda? Czy to nie sen? - zapytała drżącym głosem, osuwając się na krzesło, gdyż nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Tak, to prawda! Wszystko się wyjaśniło! Na razie musi pani jeszcze wobec wszystkich zachować najgłębszą tajemnicę, dopóki nie poczynię ostatnich kroków. Chciałem pani jedynie zaoszczędzić niepokoju, dlatego wstąpiłem do pałacu.

Oczy Jutty zajaśniały nieziemskim blaskiem. Uścisnęła w milczeniu obie ręce doktora, niezdolna wyrazić swej wdzięczności. Mówić nie mogła w tej chwili. Popatrzył na nią ze wzruszeniem, po czym spytał:

- Co mam powiedzieć Frankowi?

- Niech mu pan powie... Nie, nie... Proszę mu nic nie mówić... Słowa są zbyt ubogie, aby wyrazić to, co czuję w tej chwili...

Pocałował ją w rękę. Tej oto kobiecie jego wiedza przyniosła wyzwolenie. Ale co będzie z Blandyną? Jakże ona przyjmie tę wiadomość, jak zniesie straszny cios?

- Muszę już iść. I niech pani zachowa najgłębszą tajemnicę wobec wszystkich. Do widzenia, zobaczymy się jutro!

Raz jeszcze uścisnęła jego rękę.

- Nie mogę w tej chwili wyrazić mej wdzięczności... Jestem zbyt oszołomiona nadmiarem różnorodnych uczuć... Bo widzi pan... ja... ja...

Urwała i, przymykając oczy, oparła się o krzesło.

- Proszę się uspokoić. Chodzi o to, aby się pani przed nikim nie zdradziła. Nawet wobec panny Blandyny proszę o zachowanie milczenia. Nie, niech mnie pani nie odprowadza. Trafie sam... Muszę teraz zawieźć Frankowi tę radosną wieść...

Po odejściu doktora Jutta przycisnęła dłonie do piersi, obawiając się jakby, że jej serce pęknie. Myślała o Franku i radość zalewała jej duszę. Frank! Wiedziała, że odetchnie z ulgą, posłyszawszy dobrą nowinę. Teraz nic już nie mogło ich rozdzielić, wszystkie przeszkody zostały usunięte. Miała wrażenie, że ktoś zdjął z niej okrutne czary, które dotychczas przesłaniały jej życie. Wolno jej teraz było dążyć do szczęścia, pierzchły cienie, nastąpił wymarzony cud!

Nie zapomni do końca życia tej godziny. Została wyzwolona, mogła żyć, mogła oddychać pełną piersią, przebywać z ludźmi. Była wolnym człowiekiem, nie krępowały jej żadne pęta. Z dumnie podniesioną głową mogła kroczyć u boku Franka Riidigera. Nie potrafiła po prostu ogarnąć myślą całej pełni swego szczęścia.

Siedziała przez godzinę w milczeniu, pogrążona w błogiej zadumie. Wreszcie ocknęła się, wstała z miejsca. Wiedziała, że wkrótce powrócą jej krewni; należało panować nad sobą, aby się nie zdradzić. Nikt nie powinien był wiedzieć o jej bezgranicznym szczęściu, nikt, nawet Blandyna.

Doktor Diehl zatopiony w myślach, powracał do domu. Frank powitał go na progu.

- To ty, Heńku? Sądziłem, że powrócisz później.

- Zdążyłem na wcześniejszy pociąg, a potem przyjechałem powozem pani Jutty. Byłem bardzo zmęczony i nie chciałem iść pieszo.

Obydwaj weszli do domu.

- Chodź na kolację, Heniu, nie chciałem jeść bez ciebie. Odwykłem od samotności i nie wiem, co pocznę, gdy naprawdę stąd wyjedziesz.

- Przypuszczam, że niedługo będziesz tu samotnie mieszkał. Ożenisz się już wkrótce...

- Jutta nie chce zostać moją żoną, zanim nie wykryjesz mordercy jej męża. Tak mi dziś oświadczyła...

- Więc wyznałaś jej twoją miłość?

- Tak, nie mogłem wytrzymać dłużej. Powiedziałem jej to wtedy, kiedy ty byłeś zajęty w pokojach Norberta.

- To świetnie! Ale teraz chodźmy na kolację, później pogadamy.

Zasiedli obaj przy stole, zmuszając się do jedzenia. Żaden z nich nie mógł nic przełknąć. Po skończonym posiłku obydwaj przeszli do gabinetu Franka. Był to pokój dość obszerny i bardzo oryginalnie urządony. Frank przeniósł tu wszystkie sprzęty i przedmioty, które znajdowały się w jego pokoju na wyspie Borneo. Zappełniały go egzotyczne naczynia, meble i dywany. Na ścianach wisiały skóry dzikich zwierząt oraz różnego rodzaju broń. Na stoliku leżało

mnóstwo dziwacznych przedmiotów, między innymi olbrzymi kiel słońca. Nad szerokim, kwadratowym tapczanem wznosił się baldachim, utworzony z mieczy i włóczni, które podtrzymywały zwoje miękkiej, barwnej tkaniny. Frank usiadł w głębokim fotelu i przysunął przyjacielowi papierosy. Doktor Diehl położył się na tapczanie i oparł się łokciami o stos poduszek. Przez chwilę palili w milczeniu, wreszcie Henryk odezwał się pierwszy:

- Nie będę cię dłużej męczył, Franku! Morderca został wykryty. Wiem, kto wsypał do wina morfinę, wiem w jaki sposób to uczynił...

Frank zerwał się z fotela.

- Czy masz dowody, Henryku?

- Tak!

- Więc tak szybko wyświetliłeś tę sprawę?

- Przypadek przyszedł mi z pomocą. A więc: mordercą jest Norbert von Hall.

- Byłem tego prawie pewien - rzekł Frank, dysząc ciężko.

- Jak to? Więc miałeś jakieś podejrzenia?

- Zacząłem go podejrzewać, gdy powiedziałeś, że chcesz obejrzeć jego pokoje.

- Siadaj mój drogi i posłuchaj. Gdy wchodziłem do jego gabinetu wiedziałem już właściwie prawie wszystko. Ci panowie, którzy w swoim czasie prowadzili śledztwo uczynili to bardzo pobieżnie i niedbale. Szli po linii najmniejszego oporu, nie zadając sobie trudu, żeby zbadać dokładnie sprawę. Pominęli różne okoliczności, które z pewnością naprowadziłyby ich na trop zbrodniarza. Ja nie pominąłem najmniejszego szczegółu, a teraz skończyłem moje zadanie. Tym razem jednak nie odczuwam wcale zadowolenia, bo morderca, który zginie z ręki kata, jest przecież bratem Blandyny.

- Henryku! Zapomniałem o tym! Radość zrobiła ze mnie egoistę. Co się teraz stanie z tobą i z panną Blandyną?

- W moim stosunku do niej nic się nie zmieni. Przecież nie może odpowiadać za czyny swego brata. Chwała Bogu nie jest do niego podobna. Czy jednak zechce mnie po tym wszystkim poślubić, tego nie wiem. Spodziewam się, że mnie kocha, tak jak ja ją Kocham i że pogodzi się z tym faktem. Przecież i ja nie zważam na to, że jej brat jest zbrodniarzem.

- O, Henryku! Przyczyniłeś się do mego szczęścia, a ja mimo woli zniszczyłem twoje. Czy potrafisz kiedykolwiek dać ci dowód mej bezgranicznej wdzięczności?

- Kiedy się podejmowałem rozwiązać zagadkę, nie wiedziałem o tym. Potem już nie miałem wyboru i postanowiłem badania doprowadzić do końca. Blandyna jednak nigdy nie powinna się dowiedzieć, że ona pierwsza skierowała moje podejrzenia na swego brata.

- Jakim sposobem?

- Blandynę trapi jakiś lęk, lecz nie zna ona jego przyczyny. Jest to nieokreślona obawa, która drzemie w jej podświadomości. Boi się, że mogłaby odkryć coś, co świadczyłoby na niekorzyść brata.

Rozmawiałem z nią na ten temat, pragnąc jej dopomóc. Wtedy zbudziło się moje podejrzenie i zacząłem śledzić Norberta.

- Czy wiesz na pewno, że to on?

- Na pewno! Pierwsze dowody dała mi znowu mimo woli Blandyna. Opowiedziała mi, że tego dnia, kiedy Malte Tübingen powrócił do domu, rodzina jego nie pojechała wprost do Monachium. Matka rozchorowała się ze zdenerwowania, toteż wysiedli wszyscy na pierwszej stacji. Blandyna wspomniała również, że Norbert wcale nie spał tej nocy. Dlatego też poszedłem pieszo do następnej stacji, aby się przekonać, że cała droga trwa zaledwie półtorej godziny. Norbert więc mógł wyjść z hotelu o północy, pójść do pałacu i powrócić o pół do drugiej, zwłaszcza, że przy chorej matce czuwała jego siostra. Dowiedziałem się o tym, że Norbert do drugiej w nocy siedział w jakiejś altance. Opowiadał służącemu w hotelu, że zasiedział się w altance i zasnął. Nie chcę cię nudzić wszystkimi badaniami i poszukiwaniami. Opowiem ci w zwięzłych słowach przebieg zbrodni, nalej mi jednak przedtem kieliszek wina.

Frank napelnił kieliszek i podał go przyjacielowi. Henryk, wypiwszy wino ciągnął dalej:

- Otóż Norbert przypuszczał, że ślub wuja nastąpi dopiero nazajutrz. Pomyślał, że jeżeli wuj nie dożyje dnia następnego, wówczas spadek przejdzie w jego ręce. Choroba matki była mu bardzo na rękę, gdyż dzięki tej okoliczności trzeba było wysiąść na najbliższej stacji. Muszę jeszcze dodać, że wiem, co chciał powiedzieć pan von Tübingen, wspominając o nałogach Norberta. Otóż Norbert jest morfinistą, a tego dnia miał przy sobie silną dawkę narkotyku. Drobną ilość wystarczyła, aby zaprowadzić na tamten świat starca, chorego na serce. Norbert uległ pokusie, gdyż znajdował się w położeniu bez wyjścia. Nie mówiąc słowa siostrze ani matce, udał się w nocy pieszo do pałacu. Kolację zjadł z paniami w hoteliku, potem rozstał się z nimi; od tej chwili nikt więcej go nie widział oprócz służącego, który koło godziny drugiej otwierał mu bramę. Norbert znał dobrze rozkład pałacu, wiedział,

gdzie znajduje się sypialnia wuja. Znał także przyzwyczajenia staruszka. Przeszedł bez trudu przez sztachety, po czym cichaczem minął park i dostał się na taras. Trafił oczywiście z łatwością pod okno sypialni. Służba spała, nikt go nie spostrzegł. Wiedział, że wuj sypia przy otwartym oknie i że pija w nocy wino.

Znalazłszy się na tarasie przy właściwym oknie, ujrzał panią Juttę, która spała w fotelu przy łóżku. Zapewne zgorszył się nawet, że narzeczona wuja siedzi w jego sypialnym pokoju. Nie miał oczywiście pojęcia, że była już jego żoną. Gdyby bowiem wiedział o tym, byłby zaniechał zbrodni, która w tych warunkach nie miała sensu.

Zobaczył tedy śpiącą panią Juttę i zauważył, że na nocnym stoliku stoi kieliszek napełniony winem. Podszedł do okna z drugiej strony i przekonał się, że Malte Tubingen także mocno śpi. Miał wtedy pomyslną sposobność do wykonania zbrodni. Przechylił się z tarasu przez okno i, zachowując się jak najciszej, wsypał truciznę do wina. Podczas tego nie spuszczał jednak wzroku z pani Jutty. Ludzie nerwowi i wrażliwi nie znoszą jednak, gdy ktoś patrzy na nich w czasie snu. Zapewne i jej także przeszkadzało uporczywe spojrzenie Norberta, który zdążył już wsypać morfinę do kieliszka. Ponieważ Norbert skupił całą uwagę na śpiącej, więc nie zauważył, jak ze spinki w jego mankiecie wypadła kryształowa kulka, którą wam dziś rano pokazywałem. Potoczyła się po posadzce w tej chwili, gdy Norbert cofnął rękę i po cichu odszedł od okna. Teraz obudziła się pani Jutta, która nie spała już tak mocno, odkąd poczuła na sobie uporczywy wzrok Norberta. Wtedy właśnie posłyszała szmer, wywołany przez kulkę. Kulka potoczyła się pod łóżko i zatrzymała przy jednej z nóg. Tam też znalazłem ją po dwóch latach, ukrytą pod warstwą kurzu i pajęczyny. Łóżko jest ciężkie, trudno je odsunąć, dlatego też przy sprzątanii nie wymieciono kulki.

Komisja śledcza również nie zadała sobie trudu, żeby odsunąć ten sprzęt...

- Tyś na szczęście zbadał gruntowniej teren - wtrącił Frank, dysząc ciężko.
- Pani Jutta wspominała, że słyszała wtedy jakiś szmer i to mnie przywiodło na tę myśl. Obawiałem się jedynie, że zamiłowana w porządku służba wymiotła ów przedmiot, który spowodował szmer. Czy pamiętasz, jak pani Jutta mówiła, że zamykając okno doznała dziwnego uczucia lęku? Stało się to zapewne dlatego, że Norbert obserwował ją bacznie ze swej kryjówki na tarasie. Co do mnie, to byłem przekonany, że ktoś musiał wsypać truciznę do wina przez otwarte okno i że uczynił to podczas snu pani Jutty.

- I utrafiłeś od razu w sedno rzeczy. Podziwiam cię Henryku.

- Wszedłem dziś do pokoju Norberta i znalazłem w jego biurku spinki do mankietów. W jednej ze spinek brakuje kryształowej kulki z inkrustowaną jaskółką. Dowodziło to, iż Norbert von Hall zakradł się owego wieczoru pod okna sypialni swego wuja. Przy tej sposobności znalazłem jednak jeszcze ważniejszy dowód rzeczowy. Każdy zbrodniarz popełnia jakieś szaleństwo, które prowadzi go na szubienicę. Otóż Norbert owinął spinki w podarty kawałek papieru; była to recepta na wielką dawkę morfiny. Nosiła ona stempel i adres apteki, która dostarczyła narkotyk. Miałem dowód, że Norbert jest morfinistą i że owej nocy posiadał spory zapas trucizny. Pojechałem do Monachium, gdzie powiedziano mi w aptece, że Norbert Hall często zamawiał większe dawki morfiny, między innymi również na kilka dni przed popełnieniem zbrodni. Jako nałogowy morfinistą dbał o to, aby stale być zaopatrzonego w duże dozy niezbędnego narkotyku. W owym czasie przypuszczano, że wyjechał wprost do Monachium, inaczej sędzia śledczy byłby mimo wszystko zwrócił na niego baczniejszą uwagę. Tak jednak wszystko uszło mu płazem, a biedna kobieta musiała pokutować za jego winę.

- A teraz przedstawisz mu dowody winy?

- Tak. Pragnę jasno udowodnić, że pani Jutta jest niewinna. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, chcę przede wszystkim wydostać od niego pisemne zeznanie. Potem może zostawię mu trochę czasu, aby mógł ujść z rąk sprawiedliwości. Uczynię to przez wzgląd na Blandynę, chciałbym jej zaoszczędzić bólu i cierpienia, o ile będzie to w mej mocy. Nam przecież zależy tylko, aby udowodnić niewinność pani Jutty; nie jestem obowiązany wydać władzom mordercę.

- Rozumiem cię, Henryku - rzekł Frank - lecz mimo wszystko nie można będzie przemilczeć, że to Norbert popełnił zbrodnię. Tylko wtedy ludzie przekonają się, że bezpodstawnie oskarżali Juttę. Mnie także nie zależy na tym, aby Norbert wpadł w ręce policji...

- Widzę, że pojmujesz, o co mi chodzi - powiedział doktor Diehl.

- Jakże ci podziękować, drogi Henryku?

- Nie dziękuj, mój kochany, działałem przecież w imię sprawiedliwości. Wyzwolenie pani Jutty starczy mi za wszelką nagrodę i wdzięczność. Byłbym się cieszył jeszcze bardziej, gdyby nie myśl o Blandynie. Dzięki Bogu, że Hall jest jej bratem przyrodnim i nosi inne nazwisko. Blandyna nie jest do niego zbyt przywiązana, lecz mimo wszystko czekają biedaczkę ciężkie godziny, których nie mogę jej oszczędzić.

Długo jeszcze przyjaciele rozmawiali o całej sprawie. Doktor Diehl opowiedział Frankowi, jak prowadził swoje poszukiwania, po czym obydwaj

postanowili, że Henryk uda się nazajutrz przed obiadem do pałacu i pomówi z Norbertem.

- Oby tylko pań nie było w domu - westchnął doktor - ale co zrobić, żeby o tej porze wyszły?

- Wiesz - oznajmił po chwili namysłu Frank - mam dobrą myśl. Napiszę od Jutty i poproszę aby jutro przed południem przybyła tutaj z panią Tólz i Blandyną. Zaznaczę, że chcę zasięgnąć ich rady w sprawie niedzielnego przyjęcia.

- Dobrze - powiedział doktor. - Panie przyjadą tutaj, a ja załatwię moją sprawę w pałacu.

Frank spojrział z niepokojem na przyjaciela.

- A może wolisz, abym ci towarzyszył? Bądź co bądź to ryzyko zostać sam na sam z takim człowiekiem.

- O nie, dam sobie z nim radę. Zresztą, zawiadomiłem wczoraj telegraficznie mego pomocnika. Zapewne przybędzie już jutro i zakwateruje się jako turysta w oberży „Pod Czerwonym Lwem”. Zanim pójdę do pałacu, sprawdzę, czy przyjechał. Jego pomoc wystarczy mi w zupełności. Możesz spokojnie zostać w domu i przyjąć panie. Postaram się załatwić wszystko jak najprędzej zanim one powrócą.

- Więc chcesz pojechać beze mnie?

- Oczywiście. Chciałem ci jeszcze tylko powiedzieć, że pani Jutta już wie, iż morderca został wykryty.

- Wie o tym?

- Nie wie, kto otruł jej męża. Powiedziałem jej tylko, że może tej nocy spać spokojnie.

- Jak przyjęła tę wiadomość?

- Była wstrząśnięta do głębi, niezdolna wymówić słowa. Zapytałem, co mam ci powiedzieć w jej imieniu, czułem bowiem, że pragnie się z tobą podzielić tą radosną nowiną.

- A co powiedziała? - badał Frank.

- Powtórzę ci dosłownie jej słowa. „Niech mu pan powie... Nie, nie... Proszę mu nic nie mówić... Słowa są zbyt ubogie, aby wyrazić to, co czuję w tej chwili...”

Oczy Franka zabłyśły.

- Zazdroszczę ci, że mogłeś jej pierwszy zanieść dobrą wiadomość.

- Pragnąłem z początku, abyś ty powiedział jej o tym - rzekł z uśmiechem doktor Diehl - nie chciałem jednak, aby się bez potrzeby dłużej męczyła. Zauważyłem już wczoraj, że jest bardzo niespokojna.

- Tak, czuła, że jesteś na tropie. Dobrze zrobiłeś, wyjawiając jej prawdę. Och, gdybyś ją widział wtedy w lesie, złamaną, pełną zwątpienia... Dzieci wiejskie uciekły przed nią, wołając okropne przezwisko, którym napiętnował ją ten łajdak! Wtedy dopiero pojąłbyś, jak wielką wyświadczyłeś jej przysługę. Biedaczka, tyle wycierpiała.

- Twoja miłość wynagrodzi jej wszystko.

- Spodziewam się tego, Henryku. Co to za człowiek ten Norbert Hall! Jak mógł patrzeć spokojnie na cierpienia bezbronnej kobiety, która pokutowała za jego winę!

- Tak, jest człowiekiem bez charakteru, a przy tym kocha panią Juttę.

- Co? Co takiego? - krzyknął zapalczywie Frank, zrywając się z miejsca.

- Wierz mi, Franku, że się nie mylę. Kocha ją po swojemu, dziko, namiętnie. Obserwowałem go bacznie, gdyś rozmawiał z Jutta. W oczach jego płonął ogień zazdrości, a obojętność pani Jutty doprowadzała go do szaleństwa. Gdy pozwoliła, żebyś ty ją uczył konnej jazdy, Norbert zmierzył cię nienawistnym spojrzeniem. Jeżeli jeszcze tli się w nim jakaś iskierka uczucia, to jedynie dla niej.

- A jednak pozwolił, żeby cierpiała.

- Bo jest nędznym tchórzem. Ale teraz chodźmy spać, Franku. Jutro czeka nas ciężki dzień. Dobranoc!

- Dobranoc, Heniu! Możesz teraz spoczywać na laurach!

- Tak, tylko moje laury mają ciernie - szepnął Henryk do siebie.

* * *

Jutta widziała się z krewnymi zaledwie przez chwilę. Blandyna tylko wstąpiła jeszcze do pokoju przyjaciółki, aby jej powiedzieć, że załatwiła wszystkie sprawunki. Zamówiła dla Jutty siodło i strój do jazdy konnej.

Jutta serdecznie jej podziękowała, udając przy tym lekkie zmęczenie. Toteż Blandyna w kilka chwil później wysunęła się z pokoju.

Młodej kobiecie było przykro odgrywać przed Blandyna komedię, chętnie podzieliłaby się z nią dobrą nowiną. Pamiętała jednak polecenia doktora Diehla i milczała. Wolą się raczej pożegnać z Blandyna. Następnego ranka jednak wstała zupełnie opanowana; tylko oczy jej płonęły niezwykłym blaskiem i była jeszcze piękniejsza niż zazwyczaj.

Stwierdził to Norbert, siedząc rano z paniami przy stole. Nie mógł od niej oderwać wzroku. Podczas śniadania zjawił się posłaniec i przyniósł dla Jutty liścik od Franka. Zarumieniła się i drżącymi rękami otworzyła list, na który miała dać zaraz odpowiedź. Norbert z zazdrością obserwował Juttę.

List brzmiał:

Szanowna Pani! Pozwalam sobie zwrócić się do Niej z wielką prośbą. Oto nie potrafię sobie dać rady z przygotowaniami do niedzielnego przyjęcia. Nie mogę się obejść bez pomocy Szanownych Pań. Byłbym ogromnie wdzięczny, gdyby pani von Tölz, Pani i panna Blandyna zechciały przyjechać na godzinkę dziś przed południem. Niech się Szanowna Pani wstawi za mną, czy dobrze? Posłaniec czeka na odpowiedź. Łączę dla Pań serdeczne pozdrowienia. Szczerze oddany

Frank Rüdiger

Jutta spoglądała zamyślona na liścik. Miała wrażenie, że jakieś specjalne powody skłoniły Franka do wysłania tego zaproszenia. Pojmowała, że nie był tak niezręczny i niezaradny jak pisał. Zależało mu po prostu, aby panie przyjechały do niego, toteż postanowiła spełnić to życzenie. Podała liścik pani von Tölz, która przez cały czas podejrzliwie patrzyła na młodą kobietę.

- Zechce pani przeczytać ten liścik i powiedzieć mi, czy pani się zgadza - rzekła Jutta.

Pani von Tölz przebiegła oczyma bilecik i nie miała nic przeciwko temu. Przyzwalająco skinęła głową, mówiąc:

- Mężczyzna nieżonaty jest doprawdy godny pożałowania. Musimy pojechać i pomóc mu, bo inaczej nie da sobie rady.

Jutta dała list także i Blandynie.

- Pojedziesz chyba z nami? - zapytała.

- Naturalnie! - potwierdziła Blandyna, która spodziewała się, że zobaczy znowu Henryka.

- Kiedy pojedziemy?

- Sądzę, że o jedenastej, tak, żebyśmy zdążyły powrócić na obiad.

Jutta dała posłańcowi odpowiedź. Zaraz po śniadaniu wszystkie trzy panie poszły się przebrać, aby pojechać do Franka. Juttę trapił skrycie wielki niepokój, nie wiedziała bowiem, jakie znaczenie ma przypisać tym zaprosinom. Blandyna była bardzo podniecona i myślała wciąż o Henryku, nie przeczuwając, że go nie zobaczy.

Gdy panie miały odjechać Norbert odprowadził je do powozu i pomógł im przy wsiadaniu.

- Czy pojedziesz teraz w pole, Norbercie? - spytała matka.

- Nie, mam! Muszę doprowadzić księgi do porządku.

- Wyglądasz ostatnio tak blado, zmizerniałeś ogromnie. Teraz, kiedy słońce oświeca twóją twarz, widzę to wyraźniej, niż zazwyczaj.

- Nie przejmuj się tym, mam. Nie jestem kobietą, która zawsze powinna ładnie wyglądać - rzekł Norbert, zmuszając się do żartobliwego tonu.

- Martwię się o ciebie. Czy się źle czujesz? Co ci dolega? Norbert skierował wzrok w strony Jutty, a w jego oczach odmalowała się udręka.

- Wiesz dobrze, mamo, co mi dolega - odparł chrapliwie. Pogłaskała go pieszczotliwie po włosach.

- Mój biedny chłopcze - rzekła ze współczuciem, po czym zmierzyła Juttę spojrzeniem pełnym wyrzutu. Jutta sprawiała cierpienie jej synowi. Ta nieszczęsna namiętność do niej wtrącała go w chorobę. Tak przynajmniej sądziła pani Tólz, nie przypuszczając, że mizerny wygląd syna miał jeszcze inne przyczyny.

Powóz odjechał, a Norbert długo jeszcze śledził go wzrokiem. Ostatnie słowa matki wywarły na nim dziwne wrażenie. Wciąż jeszcze brzmiały mu w uszach. „Mój biedny chłopcze!” Matka nie domyślała się nawet, jak bardzo był nieszczęśliwy i godny litości. Ociężałym krokiem powłókł się do domu, udając się do swego pokoju. Trawiła go nie zaspokojona namiętność, lecz poza tym jeszcze coś innego szarpało mu nerwy i podkopywało zdrowie. Szalał z zazdrości, wiedząc, że Jutta pojechała teraz do Franka Rudigera. Czuł, że Jutta kocha i jest kochana. Nic nie dzieliło tych dwojga ludzi, nic, oprócz słowa honoru, które dała mu młoda kobieta na jego wyraźne żądanie.

Norbert zadrzał, rozglądając się lękliwie po pokoju. Ach, jakże pragnął uciec z tego domu, z którego nie mógł się wydostać! Ach, jakże chciał się pozbyć ciągłego uczucia przerażenia i grozy, jakże tęsknił do chwili wyzwolenia! Teraz także, słysząc lekkie pukanie, drgnął cały i wlepił błędne spojrzenie w zamknięte drzwi, jakby w obawie, że ukaże mu się w nich jakieś widmo. Opanował się szybko i zawołał:

- Proszę!

Na progu stanął lokaj i zawiadomił, że doktor Diehl prosi o chwilę rozmowy.

- Doktor Diehl? - spytał Norbert zdumiony.

- Tak, proszę pana.

- Niech go Jan poprosi.

Lokaj oddalił się, a po chwili wszedł doktor Diehl.

- Zapewne przyjechał pan po panie - rzekł Norbert - wyruszyły z domu dziesięć minut temu. Dziwię się, że pan ich nie spotkał.

- Nie, przyjechałem tu w innym zamiarze. Jestem bardzo zadowolony, że nie ma ich w domu, gdyż pragnę pomówić wyłącznie z panem.

Norbert spoglądał ze zdumieniem na doktora.

- Dobrze, możemy zaraz załatwić naszą sprawę. - Ciekaw jestem, co pan mi ma do powiedzenia - rzekł, wskazując gościowi fotel i siadając naprzeciw niego.

Na gzymsie kominka stała fotografia Blandyny. Na niej spoczęły oczy Henryka. Twarz jego wyrażała ogromną tkliwość i troskę. Norbert podchwycił to spojrzenie.

- Więc jednak chodzi o Blandynę - pomyślał i usadowił się wygodnie w fotelu.

Doktor Diehl oderwał wzrok od fotografii. Twarz jego przybrała teraz wyraz ogromnej stanowczości i powagi, oczy zabłysły jak stal. Każdy mięsień w jego twarzy zdradzał energię i siłę woli.

- Przyszedłem tutaj, aby powiedzieć panu, że morderca pańskiego wuja został znaleziony! - oznajmił głośno i dobitnie.

Norbert von Hall drgnął, a twarz jego z bladej stała się szara. Gdyby doktor Diehl nie był pewny swego, zachowanie Norberta rozwiałoby jego ostatnie wątpliwości. Pan Hall opanował się ostatnim wysiłkiem woli i wlepił przerażone spojrzenie w twarz gościa.

- Co pan powiedział? - wykrztusił chrapliwie.

- Powiedziałem, że wykryto mordercę pana von Tübingen. Norbert zaśmiał się z przymusem:

- Pan żartuje, doktorze! Co panu wpadło na myśl?

- To bardzo proste! Przede wszystkim muszę wyjaśnić panu pewną pomyłkę. Nie jestem doktorem filozofii lecz prawnikiem, a moją specjalność stanowi kryminalistyka. Udało mi się już wyświecić w tej dziedzinie kilka tajemniczych spraw i dlatego przyjaciel mój, Frank Rüdiger zawiadzał mnie do siebie. Chciał, abym znalazł sprawcę zagadkowej śmierci pana von Tübingen. Przyjechałem więc i spełniłem jego polecenie.

- Tak? To bardzo ciekawe. I powiada pan, że znalazł pan mordercę?

Doktor Diehl spojrzał mu spokojnie w oczy:

- Tak, proszę pana.

- A czy go pan już uwięził?

- Jeszcze nie. Morderca Maltego von Tübingen, Norbert von Hall siedzi przede mną. Na pierwsze moje skinienie zostanie aresztowany.

Na czoło Norberta wystąpiły wielkie krople potu. Ogarnęło go przerażenie, lecz mówił sobie w duchu:

- Teraz trzeba zachować zimną krew, tu chodzi o głowę. Spokoju, spokoju! I zmuszając się do żartobliwego tonu, powiedział:

- Wiedziałem od razu, że pan żartuje, doktorze!

- O nie, pan wie doskonale, że sprawa jest poważna. Ludzi się pan tylko nadzieją, że mnie pan zwiedzie tym udanym spokojem. To się panu jednak nie uda. Jeżeli pan sobie życzy, to chętnie opowiem panu, w jaki sposób popełnił pan zbrodnię.

- Owszem, chciałbym to usłyszeć - zaśmiał się Norbert chrapliwie.

Doktor Diehl rozpoczął:

- Dwa lata temu, czternastego maja miał pan pojechać z matką i siostrą stąd do Monachium. Dnia tego miał powrócić pański wuj z kuracji. Następnego dnia, to jest piętnastego maja był naznaczony jego ślub. Pan jednak wysiadł już na następnej stacji, gdyż matka pańska zachorowała. Wtedy przyszła pokusa. Wiedział pan, że jeśli Malte von Tübingen nie dożyje dnia ślubu, wówczas zostanie pan jego spadkobiercą. Powrócił więc pan tego wieczoru pieszo do pałacu, przeszedł pan przez płot i zakradł się na taras pod okno sypialni. Wiedział pan, że wuj sypia przy otwartym oknie i podczas nocy wypija kieliszek wina. Na tym zbudował pan swój plan. Posiadał pan dostateczną ilość morfiny, postanowił pan wsypać trochę wujowi do wina...

Norbert von Hall siedział złamany w fotelu i spoglądał osłupiałym wzrokiem na Henryka Diehla.

- Ponosi pana fantazja! - krzyknął zduszonym głosem. Doktor Diehl jednak nie dał się zbić z tropu, lecz ciągnął dalej:

- Okno było otwarte, w pokoju paliło się światło. Nie przypuszczał pan tylko, że zastanie pan przy łóżku wuja jego narzeczoną. Na szczęście mocno spała, co było panu bardzo na rękę. Nie namyślając się długo, przechylił się pan przez okno i wsypał truciznę do kieliszka. Uczyniwszy to, ukrył się pan na tarasie. Narzeczone wuja obudziła się wkrótce i zamknęła okno. Wtedy dopiero opuścił pan swoją kryjówkę i przekradł się do parku. Przedostał się pan przez sztachety, powrócił pieszo do następnej stacji, stamtąd poszedł pan do hotelu. Służącemu, który otwierał panu bramę, opowiedział pan piękną bajeczkę, jakoby pan zasnął w altance. Czy nie tak było?

Norbert Hall zerwał się z miejsca, rozglądając się wokoło, jakby szukał drogi do ucieczki.

- Pan oszalał, doktorze! Czego pan właściwie chce ode mnie? Doktor Diehl wyciągnął z kieszeni jakiś papier. Było to zeznanie, które przygotował dzisiaj rano.

- Żądam, aby pan podpisał ten dokument. Może pan go najpierw przeczytać, zawiera dokładny przebieg zbrodni. Jest tu wszystko, co panu przed chwilą opowiedziałem...

- Ani mi się śni! Ma pan jakieś konszachty z Juttą, a teraz pan chce zwalić jej całą winę na mnie...

- Jeżeli pan nie podpisze zeznania, to opuści pan ten pokój jako mój więzień. Każę pana niezwłocznie zaaresztować, moi ludzie czekają przed pałacem. Jeżeli pan jednak podpisze ten papier, wtedy pozwolę panu wymknąć się z rąk sprawiedliwości, zostawię panu wybór, jak to uczynić. Kocham pańską siostrę Blandynę i pragnę zaoszczędzić jej boleści... Nie dopuszczę, aby jej brat zginął na szafocie.

- Pan jest szatanem! - jęknął Norbert.

- Nie, jestem tylko narzędziem sprawiedliwości, w tym wypadku bardzo niewygodnym dla pana. Zanim podpisze pan ten papier, pragnę panu jeszcze zwrócić uwagę na kilka szczegółów, które zawiera to zeznanie. Przypomina pan sobie zapewne ze śledztwa, że pani Jutta obudziła się owej nocy, słysząc jakiś dziwny, cichutki szmer. Miała wrażenie, że jakaś drobna kulka toczy się po podłodze. Czy nie wpadło panu nigdy na myśl, że pan coś zgubił w chwili, gdy sypał pan truciznę do kieliszka i cofnął potem rękę?

Norbert wlepił w Henryka błędne spojrzenie, nie rozumiejąc wcale o co chodzi.

- Ach, więc pan nic nie zauważył? Przestępca powinien zwracać baczniejszą uwagę na takie drobiazgi. Tym przedmiotem bowiem była maleńka kryształowa kulka z inkrustowaną jaskółką w locie.

- Nie rozumiem - szepnął Norbert, zaskoczony.

- Kulka ta wypadła ze spinki w mankiecie. Zgubił pan ją, lecz zapewne nie zastanawiał się pan gdzie i w jakich okolicznościach. Ta drobna kulka spadła na podłogę, w tej chwili, kiedy pan popełniał zbrodnię. Ona właśnie zdradziła pana. Po dwóch latach znalazłem ją w tym kącie, do którego się potoczyła. A spinki spoczywają w szufladzie pańskiego biurka.

Z piersi Norberta dobył się głuchy jęk. Rzucił przerażone spojrzenie na biurko.

Doktor Diehl skinął głową.

- Tak, popełniłem drobną niedyskrecję. Spinki leżą w tym biurku. Pan zaś ze zwykłą nonszalancją zbrodniarza, który czuje się bezpieczny, gdyż zwałił winę na bezbronną kobietę, owinął te spinki w pierwszy lepszy skrawek papieru. Nie miał pan potrzeby się obawiać, ona bowiem pokutowała za pana, ją napiętnował pan mianem trucicielki. Toteż nie spostrzegł pan, że ten papier jest receptą na silną dawkę morfiny. Zamówił ją pan na kilka dni przed popełnieniem morderstwa. Zazwyczaj używał pan sam tego narkotyku, tym

razem jednak postanowił się pan podzielić z wujaszkiem, wiedząc z góry, że starzec gorzej od pana zniesie tę truciznę.

Teraz już Norbert nie mógł się dłużej wypierać swego czynu. Drżącą ręką ocierał pot z czoła. Wreszcie opanował się ostatnim wysiłkiem woli i wyjął:

- Tak... Widzę, że pan wie wszystko... Nie będę się zapierał... Tak, uczyniłem to, bo... byłem w rozpaczliwym położeniu... bo chciałem otrzymać spadek, który miałem stracić przez małżeństwo wuja... Nie wiedziałem, że ślub się odbył, że wuj zostawił testament na korzyść Jutty... Gdym się nazajutrz dowiedział, że wszystko było daremne, myślałem, że oszaleję... Byłem bliski obłędu, na pół przytomny... Ta przekłeta trucizna, która wysysa mi krew z żył, odebrała mi rozum. A najgorsze było, że Jutta niewinnie cierpiała... Bałem się kary i dlatego nie przyznałem się do winy... Ale odpokutowałem za to... Bo kocham Juttę, kocham ją do szaleństwa... Jej obojętność sprawiała mi okrutne katusze... Przez te dwa lata poznałem piekło...

Chciałem się poprawić, chciałem zostać lepszym człowiekiem... Pracowałem dla Jutty, zarządzałem jej majątkiem, nie sprzeniewierzyłem ani grosza... Zabijała mnie myśl, że Jutta kocha innego... Tak, kocha tego człowieka, który wezwał pana na pomoc... Zostanie teraz jego żoną... Nie, nie mogę znieść tej myśli... Proszę mi podać ten papier... podpiszę... Niech mnie pan nie wydaje w ręce policji... proszę tylko o krótką zwłokę... niech pan to uczyni przez wzgląd na moją matkę i... Blandynę... Ja nie chcę zginąć na... szafocie... Niech pan tego oszczędzi Blandynie... Niech mnie pan ratuje...

Słowa te z trudem wydobywały się z jego ust. Gdy wstał i położył na biurku podpisane zeznanie, Henryk spojrział na niego wzrokiem, w którym malowało się współczucie.

- Podpisałem, proszę przeczytać - powiedział Norbert. Oprócz podpisu, nieszczęsny wykolejeniec nakreślił na papierze kilka słów, które brzmiały:

Potwierdzam prawdziwość powyższego zaznania. Jutta von Tübingen jest niewinna, ja jestem mordercą jej męża. Niechaj przebaczą mi wszyscy, których skrzywdziłem.

Norbert von Hall

Doktor Diehl obrzucił go przeciągłym spojrzeniem, po czym schował papier do kieszeni i rzekł głosem, w którym drżało wzruszenie:

- Odchodzę! Za godzinę zjawi się policja, żeby aresztować pana. Ma pan godzinę czasu na uporządkowanie swoich spraw. Zrobi pan, co pan będzie uważał za stosowne. Zawiadomię o wszystkim pańską matkę, siostrę i panią

Juttę. W imieniu pana poproszę je o przebaczenie, o ile pan sam nie zdąży uczynić tego...

Norbert podniósł na niego szkliste, przygasłe spojrzenie.

- Dziękuję panu! - rzekł.

- Doktor Diehl uklonił się i wyszedł. Nikt nie czekał na niego za drzwiami, gdyż powiedział to jedynie, aby nastraszyć Norberta. Udał się do niego sam, wiedząc, że potrafi dać sobie z nim radę.

Wiedział też, że dla Norberta pozostała jedna tylko droga, droga, na jakiej uniknie wszelkich prześladowań, droga wiodąca do krainy, z której nie było powrotu.

* * *

Doktor Diehl wyszedł z pałacu bardziej wzruszony, niż się tego spodziewał. Toteż przede wszystkim poszedł do lasu, aby się trochę uspokoić i przyjść do siebie. Potem dopiero udał się do oberży „Pod Czerwonym Lwem”, gdzie czekał już jego pomocnik, który przyjechał dziś rano.

- Niech pan idzie do wójta i każe mu wystawić nakaz aresztowania Norberta von Halla. Potem zabierze pan ze sobą jednego z urzędników gminy i uda się pan z nim do pałacu. Zaaresztujecie oskarżonego i przyprowadzicie go do gminy. Będę tam oczekiwał pana, bo mam jeszcze omówić pewne sprawy z wójtem.

Pomocnik natychmiast spełnił jego polecenie. Po chwili doktor Diehl podążył za nim do gminy. Zastał tam wójta ogromnie wzburzonego. Nie chciał on z początku wystawić nakazu aresztowania Norberta, lecz pomocnik doktora, Fuller, miał przy sobie legitymację służbową, wobec czego musiał się zgodzić. Doktor Diehl pokazał mu podpisane zeznanie Norberta. Wójt nie posiadał się ze zdumienia, wiadomość ta wstrząsnęła nim do głębi.

- Widzi pan - rzekł spokojnie doktor Diehl - że przez cały czas niesłusznie podejrzewano panią von Tübingen. Mamy teraz oczywiste dowody jej niewinności i jestem pewien, że pan, jako człowiek honoru, uczyni wszystko, aby ją zrehabilitować. Pani Tübingen powinna otrzymać pełną satysfakcję. Trzeba także powiedzieć kilka słów dzieciom wiejskim, które nazywały ją „trucicielką” i „czarownicą” i bezustannie ją lżyły. Rodzice muszą to dzieciom wytłumaczyć. Jestem pewien, że pan wszystko uczyni, co będzie w pańskiej mocy. Oddaję panu w ręce sprawę niewinnie oskarżonej kobiety.

Wójt wydawał się sobie w tej chwili niezmiernie ważną osobistością. Pochlebily mu słowa doktora Diehla, toteż obiecał, że się zastosuje do jego polecenia. Mimo wszystko, cała ta sprawa wprawiała go w zakłopotanie. Drapiąc się w głowę, rzekł, zafrasowany:

- Przekłeta sprawa, panie doktorze! Gdy zaaresztujemy teraz pana von Halla, będziemy mieli masę kłopotów i formalności... Trzeba...

Nie dokończył zdania. W tej chwili ktoś gwałtownie otworzył drzwi, a na progu stanął Fuller:

- Panie doktorze! - zawołał - Nie zastaliśmy oskarżonego przy życiu... Znaleźliśmy go martwego w fotelu przy biurku... Zastrzelił się...

Doktor Diehl powstał z pobladłą twarzą.

- Sam wymierzył sobie sprawiedliwość! Niechaj spoczywa w spokoju! - rzekł z powagą.

Natychmiast udał się w towarzystwie wójta do pałacu. Zastali tam służbę w najwyższym przerażeniu. Doktor Diehl wszedł z wójtem do gabinetu Norberta. Nie ruszono tu niczego, gdyż jeden z urzędników stał przed drzwiami na straży. Norbert von Hall siedział w fotelu przy biurku. Browning, którym przestrzelił sobie skroń, wypadł mu z ręki i spoczywał na dywanie. Przed nim na biurku leżała zapisana karteczka:

Jutto, proszę mi wybaczyć. Niech pani nie szuka odwetu na mojej matce i siostrze. Wiem że pani jest szlachetna i wspaniałomyślna. I ty, matko, także mi przebacz. Módl się za duszę twego nieszczęśliwego syna Norberta.

Wójt spojrział na doktora Diehla.

- Gdzie są panie? - zapytał.

- Nie ma ich w pałacu. Postarałem się aby ich nie było podczas aresztowania Norberta von Halla.

- Kto zawiadomi je o tym okropnym wypadku?

- Zrobię to sam, pojedę natychmiast do Obergriesbach. Proszę na razie zostawić wszystko tak jak jest, dopóki panie nie powrócą.

I doktor Diehl pożegnał się, powrócił do oberży „Pod Czerwonym Lwem”, gdzie zostawił konia, po czym szybko odjechał do domu.

* * *

Frank Riidiger czekał na panie przed domem. Oczy jego spotkały się z oczyma Jutty i zalśniły radosnym blaskiem. Ręce obojga splotły się w długim, serdecznym uścisku. Nie mogli naturalnie mówić o tym, co przepełniało ich serca, gdyż pani Tólz nie odstępowała ich ani na krok.

Blandyna doznała zawodu, dowiedziawszy się o nieobecności Henryka Diehla.

- Zdaje się, że powróci wkrótce, aby jeszcze zastać panie. Musiał załatwić sprawę niezmiernie ważną i nie cierpiącą zwłoki - wyjaśnił Frank.

Zaprowadził panie do salonu, gdzie pani Remblin podała przekąski i słodczyce. Blandyna, dowiedziawszy się, że doktor wkrótce powróci, odzyskała dobry humor i przekomarzała się z Frankiem.

- Częstoście nas pan samymi przysmakami i jeszcze pan twierdzi, że nie potrafi pan sam urządzić przyjęcia - rzekła z uśmiechem.

- Bo też naprawdę nie potrafię sobie dać rady. Nigdy nie przyjmowałem u siebie pań z wyjątkiem jednego razu, na Borneo. Wtedy zebrało się u mnie ogromnie mieszane towarzystwo, a przede wszystkim bardzo kosmopolityczne. Wszelkie kolory skóry były reprezentowane w moich apartamentach. Zjawił się nawet pewien wódz plemienia Dyak ze swoją córką.

- Czy dziewczyna z plemienia Dyak była piękna? - zażartowała Blandyna.

- Rzecz gustu. W swoim plemienu uchodziła za piękność, ale wątpię czy otrzymałaby nagrodę na europejskim konkursie piękności. Mnie się niezbyt podobała.

- Więc wtedy na Borneo urządził pan przyjęcie bez niczyjej pomocy?

- Tak, ale miałem tam doskonałych służących i tylko dzięki temu przyjęcie udało się.

- Może urządzimy w niedzielę bal w stylu owej uroczystości na Borneo - zaproponowała Blandyna.

- Pomysł bardzo oryginalny - potwierdziła jej matka.

- Nie, proszę pani, tu w górach taka rzecz się nie uda. Proponuję raczej, abyśmy przyszli wszyscy w góralskich strojach ludowych. Przypuszczam, że panie do tego czasu zdążą się wystarać o odpowiednie przebranie.

- Naturalnie! To bardzo dobry pomysł. Ale musimy zatańczyć na murawie.

- Zgoda! Zamawiam sobie pierwszego walca - zwrócił się Frank do Jutty.

Jutta nie brała udziału w rozmowie, gdyż ogarnął ją dziwny niepokój. Czowała, że lekki, swobodny ton Franka jest tylko udany, jego wesołość pozorna. Nie wiedziała w ogóle po co zaprosił je do siebie. Rzuciła mu pytające spojrzenie, lecz odparła na pozór spokojnie:

- Nie tańczyłam już od wielu lat, zapewne już nie umiem...

- Ach, to się pani znowu nauczy.

- Będziemy się wprawiały, Jutto - zaproponowała Blandyna.

Przez jakiś czas rozmawiano jeszcze na ten temat. Frank zaproponował, aby panie wybrały w ogrodzie miejsce do tańca. Blandyna z matką poszły naprzód. Jutta ruszyła z Frankiem za nimi. Idąc obok niego, spytała szeptem:

- Co się stało, czemu nas pan zaprosił?

- Proszę mi pomóc zatrzymać tutaj obie panie, dopóki nie powróci doktor Diehl. Dowie się pani potem wszystkiego. Czy jesteś szczęśliwa Jutto?

- Bardzo, ach, tak bardzo!

Nie mogli rozmawiać dłużej, gdyż pani von Tölz przystanęła i obejrzała się za nimi. Najwidoczniej postanowiła ich nie spuszczać z oczu.

Blandyna z Frankiem zaczęli tymczasem wybierać miejsce do tańca. Pani Tölz uważała ten pomysł za chybiony, nie przeciwstawiała się jednak, widząc, że młodzież była nim zachwycona. Prosiła jedynie, aby mogła przybyć w wizytowej sukni. Poza tym dawała Frankowi różne rady i wskazówki, a nawet omawiała rozmaite szczegóły z panią Remblin. Jutta stwierdziła w duchu, że Frank nie słucha wcale i jest bardzo zdenerwowany. Czyżby to miało jakiś związek z jej sprawą?

Nie mogli zamienić ani słowa, gdyż pani von Tölz wciąż dotrzymywała im towarzystwa. Obawiała się zostawić Juttę sam na sam z Frankiem Rüdigerem.

Położenie Franka było bardzo nieprzyjemne. Wiedział, że nie dojdzie wcale do niedzielnej uroczystości. Pani Tölz i Blandyna na pewno nie będą usposobione do zabawy, gdy się dowiedzą, kto otruł Maltego von Tübingen. Młody człowiek wciąż spoglądał na drogę, prowadzącą ze wsi. Wreszcie ujrzał z daleka jeźdźca, pędzącego cwałem.

- Oho, doktor Diehl nadjeżdża - rzekł Frank, oddychając z ulgą.

Jutta spostrzegła, że stara się opanować wzburzenie. Blandyna obejrzała się, a policzki jej pokryły się rumieńcem. Pani Tölz także czekała z niecierpliwością na doktora. Wreszcie Henryk zajechał przed ganek i szybko zeskoczył z konia. Uśmiech zamarł na wszystkich twarzach. Doktor Diehl był błydy, ogromnie wzburzony. Rysy jego twarzy zdradzały, że jest zwiastunem jakiegoś nieszczęścia. Blandyna stanęła jak wryta. Nie wiedziała co się stało, lecz przeczuwała coś złego. Czuła, że teraz właśnie usłyszy okropną rzecz, której podświadomie od dawna się lękała, choć nie potrafiła określić jej bliżej.

Jutta również zauważyła, że się coś stało i od razu przeczuła, że ma to coś wspólnego z jej sprawą. Patrzyła na doktora z wielkim niepokojem. Frank zbliżył się do przyjaciela i spytał po cichu:

- Co się stało Henryku?

- Nie żyje. Wejdźmy z paniami do domu.

Doktor przywitał się z panią Tölz, po czym podszedł do Blandyny.

- Wejdźmy do domu, panno Blandyno. Bardzo mi przykro, lecz muszę pani oznajmić smutną nowinę. Pani oraz jej matce.

Z tymi słowami wprowadził Blandynę do salonu. Dziewczyna ujęła jego rękę.

- Panie doktorze! Mój brat?
- Pani czuje, że tu chodzi o niego - odparł, patrząc na nią ze współczuciem
- Odwagi, panno Blandyno! Cierpię szalenie, gdyż muszę pani sprawić ból.
- Pan nie potrafi mi sprawić bólu - rzekła, pragnąc go pocieszyć, lecz serce jej ścisnęło się przerażeniem.

Twarz Henryka wykrzywiła się bolesnym kurczem. Przysunął krzesło Blandynie, po czym podszedł do pani Tözl. Frank ujął rękę Jutty.

- Bądź przygotowana na najgorsze, Jutto - szepnął. Wszyscy wlepili oczy w twarz doktora Diehla. Jedynie tylko pani Tözl siedziała spokojnie, nie przeczuwając nic złego. Henryk zwrócił się do niej:

- Jestem bardzo nieszczęśliwy, że przynoszę pani złą nowinę...
- Co się stało? Mój syn?...
- Tak, proszę pani. Ta wiadomość dotyczy syna pani... Przytrafiło mu się nieszczęście...

Pani von Tözl zmieniła się na twarzy. Blandyna również zbladła jak opłatek i rzekła drżącym głosem:

- Proszę nam powiedzieć prawdę... Niech pan nie męczy nas dłużej...
- Szanowna pani... panno Blandyno... Norbert Hall nie żyje. Pani Tözl opadła z głuchym jękiem na fotel, Blandyna osunęła się do jej stóp. Jutta zaś ujęła obie ręce Franka, szukając jakby u niego oparcia.

- On? Więc to on? - spytała wiedziona nagłym przecuciem. Niespodziewanie zbudziło się w niej podejrzenie, że Norbert Hall otruł jej męża. Frank skinął głową.

- Tak, Jutto, on był mordercą.
- O Boże! Biedna matka, biedna siostra! - rzekła z gorącym współczuciem.

Nie pamiętała w tej chwili o sobie, o swoim wyzwoleniu. Podeszła do Blandyny i objęła ją czule ramieniem. Lecz Blandyna gwałtownym ruchem zerwała się z miejsca i ogarnięta przecuciem nagłej zgrozy, wyciągnęła rękę do doktora Diehla.

- To jeszcze nie wszystko. To jeszcze nie najgorsze! Czuję... wiem... że za chwilę usłyszę coś okropnego... że spełni się to co przeczuwałam już od dawna... Niech nam pan powie prawdę... całą prawdę...

- Biedna, biedna Blandyno! Uspokój się kochanie - mówiła Jutta.
- Blandyna spojrzała na nią błędnym wzrokiem.

- Wiedziałam... Nad nami wisiał jakiś groźny cień... Czemu doznawałam zawsze tak okrutnego lęku, gdy patrzyłam na Norberta? Doktorze, proszę nam wreszcie powiedzieć wszystko...

Pani Tölz podniosła głowę. Twarz jej była szara, rysy wykrzywione okrutną boleścią.

- Co jeszcze? Czyż może nastąpić jeszcze coś gorszego? - spytała.

Henryk Diehl przesunął ręką po czole. Misja, której się podjął okazała się trudniejsza niż się spodziewał.

- Nie powinna pani boleć nad śmiercią syna. Nie mógł żyć dłużej. Był od dawna człowiekiem wykolejonym... Gdyby żył, musiałyby pani wiele cierpieć z jego powodu...

- Niechże pan wreszcie wypowie te słowa, których nie ma pan odwagi wypowiedzieć. Co zrobił mój syn? Dlaczego musiał umrzeć tak młodo?

Doktor spojrzał błagalnie na Franka, a ukazując oczyma Blandynę, rzekł:

- Powiedz ty, Franku... Ja, patrząc w jej oczy, nie mogę mówić...

- Szanowna pani - rzekł Frank - syn pani nie chciał żyć dłużej, popełnił samobójstwo... On bowiem otruł Maltego von Tübingen...

Po słowach tych zapanowała głęboka cisza. Pani Tölz leżała zdruzgotana w fotelu, Blandyna ukryła twarz na ramieniu Jutty, która ją czule tuliła do siebie. Minęła chwila ciężkiego, okropnego milczenia. Wreszcie pani Tölz z wolna podniosła się z miejsca.

- Niech pan każe, aby powóz zajechał. Chcę wrócić do domu... do mego biednego chłopca - rzekła bezdźwięcznie. Blandyna szybko podbiegła do matki.

- Mamo! Droga mammo! - zawołała.

- Zostaw mnie - odparła matka, odpychając Blandynę - pochłania mnie wyłącznie jedna myśl. Mój syn był mordercą i dlatego zginął. Nie mogę go potępić, ja nie mogę... Wiem, że cierpiał okrutnie, choć nie miałam pojęcia, dlaczego. Mniejsza o to! Był moim synem i kochałam go...

Z tymi słowami przeszła obok Blandyny jak koło obcej osoby. Dziewczyna patrzyła przygasłymi oczyma na matkę. Czuła, że nawet w takiej chwili matka nie chce z nią mieć nic wspólnego. Kochała jedynie swego syna, kochała go nawet po śmierci.

Doktor Diehl zbliżył się do Blandyny i spojrzał na nią z bezgraniczną miłością:

- Blandyno! Czy pani mi przebaczy, że wykryłem winę brata pani?

- Jak to? Pan?

- Tak; Blandyno, nie jestem tym, za którego się podawałem. Przybyłem tutaj, aby wykryć mordercę i dowieść, że pani Jutta jest niewinna. Najtragiczniejsze jest, że przyczyniłem się przy tym do śmierci twego brata.

- Tak było sądzone - odparła, a oczy jej przybrały zagadkowy wyraz - działał pan w imię sprawiedliwości. Teraz wstąpił we mnie ogromny spokój. Nie wiedziałam nigdy, czemu się lękałam Norberta. Był we mnie strach, wieczny strach, którego nie umiałam określić. Obecnie wiem wszystko.

Henryk pocałował ją w rękę.

- Przeczuwałaś, że jest winny, dlatego się go lękałaś. Blandyna rzuciła się w objęcia Jutty.

- Dlatego byłam zawsze przekonana o twojej niewinności. Ach, Jutto! Czy możesz nam przebaczyć? Czy nie odepchniesz nas od siebie?

- Przecież ty nie ponosisz winy, moje biedactwo - odparła Jutta, tuląc ją do siebie - ani też twoja matka. Nigdy nie przestanę cię kochać, bądź spokojna.

Blandyna spojrzała ze smutkiem na Henryka i podała mu rękę.

- Żegnam pana, doktorze!

Przypuszczała, że wszystko między nimi było skończone. Czyż mógł poślubić siostrę mordercy? Była pewna, że doktor Diehl nie zechce się z nią ożenić po tym co zaszło. Na jej wiośniany sen miłosny padł ponury cień.

Doktor Diehl zrozumiał inaczej zachowanie Blandyny. Pomyślał, że go odepchnęła, dlatego, iż wyśledził jej brata. Spojrzał na nią błagalnie i zawołał:

- Blandyno!

Ona jednak ukryła twarz w dłoniach i spieszenie podążyła za matką.

- Pani Jutto - powiedział teraz doktor Diehl - niech pani się zajmie Blandyna. I niech się pani za mną wstawi. Kocham ją, lecz ona nie może na mnie patrzeć, bo przyczyniłem się do śmierci jej brata.

Jutta uścisnęła jego rękę.

- Proszę się uspokoić, Blandyna z pewnością także kocha pana. Musi tylko odzyskać równowagę, tak jak my wszyscy... Nie potrafię panu w tej chwili wyrazić mej wdzięczności, zachowam ją na wieki w sercu. Zobaczymy się wkrótce. Teraz muszę odjechać z Blandyna i jej matką.

- Pani ma słuszność, wiem, że pani jest dobra i szlachetna i że ich pani nie opuści. Ten oto papier składam w ręce pani, jest on dowodem, że pani jest niewinna. Opisany tu jest dokładnie cały przebieg zbrodni. Proszę to przeczytać, a potem dać Blandynie i jej matce. To im pomoże znieść ten okropny cios. Gdyby pani potrzebowała rady czy pomocy, to proszę nas zawezwać. Frank i ja jesteśmy zawsze na usługi pań.

- Dobrze, pomyślę o tym. Do widzenia!

Wyprowadził ją na ganek. Frank pomagał właśnie wsiadać Blandynie do powozu, w którym siedziała już pani Tölz. Uścisnął on gorąco, serdecznie rękę Jutty, której oczy zasnuły się łzami. Czuli oboje, że nie wolno im w tej

chwili myśleć o własnym, cichym szczęściu, że powinni przede wszystkim spełnić obowiązek wobec bliźniego.

Panie odjechały. Przez całą drogę siedziały w milczeniu. Pani Tölz wyglądała jak uosobienie rozpacz, twarz jej zbladła, oczy tępo patrzyły przed siebie. Nie szukała pociechy u córki, myślała wyłącznie o zmarłym.

Gdy przybyły do pałacu, Jutta przede wszystkim usunęła służbę, która zgromadziła się, pełna ciekawości przed drzwiami gabinetu Norberta. Wiedziała z doświadczenia, jak bolesne są w podobnej chwili ciekawe spojrzenia obojętnych ludzi. Chciała oszczędzić każdej przykrości obu złamanym bólem kobietom.

Pani Tölz natychmiast udała się z Blandyna do pokoju syna. Ujrawszy zmarłego, wlepiła w niego wzrok, w którym odbijało się nieme zapytanie. Blandyna spostrzegła na biurku kartkę, pozostawioną przez Norberta i przeczytawszy ją wybuchnęła płaczem.

Szlochając, pokazała kartkę matce. Wtedy i pani von Tölz zalała się łzami, które przyniosły jej znaczną ulgę.

* * *

Jutta wydała służbie wszelkie polecenia, przy czym zauważyła, iż wszyscy starają się jej dogodzić i okazać życzliwość. Pragnęli wyraźnie zaznaczyć, że dotarła do nich wieść o jej niewinności. Wiadomość ta rozeszła się lotem strzały nie tylko po pałacu, lecz po całej wsi.

Gdy Jutta nazajutrz wyszła na taras, aby trochę odpocząć, spostrzegła na schodach gromadkę wiejskich dzieci. Były odświętnie ubrane; przed bramą stał nauczyciel i ksiądz proboszcz, którzy zapewne przyprowadzili dzieciaki do pałacu.

Dzieci miały w rękach wiązanki polnych i leśnych kwiatów. Były bardzo zmieszane, lecz twarze ich nie wyrażały już lęku. Kolejno podchodziły do Jutty, która usiadła w fotelu, i kładły jej na kolanach pęki kwiecica. Młodą kobietę ogarnęło ogromne rozrzewnienie. Ta milcząca owacja wzruszyła ją bardziej, niż wszelkie prośby o przebaczenie. Przyciągnęła ku sobie jakąś maleńką, jasnowłosą dziewczynkę i spytała z uśmiechem:

- Czy się mnie teraz już nie boicie?

Jakaś starsza dziewczynka odpowiedziała zamiast maleństwa:

- Nie, pani dziedziczko! Matuś powiedzieli, że to nieprawda, że wcale nie jesteście czarownicą. Mówili, żeś dobra jako te aniołeczki w niebie... Nie gniewajcie się, pani dziedziczko, żeśmy cię przezywali...

Jutta pogłaskała jej lnianą główkę.

- Nie gniewam się już wcale. Będziemy teraz żyli w zgodzie i przyjaźni, a niedługo zaproszę wszystkie dzieci do parku na ciastka i czekoladę. Dziś musicie stąd odejść, bo w domu jest żałoba.

Nauczyciel odprowadził dzieciaki, najwidoczniej rozradowane myślą o ciastkach i czekoladzie. Ksiądz proboszcz udał się do pałacu, aby pocieszyć pogrążoną w smutku rodzinę. Rozmawiał przez kilka chwil z Juttą, po czym pośpieszył do pani Tólz i do Blandyny. Gdy młoda kobieta pozostała sama, złożyła ręce i szepnęła:

- Niezbadane są wyroki boskie! Dzięki Ci, Ojcze Niebieski! Od wczoraj nie widziałam ani Blandyny ani jej matki, gdyż nie wychodziły z pokoju Norberta. Jutta nie weszła do nich, gdyż nie chciała im przeszkadzać.

Po chwili Jutta podążyła do pałacu, a znalazłszy się u siebie, przeczytała raz jeszcze zeznanie Norberta. Wdzięczność jej dla doktora Diehla i Franka Riidigera nie miała granic. Wiedziała, że Frankowi może się odwdzięczyć, zostając jego żoną, pragnęła jednak uczynić coś także i dla Henryka.

Gdy siedziała, zatopiona w myślach, otworzyły się drzwi i do pokoju wsunęła się Blandyna. Była w czarnej sukni, a oczy jej nosiły ślady łez. Usiadła cichutko u stóp Jutty i ukryła głowę na jej kolanach.

- Jakże się czuje twoja matka, Blandyno? - spytała Jutta.

- Nie przestaje płakać, ale to dobrze, bo łzy przynoszą ulgę. Nakłoniłam ją, aby się trochę położyła. Teraz siedzi u niej ksiądz proboszcz. Nie mogę jej niestety pocieszyć, lecz moim obowiązkiem jest być przy niej. Nie spałyśmy całą noc i muszę przyznać, że tęskniłam za tobą. Chciałam pomówić z tobą. Czy wiesz, jak się to wszystko stało?

- Tak kochanie! Czy chcesz się także dowiedzieć?

- Chciałabym wszystko dokładnie wiedzieć, aby nareszcie pozbyć się tego ciągłego niepokoju. Widzisz, Jutto, miałam zawsze jakieś niejasne podejrzenie, gdy patrzyłam na Norberta. Całe jego zachowanie wydawało mi się dziwnie zagadkowe. Nękało mnie to i często robiłam sobie wyrzuty. Pragnę się pozbyć tego uczucia trwogi.

- Przeczytaj ten dokument, Blandyno.

Dziewczyna zabrała się do czytania, a skończywszy, wybuchnęła płaczem:

- Nieszczęśliwy! Dokąd zawiodła go chciwość! Znalazłam na jego biurku kartkę, jest tam kilka słów, przeznaczonych również dla ciebie... Nie mam odwagi, aby ci to pokazać...

- Pokaż mi tę kartkę, Blandyno.

Jutta przebiegła oczyma kilka wierszy, skreślonych ręką Norberta, po czym rzekła:

- Przebaczyłam mu wszystko z całego serca. Naturalnie, że nie będę na was szukała odwetu. Czy abyś wątpiła o tym, Blandyno?

- Ja nie, ale matka jest ogromnie zmartwiona. Dręczy ją myśl, co się z nami stanie.

- We właściwej chwili postaram się uspokoić twoją matkę. Zapewniam cię, że nigdy was nie opuszczę.

- Wiem, że jesteś dobra i że masz szlachetne serce. Teraz dzięki Bogu, będziesz mogła pójść za głosem serca i być szczęśliwa. Myśl o tym trochę mnie pociesza.

- Czemu ta rezygnacja, Blandyno? Przecież i dla ciebie wybije godzina szczęścia.

- O, nie! To się skończyło...

- Dlaczego? Czy nie możesz wybaczyć doktorowi, że zdemaskował twego brata? Przecież został wezwany przez Franka, aby wykryć mordercę wuja Maltego. Uczynił to, choć cierpiał, myśląc o tym, że sprawi ci ból. Działał w imię sprawiedliwości.

- Bez wątpienia, Jutto. Przecież nie to nas dzieli... nie biorę mu za złe, że spełnił swój obowiązek. Ale on nie zechce przecież ożenić się z siostrą zbrodniarza...

- Więc to cię gnębi?

- Naturalnie! Szczęście, które spotkałam na mej drodze, musi rozpaść się w gruzy.

- Nie, kochanie! Czy tak źle sądzisz o miłości Henryka? Nie znasz go, moja droga. Doktor Diehl nie chce się za żadną cenę wyrzec ciebie. Prosił, abym się za nim wstawiła, sądzi bowiem, że nie chcesz zostać jego żoną, ponieważ odkrył zbrodnię twego brata.

- Czy ci to powiedział?

- Tak, kochanie. To i jeszcze inne rzeczy, których ci nie powtórzę, gdyż pragnę, abyś je usłyszała z jego ust. Czeka tylko, abyśmy go przywołały, gdyż dręczy go troska o ciebie. Musimy jednak zaczekać, aż twój brat spocznie pod ziemią. Po pogrzebie, my obie, bezbronne kobiety, postaramy się o męską opiekę. Gdy twoja matka przyjdzie do ciebie, zaprosimy obu panów, a wiem, że przybędą natychmiast.

W serce Blandyny wstąpił promień nadziei. Przywarła gorącymi ustami do ręki Jutty:

- Najlepsza, najmilsza moja! Wszystko dobre pochodzi od ciebie. Ja już pogrzebałam wszelkie marzenia o szczęściu.

- Och, kochanie, jakże można! Teraz właśnie rozpoczniemy obie nowe życie. Dość długo trawiłyśmy dnie w samotności i smutku. Sądzę, że śmierć Norberta nie zostawi zbyt wielkiej pustki w twym życiu. Twoja matka także się pocieszy, tym bardziej, że zięć zastąpi jej syna. Będzie z niego mieć więcej pociechy niż z Norberta. Powiem ci, Blandyno, że Norbert już od dawna był straconym człowiekiem. Grał w karty, stał się nałogowym morfinistą. Był to początek końca. Wuj Małtę wiedział o tym, dlatego pominął go w testamencie. Będziemy się modliły za spokój duszy Norberta, lecz nie pozwolimy, aby jeszcze po śmierci zatruwał nam życie. Musimy, pełne otuchy, spoglądać w przyszłość i myśleć o tych, którzy nas kochają i których my kochamy...

Blandyna zarzuciła jej ręce na szyję.

- Och, gdybym nie miała ciebie... Byłabym istotą godną pożałowania...

- Rada jestem, że mogłam ci pomóc. Tyś zawsze pocieszała mnie w ciężkich chwilach...

- Kamień spadł mi z serca, Jutto! Pójdę teraz do mamy. Czy pozwolisz, abym jej pokazała to zeznanie? Mam wrażenie, że po przeczytaniu prędejkę pogodzi się z myślą o śmierci Norberta. Pojmie, że musiał zakończyć swoje zmarnowane życie.

- Dobrze, Blandyno, ale schowaj potem ten papier. Zawiera on akt mego uniewinnienia; dzięki niemu zostałam zwolniona bez zastrzeżeń, nie zaś z braku dowodów.

- Naturalnie, schowam go u siebie. Dziękuję ci za tyle dobroci. Pocieszyłaś mnie, Jutto.

- A jednocześnie mogłam wyświadczyć przysługę doktorowi, co mnie bardzo cieszy. Bylibyście się jeszcze oboje męczyli bez potrzeby, wskutek tego nieporozumienia.

- Niech ci Bóg odpłaci za twoją dobroć.

Uścisnęły się serdecznie, po czym Blandyna udała się do matki. Zastała ją trochę spokojniejszą. Ksiądz proboszcz wyszedł od niej przed chwilą. Blandyna dała jej do przeczytania zeznanie Norberta. Pani Tölz po przeczytaniu oddała dokument córce. Milczała, lecz widać było, że w duszę jej powoli wstępuje spokój. Tej nocy po raz pierwszy zasnęła. Najgorsze minęło.

Blandyna także odzyskała równowagę, serce jej było pełne radosnego oczekiwania i nowej nadziei.

* * *

Jutta napisała do Franka Rüdigera:

Drogi Panie! Nie wzywam jeszcze Pana, ani też doktora Diehla, sądę bowiem, że dla nas wszystkich będzie lepiej, gdy się przez kilka dni nie zobaczymy. Ksiądz proboszcz i wójt pomagają nam załatwiać wszelkie formalności. Zobaczymy się dopiero na pogrzebie Norberta. Niech pan powie doktorowi, że nie miałam potrzeby wstawiać się za nim u Blondyny. Biedaczka sądziła, że doktor chce z nią zerwać, bo widzi w niej siostrę zbrodniarza: Uspokoiliam ją i pocieszyłam zupełnie. Matka jej również zaczyna powoli przychodzić do siebie. Pojutrze jest pogrzeb Norberta, wtedy się spotkamy nad jego mogiłą. Do widzenia!

Jutta

Obaj panowie zrozumieli pobudki Jutty i nie przychodzili do pałacu. Znaleźli się jednak pośród szczupłego orszaku żałobnego, który odprowadzał Norberta na ostatni spoczynek. Pogrzeb nieszczęśliwego odbył się bardzo cicho. Zanim Frank rozstał się z Juttą, szepnął:

- Pragnę się zobaczyć z panią, muszę z panią pomówić. Nie mogę pani odwiedzić, lecz możemy przecież spotkać się w lesie. Czy dobrze?

I obrzucił ją przy tym tak tkliwym gorącym spojrzeniem, że Jutta nie potrafiła odmówić ukochanemu.

- Jutro o czwartej na zwykłym miejscu - rzekła, rumieniając się. Pocałował ją w rękę, po czym się pożegnał. Doktor Diehl nie miał odwagi podejść do pani Tölz. Zdawała się ona nie widzieć i nie słyszeć niczego, co się wokół niej działo. Uginała się pod brzemieniem hańby, którą okrył ją zmarły. Nad bólem górowało uczucie zranionej dumy. Blandyna stała blada i zapłakana obok matki, bojąc się spojrzeć w oczy doktora Diehla. On jednak nie odrywał od niej wzroku, w którym malowała się błagalna prośba. Dziewczyna zauważyła to spojrzenie i przestała unikać oczu doktora. Gdy po pogrzebie podszedł do niej i ujął jej rękę, nie opierała się temu.

- Blandyno! - szepnął Henryk, a w słowie tym brzmiał bolesny niepokój i serdeczna troska. Wtedy dziewczyna podniosła na niego oczy, z których mógł wyczytać miłość bez granic. Starczyło to za odpowiedź. Doktor pochylił się i ucałował rękę Blandyny.

* * *

Nazajutrz po obiedzie Jutta poszła do lasu. Dzień był cudny, majowy, cały las przystroił się w świeżą zieleń, niby w odświeżne szaty. Frank Rüdiger czekał już na Juttę. Ujrzawszy ją z daleka wybiegł jej naprzeciw, a otwierając szeroko ramiona, zawołał:

- Jutto!

Pozwoliła, aby otoczyły ją te silne, wierne ramiona, które tak pomyślnie pokierowały jej losem.

- Czyś moja, Jutto? Moja? - spytał tklawie.

- Twoja na wieki, Franku.

Usta ich połączyły się w pocałunku. Oboje ogarnął przy tym jakiś uroczysty nastrój. Spojrzeli sobie w oczy.

- Chwała Bogu, że się wszystko wyjaśniło, inaczej nie zostałabyś moja żoną.

- To prawda, Franku. Człowiek jak ty nie może przebywać w mroku. Wiem, że nie zniósłbyś tego, gdyby ludzie na mnie patrzyli z pogardą.

- Nie pozwoliłbym na to! Lepiej jednak dla ciebie, że się ta sprawa wyświetliła. Jesteśmy winni Henrykowi nieskończenie wiele...

- Tak, i dlatego ucieszyłam się bardzo, że mu pomogłam. Wyperswadowałam wszystko Blandynie, która chciała już rezygnować ze szczęścia i wyrzec się Henryka.

- Toteż Henryk jest ci bardzo wdzięczny za to. Kocha on szczerze Blandynę, w tych ciężkich dniach uczucie jego pogłębiło się jeszcze i wzmogło. Powiedział, że nie może żyć bez Blandyny. Musimy się postarać, aby mógł z nią swobodnie pomówić na osobności. Dał mi list, który masz jej wręczyć. Henryk wie, że mieliśmy się spotkać.

- Natychmiast po powrocie do domu, oddam go Blandynie - rzekła Jutta, biorąc list.

- I postaraj się spełnić prośbę Henryka. Pragnie on pomówić z Blandyna.

- Przyjdzie mi to z łatwością, Franku. Przecież ona także chciałaby go jak najprędzej zobaczyć...

- To prawda. Nie mamy więc potrzeby troszczyć się o ich szczęście, lecz możemy pomyśleć o sobie. Kiedy nasz ślub, Jutto?

- Kiedy zechcesz, kochany mój!

- Wolałbym dziś, niż jutro.

Na ustach Jutty zaigrał filuterny uśmiech, który odmłodził ją o wiele lat.

- Ani dziś, ani jutro. Poczekasz jeszcze trochę.

- Ale tylko trochę - nalegał Frank.

- Dobrze - odparła po chwili namysłu. - Przy pierwszej okazji zawiadomię panią von Tölsz o naszych zaręczynach. Powiem jej, że mamy się wkrótce pobrać. Jeżeli będzie ją raził widok ludzi szczęśliwych, to zaproponuję jej, aby zmieniła miejsce pobytu. Naturalnie, że będę jej nadal pomagała, bo choć była wobec mnie wrogo usposobiona, lecz nigdy nie ukrywała tego i sądziła,

że ma słuszość. Malte nigdy nie zniósłby, aby jego kuzynka cierpiała niedostatek.

- Jeżeli Henryk i Blandyna pobiorą się, to zapewne zechce zamieszkać z nimi. Ale to niedobrze! Pani Tölz nie będzie miłą teściową.

- Franku! - zawołała Jutta. - Mamy teraz okazję, żeby dać Henrykowi dowody wdzięczności. Powiedz mi tylko, gdzie będziemy stale mieszkać, u ciebie, czy w pałacu?

- Gdzie będziesz wolała. Pałac jest większy, ładniejszy i ma więcej wygód. Przy tym moja posiadłość jest położona na uboczu, a zimą, podczas śniegów, komunikacja ma być bardzo utrudniona. Mnie jest wszystko jedno, chodzi mi o ciebie.

- Zostaniemy więc w pałacu i zabierzemy ze sobą panią Remblin, żeby mi pomagała. Ja muszę mieć dużo czasu dla mego męża. Nauczysz mnie jeździć konno, będę z tobą wyjeżdżała w pole. Czeka cię przecież podwójna praca przy zarządzie obu majątków. U ciebie zaś zamieszka pani Tölz, będzie tam prowadziła gospodarstwo i zajmie się domem. Może objąć także nadzór nad służbą i czeladzią. Gdy otrzyma jakiś zakres obowiązków, nie będzie się czuła niepotrzebna na świecie. A przy tym uwolnię doktora Diehla od współżycia z teściową. Przypuszczam, że Blandyna z mężem będzie do nas co roku przyjeżdżała na kilka tygodni.

Przytulił ją do siebie i ucałował gorąco.

- Jesteś nie tylko najlepszą, najśłodszą kobietą pod słońcem, lecz posiadasz również niezwykle talent organizatorski - oświadczył żartobliwie.

- Więc się zgadzasz?

- Ma się rozumieć! Ce que femme veut, Dieu le veut!

- Uspokój się, Franku, ja mówię poważnie.

- A więc zupełnie poważnie, uważam twój projekt za doskonały. Zaraz opowiem to Henrykowi.

- Nie mów mu jeszcze nic, zanim nie będą ze sobą po słowie. Otoczył ją ramieniem, uśmiechając się do niej oczyma, z których promieniowało bezgraniczne szczęście.

- Uważam że dość długo zajmowaliśmy, się losem innych ludzi. Pomówmy trochę o nas i o naszej miłości. Przede wszystkim jednak chciałbym oznaczyć dzień ślubu.

- Dobrze, Franku.

- Czy zgodzisz się na dzień, który wyznaczę?

- Tak, mój panie i władco.

- Kochanie, mieliśmy przecież być poważni - rzekł Frank, całując narzeczoną.

- Przez tyle lat musiałam być poważna, choć jestem z natury wesoła. Zawsze wolałam się śmiać niż płakać.

Frankowi przypomniało się pierwsze spotkanie w lesie, gdy ujrzał Juttę zlaną, przybitą, pogrążoną w beznadziejnej rozpacz. Ucałował ją znowu, po czym rzekł:

- Najdroższa, postaram się, abyś już nigdy nie płakała. A nasz ślub odbędzie się piątego lipca.

- Przecież to zaledwie sześć tygodni!

- Tak, to bardzo długo - powiedział z westchnieniem.

- Czy zdążymy wszystko przygotować w tak krótkim czasie?

- Musimy zdążyć. Nie odstąpię od tego terminu. Jestem despotą. - mówił udając, że marszczy groźnie czoło.

Pocałowała go, mówiąc żartobliwie:

- Wypędzimy złego despotę!

Przytulił ją mocno do siebie, jakby nie chciał jej nigdy wypuścić z objęcia. Szeptał jej na ucho namiętne, pieszczotliwe słowa, których słuchała, spłoniona jak różyczka. Wreszcie wyrwała się z jego uścisku.

- Muszę iść do domu, chcę, żeby Blandyna jak najprędzej otrzymała list.

- Znowu myślisz o innych, kochanie.

- Ależ, Franku! Nie zapominaj, jak wiele mamy Henrykowi do zawdzięczenia...

- Gdy patrzę na ciebie, gdy cię tulę w objęciu, zapominam o całym świecie. Tym razem jednak będę posłuszny i pozwolę ci odejść. Postaraj się, aby Henryk otrzymał wkrótce odpowiedź.

- Blandyna z pewnością nie da mu czekać długo. Pozdrów go serdecznie i powiedz, że nigdy nie zapomnę tego, co uczynił dla mnie.

- Powiedz to mu sama, kochanie, sprawi mu to wielką przyjemność.

Gdy Jutta powróciła do pałacu, Blandyna czekała już na nią w małym saloniku. - Zmierzyła przyjaciółkę poważnym, pytającym spojrzeniem.

- Nie było cię tak długo, Jutto. Jutta otoczyła dziewczynę ramieniem.

- Czy długo czekasz na mnie? Wybacz, nie mogłam wcześniej powrócić. Spotkałam się z Frankiem Riidigerem i... zaręczyłam się z nim. Tobie pierwszej opowiadam tę nowinę...

Blandyna uściskała serdecznie przyjaciółkę.

- Wiesz przecież Jutto, że życzę ci dobrze i pragnę, byś była szczęśliwa.

- Wiem, Blandyno. Nie umiałabym się tak cieszyć, gdybym nie wiedziała, że i ciebie czeka wkrótce wielkie szczęście. Oto list od Henryka. Przeczytaj go w moim pokoju, tam ci nikt nie przeszkodzi. Obiecałam, że wkrótce wyślesz odpowiedź, postaraj się, abym mogła dotrzymać słowa.

Jutta wyszła i udała się do przestronnego, wytwornie urządzonego gabinetu. Zasiadła przy oknie z książką, lecz nie mogła czytać. Oczy jej biegły wciąż na wzgórze, gdzie wznosił się dom Franka. Tam mieszkało przecież jej szczęście... Nie zauważyła, jak otworzyły się drzwi i na progu stanęła pani Tölz. Była bardzo blada i mizerna, ostatnie dni pozostawiły na jej twarzy niezatarte ślady.

- Przepraszam, pani Jutto, że dotychczas nie zamieniłam z panią ani słowa, lecz nie miałam siły, żeby pomówić o tej smutnej sprawie. Przede wszystkim chciałam panią prosić o przebaczenie, okazywałam pani pogardę i nieufność, lecz zostałam za to ukarana. Spadła na mnie straszna hańba, jestem matką mordercy. Wiem, że pani jest szlachetna i dobra toteż spodziewam się, że przebaczy mi i mojemu nieszczęsnemu synowi.

- Droga ciotko Herto, nigdy nie gniewałam się na ciebie. Sądziłaś, że masz rację, dlatego zachowywałaś się w ten sposób. Nie mówmy o tym. Zapomnijmy o przeszłości i przebaczymy zmarłemu.

- Dziękuję ci, Jutto. Musiałam ci to wszystko powiedzieć, zanim opuszczę twój dom.

- Ciocia chce nas opuścić?

- Chcę? Muszę przecież stąd odejść. Czy pozwoliłabyś mi pozostać?

- Nie zgodzę się nigdy, aby ciocia wyjeżdżała. Musimy się zbliżyć i zaprzyjaźnić, jesteśmy przecież krewnymi. Aby zrobić początek, powiem cioci dobrą nowinę. Zaręczyłam się z Frankiem Rudigerem...

- Życzę ci szczęścia, droga Jutto, gdyż zasługujesz na nie. Gdy jednak wyjdiesz za mąż, będziemy ci przeszkadzały.

- Nie, ciociu. Zresztą Blandyna zapewne wkrótce także wyjdzie za mąż...

- Blandyna? Za kogo?

- Spodziewam się, że za doktora Diehla.

- Straciłam nadzieję. Nie mamy niestety szczęścia.

- Ale ja jestem tego pewna. Ale i dla cioci znajdzie się nowy zakres obowiązków...

I Jutta opowiedziała pani Tölz o swoim planie, proponując jej, aby objęła zarząd domu w Untergriesbach.

- Czy to prawda, Jutto? Czy ty i twój narzeczony naprawdę chcecie mnie obdarzyć tak wielkim zaufaniem po tym co się stało? Och, nie możesz sobie wyobrazić, jakie mi wyświadczysz dobrodziejstwo!

- Wiem, ciociu i cieszę się, że mogę ci pomóc. Zresztą ciocia nam odda nieocenione usługi, gdyż na służbie nigdy nie można polegać. Tylko, że w zimie jest tam trochę za cicho i smutno...

- To mi nie przeszkadza. Żal mi jedynie Blandyny.

- Blandyna wyjdzie za mąż, lecz będzie co roku przyjeżdżała z mężem na kilka tygodni do nas. Pani Tölz z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

- Mówisz o tym jak o rzeczy pewnej. Ja jednak wątpię, czy doktor Diehl ożeni się z dziewczyną, której brat był mordercą...

- Daję słowo, ciociu Herto, że Diehl pragnie poślubić Blandynę. Czeka jedynie na jej i twoją odpowiedź w tej sprawie.

Pani von Tölz ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem.

- Sądziłam, że Bóg nas opuścił, widzę jednak, że czuwa nad nami.

W tej chwili weszła Blandyna. Miała oczy zaczerwienione od łez, lecz mimo to twarz jej jaśniała radością.

- Mamo, przeczytaj ten list i moją odpowiedź... Nie chcę uczynić kroku bez twojej wiedzy. Nie powinnam może przychodzić z tym do ciebie w tej ciężkiej chwili, lecz chodzi przecież o moje szczęście.

Pani Tölz zabrała się najpierw do czytania listu Henryka Diehla.

Droga, ukochana Blondyno! Pani Jutta dodała mi odwagi, zapewniając mnie, że Pani nie czuje do mnie żalu. Powiedziałem Pani, że nie odjadę stąd, dopóki nie zwrócę się do Pani z pytaniem, od którego zależy cała moja przyszłość i szczęście. Muszę to uczynić listownie, gdyż nie mam okazji, aby pomówić z Panią. Blondyno, czy chcesz zostać moją ukochaną żoną? Odpowiedz, gdzie się możemy zobaczyć, abym usłyszał z ust Twoich odpowiedź. Czekam z utęsknieniem.

Henryk Diehl

- Przeczytaj, mamo, i wybacz, że w tak ciężkiej chwili myślałam o moim szczęściu.

- Dobrze zrobiłaś, moje dziecko - rzekła pani Tölz, wyciągając rękę po liścik Blandyny. Zawierał on zaledwie kilka słów.

„Przyjdź, kiedy zechcesz do Twojej Blandyny”.

Blandyna podała przyjaciółce oba listy do przeczytania. Jutta szybko przebiegła je oczyma, po czym zerwała się z miejsca:

- Odeślę natychmiast list przez gońca. Nie chcę, aby Henryk czekał długo na odpowiedź - rzekła, po czym natychmiast wydała służącemu polecenie.

Po odejściu gońca Blandyna dowiedziała się o postanowieniu Jutty. Rzuciła się młodej kobiecie na szyję, nie mówiąc ani słowa.

Blandyna czekała z niecierpliwością na Henryka Diehla. Przypuszczała, że przybędzie dziś jeszcze i przecucie jej nie zawiodło. Jutta ujrzała go przez okno i natychmiast pod jakimś pozorem wyszła z pokoju. W holu spotkała Henryka.

- Blandyna jest w przyległym pokoju, panie doktorze. Będę na straży, aby wam nikt nie przeszkodził.

Przycisnął usta do jej ręki. Jutta zauważyła, że był bardzo wzruszony. Skinęła mu z uśmiechem głową i otworzyła drzwi. Wszedł do pokoju. Blandyna siedziała odwrócona od drzwi i sądząc że wchodzi Jutta zapytała:

- Jak myślisz, Jutto, czy Henryk dziś jeszcze przyjdzie do mnie?

Henryk Diehl postąpił krok naprzód:

- Już przyszedł, Blandyno.

Zerwała się, przestraszona i rzuciła mu spojrzenie, które Wzruszyło go do głębi. Zbliżył się do niej i otoczył ją ramieniem.

- Och, Blandyno, nie potrafiłbym znieść rozłąki z tobą. Kocham cię nad życie i jestem szczęśliwy, że pragniesz być moją.

Blandyna walczyła ze wzruszeniem. Wargi jej drżały, lecz nie mogła mówić. Wreszcie odparła wśród tłumionych łkań:

- Kocham cię, Henryku, kocham cię bezgranicznie...

- Uspokój się, najdroższa, nie płacz... Nie mogę znieść widoku twych łez...
- powiedział.

Przytulił do siebie płaczącą dziewczynę, a usta jego spoczęły na jej wargach.

Stali tak długo, złączeni serdecznym uściskiem.

- A twoja matka, Blandyno? Czy się zgodzi? Jutro już muszę wyjechać w bardzo ważnej sprawie, czy będę mógł przedtem poprosić ją o twoją rękę?

- Tak, ukochany! Matka wie o wszystkim i zgadza się. Nie chce mi przeszkadzać na drodze do szczęścia...

Blandyna opowiedziała narzeczonemu o planie Jutty, a Henryk domyślił się, że młoda kobieta pragnęła jemu wyświadczyć w ten sposób przysługę. Był jej za ten projekt ogromnie wdzięczny. Blandyna weszła z Henrykiem do matki, która pobłogosławiła młodą parę. Jutta była przy tym i również złożyła obojgu serdeczne życzenia.

Blandyna powiedziała przyjaciółce, że Henryk już jutro musi wyjechać. Wtedy Jutta rzekła z uśmiechem:

- W takim razie nie puścimy pana stąd, panie Henryku. Dzisiejszy wieczór musi pan spędzić z narzeczoną.

- Chciałbym oczywiście spędzić z nią ostatni wieczór, nie mogę jednak zostawić Franka. Co począć? - zapytał, a w oczach jego zamigotały wesołe ogniki.

- Zaprosimy Franka tutaj - odparła Jutta.

- Tak będzie najlepiej - oświadczył z zadowoleniem doktor Diehl - spodziewam się, że Frank zechce dla mnie ponieść tę ofiarę.

Spojrzała w jego roześmiane oczy i także się zaśmiała.

- I ja tak sądzę - rzekła.

I znowu pojechał goniec do Franka, zawożąc mu liścik Jutty. Pisała ona:

Najdroższy mój! Obok mnie siedzi szczęśliwa młoda para - Henryk i Blondyna. Nie mam ochoty być samotną, smutną narzeczoną. Twój przyjaciel zostanie z nami przez dzisiejszy wieczór, spodziewam się więc, że nie odmówisz i także przyjedziesz na kolację. Mogłabym teraz zakończyć pisanie, lecz jest to mój pierwszy list miłosny, a mam wrażenie, że jest bardzo suchy. Nie umiem jednak wyrazić na papierze mych uczuć, Franku, ukochany mój! Kocham Cię nad życie i nie mogę się Ciebie doczekać.

Twoja na wieki Jutta.

Frank Rüdiger z radością przyjął zaproszenie. Obie pary narzeczonych zasiadły przy stole z panią Tölz. A choć była to cicha uroczystość zaręczynowa, lecz z oczu młodych ludzi promieniowało szczęście.

* * *

Nazajutrz doktor Diehl wyjechał, gdyż chciał przygotować mieszkanie na przyjęcie swojej młodej żony. Zostało postanowione, że ślub Jutty i Blandyny odbędzie się jednego dnia. Frank i Jutta przeżyli rozkoszny okres narzeczeństwa, toteż Jutta żałowała, że Henryk nie może być przy Blandynie. Dziewczyna jednak mówiła z wesołym uśmiechem:

- Dobrze się stało, Jutto, nie zniosłabym bowiem tego nadmiaru szczęścia po tak strasznych dniach. Wiem, że mamę boli rozstanie ze mną, choć nie okazuje tego. Wytrzymam tę krótką rozłąkę z Henrykiem, po której nastąpi ślub.

Czas prędko mijał, wkrótce nadszedł dzień ślubu.

Jutta już od dawna stała się ulubienicą całej wioski. Gdy spotykała na drodze wiejskie dzieciaki, otaczały ją natychmiast, czepiały się jej sukni i gawędziły z nią wesoło. Od czasu, gdy Jutta wyprawiała im w parku balik z czekoladą i ciastkami, dzieci ogromnie się z nią zaprzyjaźniły. Jutta powiedziała im wtedy:

- Na moim weselu dostaniecie znowu czekoladę i ciastka. Odtąd dzieci, widząc Juttę, biegły do niej i pytały:

- Kiedy już będzie to wesele, pani dziedziczko?

Pewnego razu Frank usłyszał to pytanie. Śmiał się serdecznie, lecz zaczął od tego dnia przekomarzać się z Juttą:

- Kiedy już będzie to wesele, pani dziedziczko?

Wreszcie nastąpił dzień, w którym nie miał już potrzeby pytać. W piękny letni ranek obie narzeczone przechadzały się po parku, gawędząc o swoim bliskim szczęściu. Doktor Diehl przybył już poprzedniego dnia ze swoją jedyną siostrą oraz jej mężem. Byli to jego jedyni krewni, którym ogromnie spodobała się Blandyna.

Gości było niewiele, gdyż uroczystość miała się odbyć cicho i skromnie. Za to cała wieś brała udział w weselu. Obie pary narzeczonych udały się pieszo do małego kościółka. Towarzyszył im szczupły orszak oraz gromadka wiejskich dzieci. Szły, rzucając oblubieńcom kwiaty na drogę. Po ślubie wszyscy udali się do pałacu. W parku stały nakryte stoły, gdzie wiejskie dzieci otrzymały obiecaną czekoladę i ciastka.

Młodzi małżonkowie siedzieli przytuleni do siebie. Z oczu wszystkich czworga promieniała głęboka miłość.

Henryk Diehl z żoną odjechali w podróż poślubną, pani Tölz przeniosła się do posiadłości Franka. Frank i Jutta pozostali wreszcie sami. Młoda kobieta zaprowadziła męża do buduaru, przed portret Maltego von Tübingen:

- Spójrz, Franku, patrzy na nas i cieszy się naszym szczęściem. Ty przyczyniłeś się do tego, że może on nareszcie spoczywać w spokoju. Jakże ci jestem wdzięczna, ukochany, że od początku wierzyłeś we mnie...

Przytulił ją do siebie.

- Musiałem wierzyć, moja słodka żono! Takie oczy jak twoje nie umieją kłamać.

I pochyliwszy się nad nią ucałował pieszczotliwie te piękne oczy.